ISSN 1425-1760 INDEX 332682

uwaga! płyta w środku

ŚLIZG

rap * graffiti * breakdance * deskorolka * komiks

numer 11 / 95 listopad 2003 cena 6 PLN (w tym 7% VAT)

na płycie m.in.: koncert MOR W.A. na Litwie numer raz_dj zero | ascetoholix | kasta | grand agent_pete rock | mezo | wnb |

najmniej spodziewana współpraca roku!

natalia&tede

flexxip

obie trice

Wujek Samo Zło
Człowiek Nowej Ery

Nokia Totally Board - Sewilla



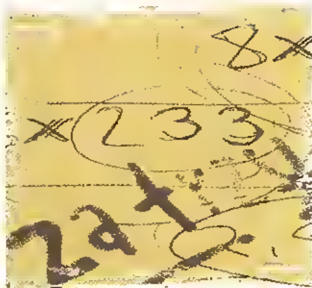
95

W ŚRODKU



Wydawca - Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o. 00-258 Warszawa ul. 8rzozowa 35, tel/fax +48(prefix)226359874 nr konta: Kredyt Bank IV D/Warszawa 15001777-121770066518
Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (rednaczkwl@go2.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@wp.pl)
Dyrektor Artystyczny: Grzegorz Forin Piwnicki (forin@wp.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wuzeter@go2.pl)
Redaktor: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@go2.pl)
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@wp.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki (moleksicki@wp.pl)
Zespół: Rafał Wielgus, Pawelec (pawelec_slg@o2.pl), Flintstone, Wiedźma Cessya, Fala, Sebastian Imbierowicz, Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Sebastian Rerak
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@wp.pl)
Sekretariat: Aneta Hatadyj
Finanse i księgowość: Alicja Wlodarczyk
Druk i przygotowanie: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi

Adres redakcji: Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48(prefix)22 8254907, 8255D69



WSZ i CNE - tych dwóch panów zna każdy, kto choć trochę orientuje się w realiach polskiego rapu. Tworzą opiniotwórczy program w telewizji VIVA!, jeżdżą z kamerami w okolice wszystkich ważniejszych rap-wydarzeń w Polsce, a także robią własną, dość niepowtarzalną muzykę. Skonektowani z Gib-Gibon Składem i Baku Baku Składem. Co tu jeszcze o nich napisać? Za mało miejsca...

Za to wydaje nam się, że ich odpowiedzi na nasze podchwytliwe pytania dadzą Wam dość ciekawy i zupełnie nowy obraz tych dwóch sympatycznych typów.



CNE

trzy znienawidzone przedmioty szkolne: WOS, fizyka, PO
trzy postacie - bohaterowie: Dalajlama, Bob Marley
trzy antypatie - leszcze: Lepper, Paetz, Skiba&Konjo
trzy napoje: zmrożona margherita, mrożone maliny, zimne piwko
trzy potrawy: burritos, strogonoff, różne pasty (makarony)
trzy programy tv: Reality TV, VIVA, Extreme Television
trzy płyty: Gentleman „Journey To Jah", Grand Puba „2000", Gangstarr „Moment Of Truth"
trzy filmy: „Las Vegas Parano", „Miś", „Requiem Dla Snu"
trzy książki: „Kraina Chichów", „Pachnidło", „Marek Piegus"
trzy kolory: czerwony, żółty, zielony
trzy cyfry: 4, 7, 11
trzy imiona: Basia, Roger, Bezel
trzy napisy na murach: NBK, DFC, MAD
trzy dziewczyny: ...mam jedną, pozostałe dwie są niepotrzebne
trzy miejsca: scena, studio, łóżko...
trzy zainteresowania: hip-hop, media, kino
trzy gadżety: zośka, snowboard, bibsy
trzy ulubione słowa: gibon, bezele, papużka
trzy sukcesy: rozwój polskiego hh, wejście Polski do UE, nasz drugi program - „Rap Kanciapa"
trzy porażki: afera Rywina, stan górnictwa, poziom bezrobocia
trzy plany na przyszłość: II płyta, solówka, podróż na wschód
trzy rzeczy ode mnie: 1. pozdrawiam tych, co pozdrawiają mnie; 2. czytajcie Ślizg i inne gazetki hh, oglądajcie programy, słuchajcie audycji - po to, by mieć swoje zdanie; 3. Uwaga!! Dj Buhh szykuje drugi zamach... Już niebawem usłyszysz wyBuhhy



WSZ

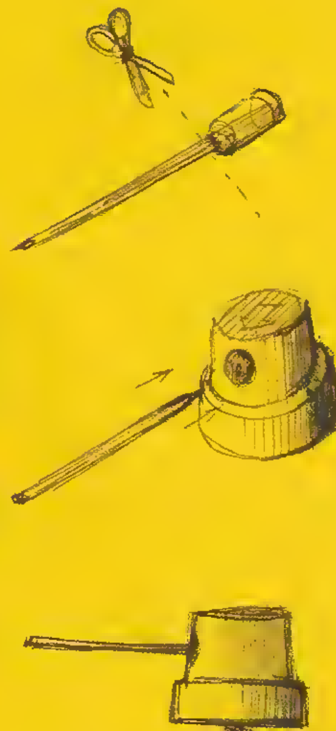
trzy znienawidzone przedmioty szkolne: matma, fizyka, PO
trzy postacie - bohaterowie: Bolek i Lolek, Flip i Flap
trzy antypatie - leszcze: Hitler, Stalin, taka jedna woźna z mojej podstawówki
trzy napoje: nutridrink, koktajl truskawkowy, woda
trzy potrawy: rosołek, knedliki czeskie, bagun badzia
trzy programy tv: „Z kamerą wśród zwierząt", „Teleekspress", „Tramwajowa lista"
trzy płyty: „Zakazane piosenki", Dj Buhh II, Gangstarr „The Ownerz"
trzy filmy: „Wszystko, co chcecie wiedzieć o seksie, a boicie się zapytać", „Malcolm X", „Romper Stomper"
trzy książki: Milne „Lato w dolinie muminków", Kosiński „Malowany ptak", Singer „Sztukmistrz z Lublina"
trzy kolory: czarny, biały, zielony
trzy cyfry: 7777
trzy imiona: Maciek, Robert, Artur
trzy napisy na murach: „Jarać zioło jest wesoło", „Myślenie nie boli", „Halalala"
trzy dziewczyny: zgrabniulka, mądrulka i zmysłowska
trzy miejsca: Wariatka, Grochów, Kabaty Forest
trzy zainteresowania: hip-hop, wyluzowane dziennikarstwo, poszukiwanie życiowej partnerki
trzy gadżety: bibsy, kondomy, freesbee dla psa (mojej suni)
trzy ulubione słowa: mordeczka, gibonki, eloziom
trzy sukcesy: płyta, programy w Vivie, zaproszenie do tego artykułu przez rednacza
trzy porażki: osobiste, nie do gazet
trzy plany na przyszłość: zrobić prawko, następna płyta i... matka dla moich dzieci
trzy rzeczy ode mnie: weseli ludzie lepiej znoszą stres, czytać książki, żyj i daj żyć innym i nie wszystko wszystkim musi się podobać

idea: zrób to sam

temat: ultra skinny







Joł! Oto nowy odcinek naszego cyklu Idea: zrób to sam. Długo zastanawialiśmy się co by tu zamieścić, do wyboru były: spojler do poloneza, żyrokompas dla żaglówek, albo końcówka ultra skinny cap dla graficiarzy. Z tego wszystkiego kolektyw redakcyjny zdecydował się opublikować kompletny instruktaż jak zamienić poczciwego poldka w dodge vipera. Nie, żartuję przecież. Zdecydowaliśmy się opublikować instrukcję jak można sobie zrobić super cienką końcówkę do aerozolu, dzięki której można bardzo dokładnie i sprawnie malować wszelkie szczegóły i inne misterne ornamenty. Niektórzy powiedzą, że gotowe końcówki, specjalnie dla graficiarzy można kupić w sklepach, jednak takie cieniutkie i dokładne kreski jakie można uzyskać samodzielnie zrobionymi skinny capami ciężko było by zrobić tymi kupnymi. Do dzieła.

Zadanie jest w sumie proste, jednak wymaga trochę precyzji i trzeba uważać żeby się nie ochlapać farbą. Potrzebne nam będą igły, takie jak do strzykawek, nie musimy chyba przypominać, że muszą być to igły nieużywane, nowe, prosto z apteki. Mogą być np. 20 (chodzi o rozmiar igieł). Teraz potrzebne będą końcówki, tylko nie od aerozoli, bo sa one tak zbudowane, że się nie da ich przerobić, tylko od np. lakierów do włosów czy dezodorantów. Teraz tak, obcinamy cążkami igłę ze strony mocowania na strzykawkę, tak żeby została taka około 4-5 cm. Z obydwu obciętych stron trzeba teraz tę igłę oszlifować, można do tego celu użyć jednego z pilników mamy. Ostrzegamy, mama nie będzie zachwycona. Teraz część wymagajaca sporej precyzji i kilku prób, mianowicie ostrym końcem trzeba wbić igłę w końcówkę. Wbić trzeba w miejsce wylotu na głębokość około 1-1,5 cm. W tym momencie powinniśmy mieć naszą końcówkę ultra skinny cap gotową. Powinniśmy, bo teraz trzeba przeprowadzić próbę generalną i sprawdzić czy końcówka funkcjonuje dokładnie tak jak sobie tego życzymy. Uwaga, źle zamontowana igła może pryskać farbą na boki, zatykać się i robić inne niespodzianki, tak więc uwaga na ubranie i elementy otoczenia! Jednak nawet jeżeli pierwsze próby stworzenia takiej końcówki będą nie do końca udane, to metodą prób i błędów można sobie zmajstrować naprawdę prawie doskonałą końcówkę umożliwiającą stworzenie sobie warunków pracy zbliżonych do operowania aerozolem. Psssssssssst i cieniutkie kreseczki ozdabiają wasze prace. Czego i my, i Idea wam życzymy. Powodzenia, uwaga na chlapiącą farbę!

W KRAINIE GADŻETÓW



BUTY CORMAX
Cormax właśnie zaprezentował swoją nową kolekcję zimową. Oprócz modeli znanych z poprzedniego sezonu mamy bucika jakiego widzicie obok. Klasyczna już konstrukcja „golda", wzbogacona wstawkami camo!Prawdziwy wypas zarówno na imprezkę jak i wyjście w góry. Buty dostępne w dobrych sklepach w rozmiarach od 39 do 46. Sprawdź na www.cormax.info

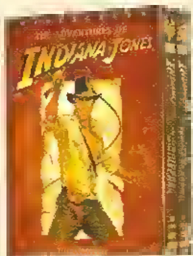


BLUZA PREMIUM BY MALITA
Na zimę Malita przygotował prawdziwą gratkę dla wymagających klientów. Bluza o nazwie Premium będzie idealna na długie jesienno - zimowe wieczory. Jest ona specjalnie na tę okazję uszyta z grubego materiału i wyposażona w czerwoną siateczkę, która uchroni was od nadmiernego pocenia się. Fajne dodatki w postaci napisów, suwaków i naszywek korzystnie wpływają na wygląd produktu. Nie pozostaje wam nic innego jak pędzić do sklepów i sprawdzić czy i wam przypadnie ona do gustu.



PASEK MALITY
Czy zdarza się wam gubić portfele i inne tego typu gadżety noszone zwykle w kieszeni? Wiadomo, że z tego schowka przedmioty lubią często wypadać, dlatego polecam wam nowy pasek Mality wyposażony w sekretny schowek zapinany na suwak, który może was od tego problemu uchronić. Wystarczy teraz tylko nie chować tych małych przedmiotów do kieszeni tylko wetknąć do paska, później skrytkę zapiąć i nic już nie zgubicie. Nie muszę dodawać, że schowek ten może służyć na kryjówkę dla innych, bardzo potrzebnych w życiu rzeczy....

DESKA SNOWBOARDOWA VOELKL SQUAD
Oto tegoroczna deska firmy Voelkl na której jeździ cały ich team. Wymyślona i zaprojektowana w całości właśnie przez rajderów. Deska wygląda i zbudowana jest podobnie jak deskorolka, dzięki swojemu skateboardowemu kształtowi i drewnianej konstrukcji rdzenia, do tego grafika na desce wygąda jak deskowy papier, a boki są stylizowane na drewniane boki warstwowe, tak jak w deskorolce! Oprócz tego w budowie zastosowano same super lekkie materiały i inne nowoczesne karbonowe bajery. Jak sami zawodnicy teamu Chris Kroll, Jens Anslelstetter, Rudi Kroll, Magnus Sterner, Alex Schmaliz, Marc Andre Tarte i Daniel Buchmann jest to deska o której marzyli. Potwierdzeniem tego jest ostatnia wygrana Marca Andre, który na tej desce niedawno wygrał na zawodach w Szwajcarii 80,000 dolarów. Poza tym trzeba dodać, że w ramach promocji firma Voelkl do każdej kupionej deski Squad dodaje całkowicie za friko najnowszy film teamu „The Squad Video". Szczegóły u dystrybutora i w sklepach snowboardowych.



INDIANA JONES
Trylogia o przygodach nieustraszonego archeologa Indiany Jonesa to jeden z największych kozaków filmowych jakie w życiu widziałem. Zwłaszcza „Ostatnia krucjata".Podobno trwają już zaawansowane prace nad częścią czwartą, tymczasem mamy mozliwość przypomnienia sobie całości, bo oto ukazuje się na DVD piękny secik, zawierający trzy filmy i dodatkową płytę z bonusowym materiałem. Nic, tylko oglądać i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze...



PLECAK BLACKZONE
...na każde plecy. Wygodny w użyciu, pojemny i fajnie zaprojektowany. To rzecz potrzebna zarówno do szkoły (lub na studia), na wakacyjne wypady lub jesienno-zimowe wypady. Nieźle się sprawdza zarówno w warunkach miejskich, jak i umiarkowanie ekstremalnych. No i design ma taki, że mogą go nosić zarówno kolesie, jak i dziewczyny.



NA SNOWBOARD...
...firma Quiksilver przygotowała kolejną porcję wygodnych, ciepłych i modnych ubrań. Jak zawsze w wersji dla facetów i dla lasek (ech, te piękne różowe kolory). Dla każdego coś miłego. Po lewej stronie spodnie Quiksilver Roxy model Agent Pant, a po prawej kurtka Quiksilver Roxy model Good Vibrations w kolorze orchidei. W każdym razie śmiganie po górskich stokach na desce dawno nie było takie modne.





GLOBALNE KOWALSTWO

kamieniem rzul woiny

nie zdziwiłem się specjalnie tym, że Tede nagrał kawałek z Natalią Kukulską. szczerze pisząc od dawna oczekiwałem dnia, w którym ktoś ze sceny rap będzie ciągnął za uszy jakąś podupadłą gwiazdę polskiego mainstreamu. a kto nadaje się do tego lepiej, niż Tede? facet jest charyzmatyczny, ma głowę otwartą na nowe idee, nie boi się spróbować. w tej współpracy dobre jest jeszcze to, że choć Kukulska ma nieciekawą - jak dla mnie - sceniczną przeszłość, dysponuje znakomitym głosem. niestety, co już dodam tytułem minirecenzji, owoc współpracy uważam za średni bardzo. owszem, wpada w ucho, owszem, ciekawa, czysta, miło wibrująca produkcja, ale ani Tede nie wspiął się tam, gdzie już przynajmniej kilka razy był, ani mocny głos Kukulskiej niczym mnie nie zaskoczył.

w każdym razie jednak - nic złego w tej współpracy nie widzę. domyślam się, że osoby o zacięciu undergroundowym sapią i będą sapać na taki featuring, ale z drugiej strony chyba wszyscy zdajemy sobie sprawę, że przy dzisiejszym rozwoju platform dźwiękonośnych i medialnych underground najczęściej tworzą ci, których nikt poza gronem znajomych nie chce słuchać. i jest tak na całym świecie.

o ile współpracę Jacka i Natalki znoszę spoko i uważam za może nie najważniejsze, ale o pewnym ciężarze gatunkowym i rzeczywiście najmniej spodziewane wydarzenie tego roku. o tyle w historię z filmem „Styl Wolny" długo nie chciałem uwierzyć. gdy przeczytałem dementi wydawcy i menedżera O.S.T.R.'a, Tytusa, a zaraz po tym dementi Wojtka Sokola z WWO, przypomniałem sobie, że jakiś czas temu rzeczywiście coś o podobnym przedsięwzięciu słyszałem. o ile sobie jednak dobrze przypominam, to pomysł na film fabularny o polskich raperach na podstawie autentycznych ich życiorysów wziąłem za plotkę, poprzez którą ktoś nieżyczliwy Cezaremu Ciszewskiemu chciał mu dorobić gęby. a teraz okazuje się, że to nie plotka, tylko fakt, a dodatkowo Cezary za tym wszystkim stoi, ponoć traktując ewentualną realizację jako spełnienie zawodowych marzeń i fantazji.

na różne ludzie filmy do kin chodzą, co jest tylko i wyłącznie ich sprawą, a także powodem do radości dla twórców ewentualnie oglądniętego dzieła. nie twierdzę, że nikt by na film, w którym główne role oparte są o życiorysy O.S.T.R.'a, Sokola, Kochana czy Pezeta, nie poszedł, bo pewnie by poszedł. sam bym się wybrał, jakby mi ktoś przysłał zaproszenie. założenie jednak, że głównym wątkiem będzie miotanie się rapera-głównego-bohatera pomiędzy jasną a ciemną stroną sceny, a solą filmu jego wybory, uważam za idiotyzm. idiotyzm, który lansować może jedynie ktoś, kto popiera bezsensowną sloganizację i tworzy de facto nieistniejące podziały, czyniące jedynie zamieszanie we łbach nie do końca zorientowanych i popelinę ogólnie.

za kurewstwo natomiast uważam wykorzystanie przy tworzeniu scenariusza życiorysów ludzi, którzy sobie tego nie życzą. za kurewstwo i brak wyobraźni. ewentualnie próbę udowodnienia czegoś przez kogoś, kto za żadne skarby nie może sobie znaleźć miejsca w polskim rap biznesie, a to miejsce znaleźć sobie musi. i ja już nie będę wnikał dlaczego.

podsumowanie dla całej sprawy znalazłem w dementi Sokoła, którego fragment wykorzystuję bez jego wiedzy: „A swoją drogą na filmy o samych sobie jest chyba trochę zbyt wcześnie, chyba że ktoś czuje się polskim Eminemem".

polskim Eminemem chyba nikt się nie czuje, za to najwyraźniej komuś się wydaje, że jest polskim Hypem Williamsem.

.:KOWALSKI:.

KOT FORINA



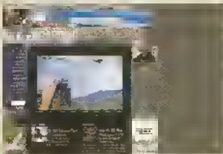
Sposób przyrządzania:
Bierzemy jednego kota i jeden karton. Uwaga karton musi być dopasowany do wymiarów kota, po zwinięciu kota w kwadrat (o ile można coś zwinąć w kwadrat). Upychamy zwiniętego kota do kartonu i czekamy aż skruszeje. Niecierpliwym proponujemy wstawienie kota do piekarnika na 45 minut.
Smacznego!

wuwuwu



www.fenixatl.com

Strona jednej z ciekawszych firm produkujących ubrania dla deskorolkowców i nie tylko. Poza bardzo ciekawymi wzorami i projektami ubrań, Fenix zadbał też o dobrą stronę www. Jest ona zrobiona we flashu dzięki czemu wygląda bardzo elektownie. Już od pierwszych sekund powala zajebiste intro. Minusem jest może nieco zbyt skomplikowana nawigacja, ale nie można narzekać. Ten site powinien zadowolić nawet najbardziej wybrednych internautów. Znajdziecie w nim informacje o riderach i muzykach ubieranych przez Fenixa, obejrzycie sekwencje deskorolkowe i zapoznacie się z kolekcją ubrań firmy. Na tle innych, polskich stron absolutny wypas!



www.skateboarding.com

Tym razem coś dla fanów deskorolki amerykańskiej czyli strona najpopularniejszego magazyny Transworld Skateboarding. materiałów tu jest całe mnóstwo, od newsów, przez zajawki artykułów w magazynie, klipy video do całego archiwum TWS. Jeśli macie jakieś wątpliwości odnośnie jakichś informacji - śmiało możecie je zweryfikować dzięki jej stronie. Jest ona bardzo czytelna i niestety uboga w grafikę. Dużym plusem są częste aktualizacje.



www.vehicle.cz

Tym razem coś zza naszej południowej granicy. Pamiętacie grupkę Czechów startujących na Mentor Skateboarding Session? Reprezentowali oni barwy firmy odzieżowej Vehicle. Całkiem niedawno wpadłem na trop ich strony internetowej i powiedzieć muszę, że nawet mi się ona spodobała. Znajduje się tu wszystko co taka strona mieć powinna - informacje o sponsorowanych deskorolkowcach razem z ich zdjęciami i filmikami, prezentacja ubrań i ciekawy design strony. Jeśli myślicie, że Czech to tylko Szwejk, Havel i knedliczki, szybko odpalajcie ten site i zmieniajcie swoje zdanie...



www.kingpinmag.com

Całkiem niedawno gościliśmy w Polsce kolesi z magazynu Kingpin. Wraz grupką skaterów z Europy przybyli aby zrobić materiał o naszym pięknym kraju i tutejszej scenie deskorolkowej. Moim skromnym zdaniem magazyn ten jest, jeśli nie najlepszym, to na pewno jednym z czołowych tytułów na świecie. Prezentujemy teraz ich internetową odsłonę. Przeczytać w niej można o tym co dziać się będzie w bieżącym numerze właściwej, czyli papierowej wersji - ale nie jest to przecież żaden rarytas. Walorem strony jest to, że oferuje bardzo szczegółowe i co najważniejsze aktualne newsy ze świata europejskiego skateboardingu. Bardzo przydatny jest też dział linków - znajdziecie tutaj adresy do większości firm, magazynów i co najważniejsze do stron fotografów i kamerzystów. Kingpinmag.com nie jest może super stroną samą w sobie, ale stanowi bardzo przydatny przewodnik po internetowej mapie deskorolki.



www.skateboardeurope.com

Moja ulubiona strona internetowa. Jest to coś na kształt magazynu on line. Podzielona jest na różne artykuły. Można tam przeczytać wywiady z osobowościami europejskiej deskorolki i obejrzeć ich dokonania (zarówno zdjęcia jak i klipy video - zawsze jest ich bardzo dużo). Strona ta współpracuje z organizatorami cyklu zawodów Etnies European Open i, dlatego są tam bardzo wyczerpujące relacje z tych imprez. Nie znajdziecie tu żadnego flasha ani podobnych bajerów, wszystko jest złożone bardzo prosto ale przy tym pięknie (to słowo najlepiej do tego pasuje). Widać, że graficy bardzo przykładają się do kolejnych updatów. Stąd minus strony - jest ona rzadko aktualizowana. Jednak nie przeszkadza to w niczym, mogę kilkaset razy wchodzić na nią i oglądać te same artykuły - po prostu cieszą oko. Site rewelacyjny.

FLINTSTONE

To runie.

Wydarzenia, które niedawno miały miejsce w toruńskiej szkole, najchętniej zostawiłbym, gdyż nie wywołują u mnie silnych emocji, napawają raczej mdlącą pogardą. Muszę je jednak skomentować z dwóch powodów: jeden jest ogólnoludzki, drugi zaś niestety związany z hip-hopem.

Ok, ów nauczyciel był podstarzałym kawalerem, który mieszkał z mamusią. Młodzież jest trudna, coraz trudniejsza, w zawodzie potrzebny jest pomysł na kontakt z młodzieżą i autorytet - powiedzmy, że z tym nie było u niego najlepiej. Miałem w swoim życiu epizod z uczeniem w trzecich klasach gimnazjum, gdzie ludzie są już co nieco rozwydrzeni. Słuchaliśmy razem Emila Blefa, Asha z resztą Trzech Styli, Króla Maciusia. Rozpatrywaliśmy na ich przykładzie przypowieść, alegorię, współczesne zastosowanie bajek, mówiliśmy jak niedaleko czasem takiemu Ashowi do Stachury, a hip-hopowi do poezji. Było strasznie fajnie, choć o dziwo, na lekcjach gdzie dyskutowałem o Twardowskim czy Szymborskiej było jeszcze lepiej. W końcu spróbowałem się z klasą, o której jeden nauczyciel powiedział, że z tego nic nie będzie, że wyrosną z nich najwyżej „kurwy i złodzieje". To taka klasa, gdzie na lekcji małolaty przeklinają i nikogo z kadry to specjalnie nie bulwersuje, cóż bywa - ulica twardo chowa. Wreszcie, drogą kompromisów, udało się zrobić część materiału, kosztowało to słuchanie puszczonego z ich kasety utworu „Będzie dobrze dzieciak", parę uniwersalnych morałów. Może nie było to najłatwiejsze 45 min, ale byli względnie zainteresowani, nikt mnie wyzywał, wszystko mieściło się w normie. Z ciekawostek - w tym gimnazjum, będąc jego uczniem, należało słuchać hip-hopu, było to w dobrym tonie. Cóż... O Sugarhill Gang nie słyszał nikt, o hh jako czterech elementach jedna osoba na wszystkie klasy, grupy i wykonawców innych niż Molesta znało parę osób. Pomimo wypaczonego oblicza mody na hip-hop, gimnazjum wspominam dobrze, zaszczepiło mi wiarę w młodych ludzi...

Ale gdyby ktoś wytarł mi twarz gąbką, zarzucił na głowę jakieś świństwo i tak dalej, tak bym mu wyjechał w mazak, żeby się nogami nakrył. To byłoby moje bezstresowe wychowanie. Ten nieszczęśnik z Torunia nie mógł, zależało mu na pracy, a jak wiecie, nie jest o nią łatwo. Grupa osób, taka jak klasa, ma tendencje do zmieniania się w tłum. Tłum nie myśli, tłum nie przewiduje konsekwencji, staje się jedną bezpłciową, rozochoconą masą, nakręca się na coraz głupsze, coraz bardziej przerażające wybryki. Gdyby z bronią było u nas jak w Ameryce, być może mielibyśmy drugie Columbine, a Latkowski z wywieszonym ozorem i zapewnionym soundtrackiem w T1 biegałby z kamerą.

Kolejna odsłona dramatu zaczyna się kiedy spostrzegamy, że większość z owej rozkosznej toruńskiej młodzieży nosi się hip-hopowo - bluzy z kapturami, szerokie spodnie. Gazeta Wyborcza w reportażu wyraźnie odnotowała - jeden z prowodyrów na pamiętnej lekcji rapował. Ledwo laicy zdążyli się otrząsnąć po tym jak Peja ogłosił w poczytnym tytule ogólnopolskim, iż jedyne co potrzebne jest Polsce, to bomba atomowa, a już opinia publiczna ma kolejny „hardcorowy delikates". Terrorysta w TVP podobno jarał zioło i nakłaniał do tego operatora, brawo, niedługo zrobią z niego hip-hopowca, a nawet jeśli nie, to już spotkałem się z programem, gdzie nastoletni widzowie uważali go za symbol buntu. Cudownie! Jeszcze więcej listów z więzienia w magazynach „hip-hopowych", jeszcze więcej ujęć pierdla w klipach. Polityka już insynuowała, że dziewczyny skejtów piją spirytus lotniczy i śpią po krzakach, makulatura w rodzaju City czy Aktivista hurtem uznaje mc (nawet takich jak Dizkret czy Eldo) za uliczników, a Chaciński z „Filmu", zamiast siedzieć na dupie i tradycyjnie kontestować polskie kino wzmiankuje o „skandalicznych raperkach wszelkiej maści" (!).

Nie winię naszego rapu, po pierwsze jestem dużym chłopcem i oddzielam sztukę od rzeczywistości, po drugie, trafiam np. na ostatni teledysk Morwy i nie widzę jakoś pielęgnowania agresji, raczej normalnych, uśmiechniętych ludzi, którzy w wolnej chwili (wnioskując z poprzedniego Ślizgu) czytają takie książki jak ja. Nawet najmroczniejsi nauczyli się bawić hip-hopem, Sokół mówi, że żyjąc hardcorowo nauczył się szacunku i przyjaźni. Tymczasem przez takich toruńskich półgłówków, gówniarzy bez najmniejszych choćby barier i promocję medialną, dla rzeszy zbuntowanych pojawi się nowy „hardcorowy" wzór do naśladowania. Tylko gdzie kurwa jest w tym hardcore? Byle hiena potrafi pójść za stadem. Na pewno niejeden z tych synciów w rapowych ciuszkach spłakał się w domu ze strachu przed mamusią, która mu je kupiła. Inni rodzice zabronią niedługo swoim pociechom kontaktu z rapem, szufladkując go według podsuwanych wzorców.

Osądzić jest łatwo i dość mam głosów, żeby tych padalców ukamienować. Natomiast pokazywać palcami, wyśmiewać, kompromitować - oczywiście. Za wszczęcie ogólnopolskiej fobii, podkręcanie międzypokoleniowego dystansu i odsuwanie nas wszystkich, ceniących sobie hip-hop od normalności w oczach innych.

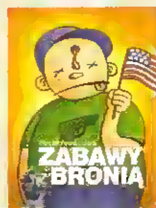
.:Flint (Czyste Słowa):.

KOMIKSOWE NOWOŚCI



We wrześniu ukazały się następujące komiksy (oczywiście poza tymi, które opisaliśmy w dziale recenzji): **Egmont**: Anachron tom 2. Siódmy kapitan, Dziedzic tom 3, Incal - Przed Incalem tom 3. Croot!, Inhumans tom 1, Kajko i Kokosz. Woje Mirmiła tom 1, Książę nocy tom 6. Powrót do Ruhenbergu, Skrzydła serafina tom 1. Kontakt, Thorgal tom 15. Władca gór, Vlad tom 3. Czerwona strefa, W poszukiwaniu ptaka czasu tom 1. Muszla Ramora, Wyprawa tom 3. **Mandragora**: Fathom (wydanie kolekcjonerskie), Kolekcja X tom 1. Figlarna wyobraźnia, Prawie 48 stron: Franky Krova. **JPF**: Akira 19. Wspomnienia (ostatni tom świetnej serii), Cowboy Bepop tom 3, Fushigi Yuugi tom 18, Naruto tom 2, Oh My Goddess tom 22. **Motopol**: Cedryk tom 3, Largo Winch tom 4. Business Blues, Michel Vaillant tom 3. Wyścig strachu. **BM Vision**: Wilq tom 3. Żółw, tuńczyk i jaskinia krokodyla. - **Krzysztof Gawronkiewicz i Grzegorz Janusz**, których pracę drukowaliśmy przed kilkoma miesiącami, wygrali ogólnoeuropejski konkurs na komiks, organizowany przez wydawnictwo Glenat i stację telewizyjną Arte. Gratulujemy! - Jeśli jeszcze zdążycie, to zapraszamy do Łodzi na **Międzynarodowy Festiwal Komiksu**: 24-26 października w Łódzkim Domu Kultury - Kolejne filmowe produkcje komiksowe w drodze: tym razem w zapowiedziach pojawiła się **Catwoman**, z Halle Berry w roli tytułowej, natomiast na DVD możecie już obejrzeć niezłego **Daredevila** (okładkę filmu widzicie obok). - I na koniec dwie smutne wiadomości: 30 września umarł **Zbigniew Lengren**, twórca znanego z łamów Przekroju komiksu o Filutku, zaś 31 lipca zmarł słynny włoski rysownik komiksów erotycznych **Guido Crepax**.

OGLĄDAJCIE, CZYTAJCIE...



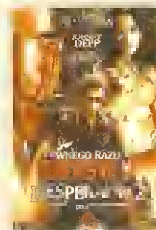
ZABAWY Z BRONIĄ
reż. Michael Moore
dystr. Spinka

O broni owszem jest tu sporo, ale nie dajcie się zwieść - jak naprawdę jest to film o strachu, który wg reżysera po 11 września jest już tak silny, że Amerykanie dadzą sobie wmówić wszystko i ograniczyć swoją wolność do poziomu współczesnego totalitarnego państwa. Mamy tu przerażający przekrój przez Stany Zjednoczone - zwykła głupota, miesza się z fobiami. W oczy kluje wszechobecny rasizm, kreowana przez media agresja, a czasem nawet ludzka bieda. Moore jest raptem reżyserem - amatorem z maturą, mimo to dokumentalistą genialnym. Nie dość, że gra na uczuciach jak chce - widz na zmianę śmieje się i jest przerażony, dwugodzinny seans ogląda się jak film sensacyjny. Znajdziemy tu kawałek kabaretowego występu Chrisa Rocka, fragment South Parku, wywiad z Marilynem Mansonem, momenty wycięte z filmów, statystyki. Spazmatyczna relacja nauczycielki dzwoniącej na policję po tym, jak dwóch uczniów wystrzelało kolegów w szkole w Columbine, na tle twarzy zdruzgotanych płaczących rodziców przechodzi raptem w wypowiedź Charltona Hestona, klasycznego aktora i przewodniczącego Towarzystwa Strzeleckiego, który trzymając spluwę wrzeszczy w euforii „Nie złożymy broni". Liryczna piosenka Louisa Armstronga towarzyszy m.in. scenom, w których amerykanie obalają demokratycznie wybranego prezydenta Chile, by ustanowić władzę ludobójcy Pinocheta, interweniują w Iranie powołując krwiożerczego szacha, szkolą za swoje pieniądze Bin Ladena. Cóż, jest to dzieło subiektywne, prezentujące osobisty punkt widzenia - czasem odautorski komentarz jest nawet zbyteczny, sceny komentują się same. Podstawowym problemem jest to, że za dużo chciano w nim powiedzieć i zbyt wiele spłycono. Czasem wydaje się też naiwne, jednak jest to naiwność efektywna. Jeżeli nawet Moore manipuluje, to z dużą gracją, i w konkretnym celu. W czasach kiedy tyle win zrzuca się na raperów, USA przyjmuje rolę żandarma świata, a wielu młodych ludzi marzy tylko o tym by tam wyjechać jest to pozycja obowiązkowa. (flint)



NIEBEZPIECZNY UMYSŁ
reż. George Clooney
dystr. SPI

Chuck Barris to legenda amerykańskiej telewizji. Wymyślił kilka najpopularniejszych teleturniejów, w tym najsłynniejszy: „Randkę w ciemno". I jednocześnie był zabójcą pracującym dla CIA. Tak przynajmniej napisał w swojej biografii... Twórców filmu nie interesuje specjalnie czy kariera Chucka w agencji to prawda, czy wymysł. Jego barwny życiorys posłużył bowiem jako fantastyczny materiał filmowy. Barrisa (świetny Sam Rockwell, znany choćby z „Zielonej mili") miał do CIA ściągnąć niejaki Jim Byrd (George Clooney). Wykorzystał on telewizyjną pracę Chucka, łącząc ją z zadaniami specjalnymi agencji, co prowadziło do groteskowych sytuacji, np. Barris jeździł ze zwycięzcami „Randki..." na zagraniczne podróże, podczas których miał do wykonania swoją misję. Dzięki temu nagrodzeni jeździli między innymi do Finlandii czy Berlina Zachodniego. Barris radzi sobie zresztą jako zabójca znakomicie, do czasu gdy psychiczne efekty takiego „podwójnego" życia dadzą o sobie znać. Jednak z drogi jaką wybrał Chuck nie ma już odwrotu... Życie niczym powieść szpiegowska? Kino przerabiało to już wielokrotnie, ale George Clooney (dla którego film jest reżyserskim debiutem) nie wpadł w pułapkę taniej sensacji. Zdając sobie sprawę, że być może wspomnienia Barrisa są jedną wielką blagą, reżyser wziął fabułę w ogromny cudzysłów i stworzył naprawdę niezłą komedię sensacyjną, gdzie humoru jest równie dużo co akcji. Pozwolił sobie też na rozmaite smaczki, np. w jednej ze scen Barris spotyka Lee Harveya Oswalda, zabójcę JFK. Zwróćcie też uwagę na występ Brada Pitta i Matta Damona. A jakich niespodzianek jest więcej. W skrócie: solidna reżyseria, świetne aktorstwo, fajna zdjęcia i muzyka. Wielki film to na pewno nie jest, ale warto zwrócić na niego uwagę. Dwie godziny solidnej rozrywki gwarantowane. A tymczasem Chuck Barris pisze już drugą część swojej autobiografii... (jd)



PEWNEGO RAZU W MEKSYKU
reż. Robert Rodriguez
dystr. Forum Film

Czekaliście na to? Ja tak. I się nie zawiodłem. Desperado powraca w świetnym stylu, a Rodriguez, najwyraźniej zmęczony trylogią o małych agentach, po raz kolejny udowodnił, że kocha bawić się konwencjami filmowymi. El Mariachi (Antonio Banderas) po śmierci żony i córki, żyje gdzieś w zapadłym meksykańskim miasteczku. Jednak i tam dopada go mroczna przeszłość: skorumpowany agent CIA (Johnny Depp w kolejnej fantastycznej roli) wynajmuje go do zabicia potężnego barona narkotykowego, ale dopiero po tym, gdy ten zlikwiduje prezydenta Meksyku. A to i tak dopiero początek wielopiętrowej intrygi. Przyznaję, że obawiałem się tego filmu, na pewno trudno powtórzyć sukces „Desperado", ale okazało się, że kolejna część jest tylko minimalnie słabsza od pierwowzoru (a w zasadzie części drugiej, trylogię bowiem otwierał skromny film „El Mariachi"). Mamy tu najlepsze elementy filmów Rodrigueza: widowiskową akcję, groteskowe strzelaniny, mnóstwo czarnego jak smoła humoru. No i świetne aktorstwo: nawet Enrique Iglesias sprawdził się jako pazerny na kasę mariachi. No i chylę czoła przed samym Rodriguezem. Nie tylko jest scenarzystą, producentem i reżyserem filmu, ale także autorem muzyki, montażu i zdjęć. Człowiek orkiestra? Być może. Na pewno jednak rozszerza znaczenie pojęcia „film autorski". Polecam. (jd)



GANGI NOWEGO JORKU
reż. Martin Scorsese
dystr. Best Film

Wielu krytyków niemiłosiernie objechało ostatni film Martina Scorsese, ale od tego są Uznanymi Krytykami, żeby na wszystko narzekać. Ja uważam, że to najlepszy film reżysera od czasu „Chłopców z ferajny". Rzecz dzieje się na początku lat 60. XIX wieku. Młody Irlandczyk Amsterdam Vallon wraca do Nowego Jorku, szukając zemsty za śmierć swojego ojca, który zginął w wojnie gangów kilka lat wcześniej. Jego zabójcą jest Bill Rzeźnik, trzymający teraz w garści większość nowojorskich zbrodniarzy. Nieoczekiwaną sojuszniczką Vallona stanie się drobna złodziejka. Krótkie streszczenie nigdy nie odda potęgi tego filmu: jest w nim wszystko, czego wymaga się od historycznej epopei. Od pierwszej sceny, porywającej, okrutnej i hipnotycznej jednocześnie walki gangów, aż do ostatnich minut film przykuwa uwagę na dobre. Do tego jest fenomenalnie zagrany: od drobnych epizodów po role głównych antagonistów w wykonaniu Daniela Day - Lewisa i Leonardo Di Caprio. Świetnie nakręcony, dynamicznie zmontowany, czuć tu mistrzowską rękę Martina Scorsese. Wielkie kino, niesłusznie pominięte przy rozdawaniu ubiegłorocznych Oscarów. Dla mnie jeden z najlepszych filmów 2002 roku. A na DVD jeszcze mnóstwo interesujących dodatków (umieszczonych na oddzielnej płycie), tak, że seans na kilka ładnych godzin zapewniony. (jd)



ZŁAP MNIE, JEŚLI POTRAFISZ
reż. Steven Spielberg
dystr. Universal

A skoro w poprzedniej recenzji wspomniałem o Leonardo Di Caprio, to z rozpędu polecę Wam jeszcze jeden film z nim w roli głównej. I aż sam sobie się dziwię, bowiem kiedyś tego aktora straszliwie wprost nie lubiłem, to teraz zaczynam go coraz bardziej cenić. W lekkim i przyjemnym filmie Spielberga Di Caprio wcielił się w Franka Abagnale'a, młodego oszusta, który zarabiał grubą forsę podając się za pilota, lekarza i jeszcze parę innych postaci. A ponieważ nakradł spore sumy, jego tropem rusza niezmordowany Carl Hanratty (Tom Hanks), agent FBI, dla którego złapanie Franka staje się niemal życiowym celem. To bardzo porządny film, świetnie zrealizowany, zabawny i nieco nostalgiczny chwilami. Warto poświęcić dwie godziny, żeby go obejrzeć, tym bardziej, że w tle mamy jeszcze świetnego Christophera Walkena w roli ojca Franka. A autorem ładnych zdjęć jest, jak zwykle u Spielberga, nasz człowiek w Ameryce, czyli Janusz Kamiński. I - co staje się coraz mocniejszą stroną wydań DVD - dostajemy drugą płytę z licznymi bonusami. (jd)



NOCNA ZMIANA
Stephen King
wyd. Prószyński i spółka

„Nocna zmiana" była pierwszym tomem opowiadań wydanym przez Kinga, jeszcze pod koniec lat 70., ale już po sukcesie „Carrie" i „Lśnienia". Idealna lektura dla ludzi, których męczą kilkusetstronicowe powieści pisarza, tym bardziej, że w krótkich formach sprawdza się on równie dobrze. Zbiorek zawiera kilka historii naprawdę znakomitych, nawet gdy (jak to w horrorach) opierają się one czasem na absurdalnych pomysłach. Warto zwrócić uwagę na „Dolę Jeruzalem" o nawiedzonym mieście, wzorowane na mitologii Lovecrafta, rewelacyjne są „Ciężarówki" (potężne samochody atakują ludzi - brzmi zabawnie, a jest naprawdę przerażające) i „Gzyms". A także nowelki, które stały się podstawą mniej lub bardziej znanych filmów: „Dzieci kukurydzy", „Cmentarna szychta" czy „Kosiarz trawy" (sfilmowany jako „Kosiarz umysłów", King wycofał zresztą swoje nazwisko z czołówki filmu). Reszta opowiadań również wymienionym nie ustępuje. Zdecydowanie w bogatej twórczości autora ten tom należy do najbardziej udanych. Warto go przeczytać, nawet jeśli nie jesteście fanami opowieści grozy.



600V

Komera, nie-komera?
Czyli pieniądze w hip-hopie cz. 3

Dziś zamierzam zająć się tematem komercji w hip hopie. Polacy pojmują komercję inaczej niż czarni w USA i stąd być może bierze się ogromna liczba nieporozumień w odbiorze współczesnego amerykańskiego hip-hopu wśród Polaków, ale również i nieporozumień dotyczących rodzimych produkcji.
Ogólnie problem polega na obawie przed tym, że ludzie robiąc muzykę w dużej mierze dla pieniędzy zapominają o sensie artystycznym tego, co robią. Moim zdaniem hip-hop to szczególny gatunek, w którym takie pojmowanie rzeczy jest błędem wynikłym z przeniesienia na rap-grunt pojęć powstałych na użytek muzyki pop czy rock. Hip-hop jest prawdziwy. Pop i rock niekoniecznie ma być tak autentyczny. Żaden dobrze sprzedający się raper w USA nie mógłby być do końca szczery z widownią ukrywając ilości pieniędzy jakie zarabia na muzyce. Jeśli zatem powiemy, że w USA istnieje moda na lód, miedź i luksus to musimy zrozumieć, że jest to naturalne następstwo faktu iż hip-hop musi być szczery. Jaki sens miałoby nagrywanie piosenek o biedzie i problemach biednych przez ludzi bogatych?????? Paranoja. Jaki sens miałoby pokazywanie się przez Dra Dre, Snoopa, Sermona, Timbalanda czy nawet Busta Rhymesa w jednopokojowych kwadratach i starych samochodach, skoro i tak każdy wie, że stać ich na wielkie domy i kozackie fury? Nikt, kto naprawdę żyje biednie, nie miałby ochoty słuchać takich ściemniaczy. Chłopaki w USA zarabiają na rapie wściekły hajs i fakt, że się do tego przyznają, nie jest nawet do końca ich wyborem. Jest konsekwencją faktu, że w hip-hopie nie możesz ściemniać. Jeśli zatem żyje się w luksusie, trzeba się do tego przyznać. Jeśli chce się zarabiać, by żyć w luksusie dalej - aby nie „jechać na ściemie" trzeba również mówić i o tym. Jeśli chcesz hip-hopu opartego na prawdzie musisz nauczyć się prawdę przyjmować. Z drugiej strony choć wykonawcy tacy jak J-ZONE, Q'n'C, Jigmastaz, Declaime, Louis Logic czy Molemen to jedni z moich ulubionych nie wydaje mi się abym z tego powodu musiał automatycznie nie lubić Notoriousa czy Snoopa. Dla mnie po prostu nie jest istotne jak kto odnosi się do pieniędzy. Dlaczego? Bo uważam, że to nie ma związku z artystycznym efektem uzyskiwanym na płycie. To jest hip-hop a nie punk rock. Tutaj każdy, bez względu na to jaki ma stosunek do forsy, i tak daje z siebie 120% bo w hip-hopie liczy się szacunek. Oto moje spostrzeżenia z ostatnich 15 lat:
1. Znam kilkaset kozackich płyt artystów hip-hopowych, którzy kochają pieniądze i rymują o tym w co drugim kawałku.
2. Znam kilkaset kozackich płyt hh artystów, którzy twierdzą, że nie robią hh'u dla pieniędzy.
3. Słyszałem wiele „komercyjnych" i jednocześnie bardzo kiepskich hip-hopowych albumów i…
4. …tyle samo albo i więcej gównianych - „undergroundowych".

Wniosek: Moim zdaniem to, czy artysta przyznaje się do chęci zarabiania pieniędzy nie ma ŻADNEGO związku z tym, czy płyta, której słuchamy jest ciekawa czy nie. Polska chora „komercjofobia" wynika z braku wiedzy o hip-hopie. Czarni nie mają żadnego stresu wykrzykując na lewo i prawo, że chcą zarabiać pieniądze na muzyce. Dla mnie to dowód szczerości, bo niewiele osób woli mieć pusty portfel niż pełne konto, a nie każdy umie się do tego przyznać. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że dla czarnych, którzy do niedawna musieli udowadniać, że są pełnowartościowymi obywatelami USA, możliwość zarabiania tak dużych pieniędzy na uczciwej pracy jest sporym powodem do dumy. Weźmy na przykład EPMD... Co znaczy skrót EPMD? Erick (Sermon) Parrish (Smith) Making Dollars tzn. E. i P. robią dolary. Już sama nazwa tego mistrzowskiego zespołu jest manifestem chęci zarabiania na muzyce. Tam to nikogo nie dziwi. U nas to niejednego szokuje. Tymczasem myślę, że mówienie o komercji w Polskim hip-hopie jest ogólnym nieporozumieniem. Dlaczego? Bo kto tu ma być w ogóle komercyjny? Artyści, którzy sprzedali np. w 2003 roku najwięcej kopii płyt hip-hopowych w Polsce to Peja i WWO. Do każdego ich albumu produkuje się co najmniej po 2 teledyski, które są regularnie emitowane w TV. Każdy z singli ląduje na rozmaitych (nie tylko hip-hopowych) listach przebojów i staje się „hitem" nie tylko wśród oddanych fanów hip-hopu. Pojawiają się reklamy płyt w prasie i spoty w telewizjach muzycznych. To jak na polskie warunki szczyt „komercyjnego" podejścia, bo nikt w tym gatunku nie robi w dziedzinie promocji więcej. Z drugiej strony nie zaryzykowałbym stwierdzenia, że Peja czy WWO to komera... Kto zatem jest komercyjny? Może HaKa (Hardkorowa Komercja)? Nie sądzę... Dlaczego? Bo wiem, że Borixon nagrywając płytę HaKa był świadomy faktu iż kreując własny wizerunek (osoby przyznającej się głośno do chęci zarabiania dużej ilości forsy i zainteresowania luksusem) raczej odbiera sobie fanów niż ich przysparza... To z definicji jest posunięciem anty-komercyjnym bo ukierunkowanym na autentyzm kosztem sprzedaży. To samo stwierdzenie dotyczy Tedego, który wyrazu „hajs" używa na ostatniej płycie częściej niż jakiegokolwiek innego słowa, a który również doskonale zdaje sobie sprawę, że właśnie to odbiera mu fanów (co odzwierciedlają wyniki sprzedaży). Zatem jak naprawdę komercyjnym posunięciem w tym kraju jest kreowanie siebie na realistycznego erce, rozumiejącego problemy społeczne współczesnej Polski (bo to gwarantuje sprzedaż). Ma tu miejsce pewne odwrócenie logicznego porządku rzeczy. Mówisz, że robisz hip-hop dla idei - jesteś komercyjny; mówisz, że robisz hip-hop dla hajsu - jesteś szczery i uczciwie wyrażasz swoje proste potrzeby, ale zarabiasz ewidentnie mniej. Oczywiście trzeba pamiętać, że ani Peja, ani WWO nie pozostawiają nawet cienia wątpliwości, co do faktu, że są autentyczni i na nikogo się nie kreują. Jak zatem pojmować pojęcie komercji w odniesieniu do polskiego hip-hopu? Myślę, że można to pojęcie jak na dzień dzisiejszy wyrzucić do kosza na śmieci bo w tym kraju i tak zarabia się śmiesznie małe pieniądze na muzyce. Naród jest biedny więc nic dziwnego, że piractwo rządzi fonografią, a spośród artystów w polskim rapie najwięcej zarabiają i tak Ci, których o komercję posądzić nie sposób...

.:600V:.

BYLIŚMY W...



Do Polski przybyli czołowi rajderzy firmy Burton i pokrewnych jej projektów Analog, Ronin, Anon itp. Jeśli ktoś chciał osobiście spotkać tych kozaków, tzn. Nataszę Zurek, Gigi Ruf, JP Solberga, Romaina de Marchi, a także Marka Sąsiadk, Wojtka Pająka i Marcelinę Frycz mógł się wybrać na imprezę do warszawskiego klubu Proxima gdzie wyżej wymienieni bawili się w tłumie ponad 500 innych gości na imprezie promocyjnej Burtona, nazwanej nieoficjalnie rozpoczęciem sezonu. Chyba sezonu dobrego melanżu, bo impreza była udana, w klubie do tej pory nie mogą doliczyć się szklanek, a kilku zawodników podobno do dzisiaj szuka drogi do domu...

NIELEGALNA AKCJA ESELGIE



Nielegalna Akcja Eselgie trwa. Trwa też redakcyjna burza mózgów i już wkrótce poznacie kolejne wybory naszego grona. A jeśli jeszcze nie wysłaliście swojego demo lub nielegala, to na co czekacie? Słuchamy wszystkich płyt, jakie do nas przychodzą. Wysyłajcie je na adres redakcji: Ślizg, ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa.

OKAZJA DLA SAMOTNYCH CZYTELNICZEK

Niezawodni wynalazcy z Kraju Kwitnącej Wiśni wymyślili ostatnio cudowne remedium na samotne noce: rękę do przytulania. Nigdy więcej samotnie spędzonych nocy! Ręka do przytulania zapewni ci błogie chwile i ciepło męskiego ciała, a na dodatek nigdy nie poprosi, żebyś przyniosła piwo! Podziwiajmy inwencję narodu japońskiego!





FALA

SZYBKI KURS SCENICZNY

Ostatnie kartki z kalendarza popchnęły mnie do rozmyślań nad ideą bycia artystą. Z jednej strony człowiek po prostu robi to, co mu najlepiej wychodzi i co lubi. Niektórzy czują wręcz fizyczny przymus tworzenia gdy zdarza im się mieć wenę. To kwestia powołania lub też po prostu rozwijania w sobie talentów, co z czasem staje się nieodłączną częścią codzienności. Z drugiej strony jest silna pokusa żeby na swojej twórczości zarabiać. Wydaje się bowiem słuszne, żeby móc żyć z tego, co sprawia przyjemność. To mechanizm oczywisty bez względu na to, czy jest się raperem, kierowcą autobusu czy miłośnikiem sadzonek. To naturalne chcieć zarabiać na ulubionej aktywności.
Z trzeciej zaś strony artysta to ktoś, kto ma misję. Jeśli sam jej sobie nie narzuci, to zawsze może liczyć na innych - najczęściej na słuchaczy oraz krytyków, którzy nie omieszkają wytknąć mu najdrobniejszych uchybień podczas analizy jego tekstów. Teraz już łatwo zrozumieć dlaczego często raperzy unikają czy wręcz obruszają się na słowo „artystą" wypowiedziane w ich stronę, choć w 100 % odpowiadają jego słownikowej definicji.
Być artystą to być odpowiedzialnym. To ogranicza bo zmusza do przemyślenia każdego słowa i świadomości, że każda twórczości, która idzie w eter, wywołuje u odbiorców jakieś skutki. Ciekawa jestem jaki procent twórców zastanawia się nad swoimi tekstami pod kontem ich całościowego przesłania, ilu się nad tym nie zastanawia w ogóle nigdy i jaki procent nagrywa kierując się intuicją by potem - na potrzeby mediów - uświadomić sobie o co tak na prawdę walczy.
Moim pobożnym życzeniem jest żeby raperzy brali choć minimum odpowiedzialności za swoje słowa. Skutki krótkofalowe są fajne - jest sprzedaż i popularność ale przecież wielu z nas widzi, że kultura hip-hopowa nie jest już taka sama jak kiedyś. Wiele rzeczy się zmienia i wiele z nich na gorsze. Czynników na pewno jest masa ale nie bez znaczenia jest to, co jest wypowiadane. Jako dziennikarka wiem, że słowa mają moc, czy się w to wierzy czy nie. Dlatego hołduję zasadzie bycia artystą świadomym. To taka dygresja tylko...
Oczywiście można mieć wszelkie wartości gdzieś. Można mieć wszystko gdzieś... i są tacy. W grę wchodzi tu czwarty i ostatni aspekt bycia artystą. Nazwijcie to jak chcecie: popularność, pycha, gwiazdorstwo, wożenie się, szacunek, sława, miłość fanów. Wszystkie te określenia mówią o tym samym, choć z różnym odcieniem emocji. Nigdy nie ma bowiem tak, że ktoś jest kochany przez wszystkich.
To pewnie oczywiste, ale wierzcie mi odkryłam na prawdę niedawno, że choćby ktoś był nie wiem jak dobrą i słodką istotą, popularność powoduje polaryzację. Podczas gdy tłumy dostają szału z zachwytu, innych krew zalewa. I im osoba jest bardziej znana tym bardziej ekstremalne są reakcje. Niedawno w ręce wpadł mi cytat: „Jeśli nie masz wrogów, znaczy że do niczego jeszcze w życiu nie doszedłeś". To smutny fakt, smutny bo nie znam osoby, której nie zależy na tym, żeby ją lubiano. Jedni się z tym kryją, inni mówią o tym otwarcie. Tylko czy ta motywacja usprawiedliwia pewne pociągnięcia jeśli oznaczają one rezygnację z misji albo z talentu. Nie umiem przyjąć takiej perspektywy ale jedno wiem: piętnuję te osoby, dla których sława jest potrzebą największą (to o tym jest „Gwiazda"). Cały problem leży w wyważeniu tych czterech szal - realizowania siebie versus pokusy zarabiania szmalu, a także poczucia misji versus próżności i chęci poklasku. Podsumujmy na konkretnym przypadku: kiedy nagle zrywa się dyskusja na wszelkich forach internetowych, w wywiadach padają pytania, a Radiowa Trójka robi sondę - oznacza to, że temat jest kontrowersyjny. To z kolei znaczy, że reakcje są silne i różne, a co za tym idzie, że osoby, których sprawa dotyczy są bardzo popularne. Tym bardziej, że obie popularne są w zupełnie odmiennych środowiskach, które do tej pory się ścierały a teraz nagle połączyły siły. Szok! Nagle ludzie nie wiedzą co mają myśleć... Jakie przyjąć stanowisko... Nie wiedzą bowiem jaka jest koniunktura i poprzez nasilenie komunikacji usiłują wypracować wspólny model. To głupie, ale tak już jest, że ludzie boją się i wstydzą siebie nawzajem, lubią zatem mieć stanowisko poparte przez większą grupę. Lubią mieć kogoś, kto jest dla nich autorytetem, ale i lubią mieć chłopców do kopania. Tacy już są, tacy jesteśmy...
Ja własne zdanie na ten temat oczywiście mam ale będąc odpowiedzialną za swoje słowa nie wygłoszę go publicznie. Zdaję sobie bowiem sprawę, że mam za mało informacji żeby być pewną przesłania, które miałabym puścić w świat. Moje opinia z pewnością też nie przysporzy mi popularności, szczególnie w kręgach mających się za elitarne. Poza tym jestem elastyczna w swoich przekonaniach uznając to jednak za aspekt inteligencji a nie za konformizm społeczny. No dobra powiem! A ile mi zapłacicie?

.:Fala:.

LISTOPAD W KINACH



MATRIX REWOLUCJE
reż. Larry Wachowski, Andy Wachowski
wyst. Keanu Reeves, Laurence Fishburne, Carrie-Anne Moss, Hugo Weaving
Kontynuacja „Matrixa" i „Matrixa Reaktywacji". Końcowy film trylogii, przynoszący rozwiązanie wielu zagadek z poprzednich dwóch części. Szczegółowa fabuła filmu utrzymywana jest w tajemnicy. Na całym świecie, a więc i u nas film wchodzi na ekrany w tym samym terminie - 5 listopada.



PODWÓJNY BLEF
reż. Neil Jordan
wyst. Nick Nolte, Tcheky Karyo, Emir Kusturica, Said Taghmaoui, Ralph Fiennes
Starzejący się hazardzista, którego dobra passa już dawno się skończyła, postanawia napaść na kasyno na południu Francji. Bob jednak nie wie, że o jego planach poinformowani zostali już policjanci, którzy z pewnością zrobią wszystko, żeby nie dopuścić do kradzieży. W kinach od 7 listopada.

DARK WATER
reż. Hideo Nakata
wyst. Hitomi Kuroki, Rio Kanno
Yoshimi Matsubara walczy o prawo do sprawowania opieki nad swoją pięcioletnią córką, z którą mieszka w ponurym, wilgotnym budynku w Tokyo. Niepewna siebie i niespokojna o przyszłość córki, zaczyna być nękana wizjami cieknącej po ścianach wody oraz obrazem ducha dziewczynki, która zaginęła w tym budynku kilka lat wcześniej w tajemniczych okolicznościach. Yoshimi rozpaczliwie stara się zapanować nad strachem, ale przerażające wizje zaczynają układać się w koszmar, przed którym będzie próbowała uchronić siebie i córkę. Horror twórcy dwóch części znakomitego „Kręgu". W kinach od 14 listopada.



RZEKA TAJEMNIC
reż. Clint Eastwood
wyst. Sean Penn, Laurence Fishburne, Tim Robbins, Kevin Bacon
Historia trzech przyjaciół z dzieciństwa - Seana, Jimmy'ego i Dave'a, którzy po dwudziestu pięciu latach spotykają się ponownie, by przeprowadzić śledztwo w sprawie morderstwa córki jednego z nich. Najnowsze dzieło Clinta Eastwooda, zapowiada się więc porządny film na wysokim poziomie. W kinach od 14 listopada.



SNOWBOARDER
reż. Olias Barco
wyst. Nicolas Duvauchelle, Gregoire Colin, Juliette Goudot
Gaspard młody snowboardzista ma jedno marzenie: chce jeździć jak jego idol Josh Attersen. Pewnego dnia Josh zauważa Gasparda w czasie treningu i proponuje mu wyjazd na obóz szkoleniowy do Gstaad w Szwajcarii. Tam czas upływa mu na wyczerpujących treningach i dzikich hulankach. Wszystko jednak zaczyna się komplikować kiedy zakochuje się w dziewczynie Josha, Ethel. W kinach od 21 listopada.

SMAKOSZ 2
reż. Victor Salva
wyst. Ray Wise, Jonathan Breck, Nicki Lynn Aycox, Travis Schiffner
Sequel przyzwoitego horroru o krwiożerczym monstrum. Tym razem walkę na śmierć i życie z potworem stoczyć będą musieli członkowie szkolnej drużyny koszykówki, którzy wracają do domu po wygranych zawodach. W kinach od 28 listopada.



UNDERWORLD
reż. Len Wiseman
wyst. Kate Beckinsale, Scott Speedman, Shane Brolly
Zapowiada się zajebisty horror. We współczesnym świecie trwa walka pomiędzy wampirami, a wilkołakami, które chcą się uwolnić od wielowiekowej dominacji krwiopijców. Po której stronie staniesz? W kinach od 28 listopada.



PAN I WŁADCA: NA KRAŃCU ŚWIATA
reż. Peter Weir
wyst. Russell Crowe, Paul Bettany, Billy Boyd
Ekranizacja morskiej opowieści autorstwa Patricka O'Briana, pierwszej z cyklu książek, przedstawiających świat Królewskiej Marynarki podczas wojen napoleońskich. Opowieść o dowódcy angielskiego okrętu, który rusza w niebezpieczny pościg za francuską fregatą na wodach wokół Przylądka Horn. W kinach od 28 listopada.

TWARZE (POP)KULTURY



Bracia Coen

Joe i Ethan Coenowie to jedni z najbardziej uznanych (i popularnych jednocześnie) twórców współczesnego amerykańskiego filmu. Chyba każdy kinoman zna takie tytuły jak „Barton Fink", „Fargo" czy „Bracie, gdzie jesteś". W swoich wspólnych (Joel reżyseruje, Ethan produkuje, a razem piszą scenariusze) dziełach łączą groteskę i wyjątkowo czarny humor z napięciem i sensacją, ale robią to w sposób oryginalny, nietypowy i nietuzinkowy. To zresztą owocuje licznymi nagrodami: od Oscarów po Złotą Palmę w Cannes (otrzymali ją za „Bartona Finka" właśnie). Już wkrótce na nasze ekrany trafi nowy film utalentowanych braci **„Okrucieństwo nie do przyjęcia"** (Intolerable Cruelty) z Georgem Clooneyem i Catherina Zeta-Jones w rolach głównych. Jedno można powiedzieć: na pewno warto go zobaczyć. Premiera 24 października.



Quentin Tarantino

Oto człowiek, który w swoim czasie ostro namieszał w światowym kinie. Już jego reżyserski debiut - gangsterski dramat „Wściekłe psy" - zdobył ogromne uznanie krytyki i uwielbienie widzów. Zaś „Pulp Fiction" to zdecydowanie jeden z najsłynniejszych filmów lat 90. Potem przyszła pora na jedną z nowelek w „Czterech pokojach" oraz „Jackie Brown" (jeden z ulubionych filmów Wzorowego), opartą na powieści Elmore'a Leonarda. Tarantino uwielbia bawić się kinem, przekształcając klasyczne, zużyte już filmowe wątki i nadając im nowego kształtu i sensu. Udowodnił to również swoimi scenariuszami do takich obrazów jak „Od zmierzchu do świtu" czy „Prawdziwy romans". A teraz niecierpliwie czekamy na **„Kill Bill volume 1"**, w którym Quentin wziął na warsztat kino kopane. Już na ekranach!



Clive Barker

Jeden z najpopularniejszych pisarzy horrorów, przy czym zdecydowanie popularność idzie tu w parze z talentem. Stworzył nie tylko sztandarowe postaci horroru: Candymana i Pinheada (z cyklu filmów Hellraiser), ale również znakomite powieści (m.in. „Cabal", „Potępieńcza gra") i opowiadania (zawarte w zbiorach z serii „Księgi krwi"). W swoich książkach Barker nierzadko szokuje ilością przelanej krwi i wściekłej agresji, ale także daje do myślenia, a przede wszystkim zapewnia przyzwoitą rozrywkę, choć przeznaczoną głównie dla wielbicieli ponurej grozy. A już teraz mamy możliwość zapoznania się z jego najnowszą powieścią: **„Wąwóz Kamiennego Serca"** właśnie trafił do naszych księgarń.

KONKURS



UWAGA, konkurs w którym do wygrania są nagrody związane z Battle of the Year, o yeah! Do wygrania są naprawdę zajebiste bluzy i koszulki BOTY. Dokładnie to dwie koszulki na finały BOTY2003, dwie bluzy i dwie kasety z muzyką z BOTY2000. Pytania są proste jak drut:

-Które to finały BOTY będą w tym roku?
-Kto wygrał w zeszłym roku?

Odpowiedzi wysyłajcie na adres mailowy boty@boty.pl

Paresłów

ROZWIĄZANIE KONKURSU

Oto prawidłowe odpowiedzi na konkurs poświęcony dziewczynom z Paresłów: - Tytuł pierwszej płyty zespołu to Galaktao - W Paresłów występują Fala i Doreli - Najlepszy magazyn w całej galaktyce to oczywiście... Wy już wiecie doskonale!
Płyty i znaczki zespołu otrzymują: Marek Barecki (Warszawa), Hanka Mironiuk (Olsztyn), Grzegorz Tyslak (Frombork), Grażyna Wiśniewiak (Kraków) oraz Sylwia Banach (Warszawa). Gratulujemy zwycięzcom i zapraszamy do udziału w następnych konkursach.

trik miesiąca

Tadeusz Szymański

Plac Wolnosci/Poznań

frontside bluntslide

foto: Wojtek Anton...













Toy Story

czyli o odradzaniu się słów kilka...

Są takie rzeczy, które towarzyszą nam przez całe życie. Choćby nie wiem c się stało i tak zawsze gdzieś tam się pojawią. Nie ma znaczenia czy jest to jakaś rzecz materialna czy myśl. Nawet gdy pożegnamy się z nią na dobre, później w najmniej oczekiwanym momencie znów stanie nam przed oczami to zjawisko. Coś jest w tym z przeznaczenia, a coś z przypadku ale tak po prostu jest.

Nie bez przyczyny zacząłem takim dziwnym i wstępem. Mowa dzisiaj będzie o czymś bardzo potrzebnym deskorolce, bardzo też znienawidzonym, dawno już skazanym na zapomnienie, a jednak w cudowny sposób odrodzonym i ciągle funkcjonującym. Skatepark Jutrzenka, bo on właśnie będzie bohaterem tegoż Toy Story, w bardzo dziwny i kontrowersyjny sposób splata się z polskim skateboardingiem. Dlaczego kontrowersyjny? Przejdźmy do początku...

Cała historia zaczęła się chyba w roku 1997, kiedy to miasto postanowiło ufundować młodzieży miejsce do jazdy na... rolkach. Boom na te przyrządy, jaki wtedy panował, zmobilizował władze Warszawy do tej inicjatywy. Oczywiście, jak to w Polsce bywa, efekt nie był najlepszy. Zamiast przyłożyć się do budowy skateparku i dobrze zaplanować miejsce i przeszkody osoby się tym zajmujące skupiły się bardziej na sprawie gastronomii, dobrego nagłośnienia i ścieżki dookoła Jutrzenki do jazdy rekreacyjnej na rolkach. W rezultacie powstał dosyć dziwny twór mający kształt koła z wielkim filarem w środku, znajdujący się pod ślicznym żółtym namiotem. Żeby było zabawniej nie można było tam jeździć na deskorolce z powodu (uwaga!!!) tego, że skateboarderzy niszczą przeszkody. Nikt z deskorolkowców się tym specjalnie nie przejął, gdyż wyposażenie toru nie nadawało się dla nich, całość robiona wybitnie pod rolki.

Po ufundowaniu tego parku rozrywki władze miasta wyraźnie spoczęły na laurach i sprawą przestały się interesować. Po wielkiej medialnej wrzawie o miejscu tym zaczęło się publicznie mówić coraz mniej. Rolkarze korzystali z Jutrzenki do woli i przeszkody stopniowo zaczęły ulegać coraz większej ruinie. Nie było pieniędzy na renowacje, więc elementy skateparku coraz bardziej zaczynały przypominać ser szwajcarski. Tak działo się przez kilka lat.

Szał na wrotki skończył się tak szybko jak zaczął. Jutrzenka zaczęła świecić pustkami...

Jedynym sposobem na dalszą egzystencję było wpuszczenie z powrotem do łask deskorolkowców. Dla skateboarderów, którzy zimą nie mieli co robić również było to jakieś wyjście. Dlatego przez całą zimę przybywali tam chociażby po to aby pomęczyć triki na skrzynce z kątownikiem. Jednak wszyscy wiedzieli że jest to tylko opcja na czas zimy.

Z nastaniem wiosny znowu w namiocie nastała cisza, deskorolkarze przenieśli się na uliczne miejscówki, nikt przecież nie chciał przychodzić do miejsca gdzie nie było praktycznie niczego.

Wtedy to Adam Malita postanowił wziąć sprawę w swoje ręce i objął warszawski skatepark pod swoją opiekę. Powstały nowe przeszkody zaprojektowane przez skaterów i nastały nowe czasy dla Jutrzenki. Chociaż tor budził wiele kontrowersji (przeszkodom daleko było do ideału) wreszcie było miejsce gdzie można było w spokoju pojeździć. Czuło się że jest to miejsce bardzo ważne i potrzebne do rozwoju skateboardingu. Do Warszawy ściągały liczne pielgrzymki amatorów jazdy w skateparku, były to złote czasy żółtego namiotu.

Po kłopotach z różnymi rzeczami Adam zrzekł się po ok. dwóch latach opieki nad skateparkiem. Kultowa dla wielu miejscówka umarła dla skateboarderów.

Nowy „kierownik" miejsca Amadeusz Ciesielski (znany rolkarz i tancerz) zapragnął stworzyć tam coś zupełnie innego. Przeszkody zostały wywiezione a w środku miał powstać dyskoteka na wrotkach. Bandy otaczające Jutrzenkę przemalowano na fluorescencyjne kolory i tak oto powstał kolejny niewypał. Oczywiście nikt nie przychodził tam aby oddać się szaleństwu tańca na butach z kółkami, amatorzy pląsów pewnie woleli to robić w bardziej klasyczny sposób czyli w klubach, nikt nie chciał przychodzić aby się bawić w tak obskurnym miejscu.

Trwało to może rok. I nagle sytuacja się zmieniła za sprawą chłopaków z warszawskiego osiedla Gocław (tych samych, którzy organizowali dwie edycje zawodów Infity Cup). Mieli oni zrobiony przez siebie tor, na którym odbywał się drugi kontest. Nigdzie nie mogli go ustawić bo nie było na to miejsca. Dlatego doszli do porozumienia z Amadeuszem i cały skatepark został przetransportowany do żółtego namiotu. Tak oto Jutrzenka powstała jeszcze raz niczym feniks z popiołów. Nowy tor jest dużo lepszy od poprzedniego, właściwie to bardzo go przypomina, jednak wysokości murków są bardziej odpowiednie. Teraz nie ma mowy o żadnych niedoróbkach, jest po prostu świetnie.

Nie wiem co jest takiego w tym miejscu że dzieje się z nim tak wiele i tak często rzeczy tam się zmieniają. Chyba tak będzie do końca, nikt chyba nie wierzył że coś tam się jeszcze wydarzy. Ważne jest to że miejsce takie jest bardzo potrzebne nam skaterom. Znowu nadciągają tam tłumy amatorów deskorolki i rowerów. Zima nie będzie okresem, gdy trzeba odwiesić sprzęt na długi mroźny okres. Dlatego gorąco zapraszam was do odwiedzenia Jutrzenki. Trzeba korzystać dopóki znowu coś tam się dziwnego wydarzy...

.:TOI OI:.





Amadeusz Kraj
lipslide

Ziklasynka gatunku
czyli Skate City Classic

Pamiętam, jak - wydawać by się mogło całkiem niedawno - jechaliśmy do Opola na pierwsze zawody Skate City Jam. Tak naprawdę to odbywały się one w niedalekim Gogolinie i nie było to tak niedawno, tylko cztery lata temu. Tak moi drodzy, wiosenki płyną i z małej, lokalnej imprezki z roku na rok Skate City zmieniało się na coraz bardziej prestiżowe wydarzenie. Dzięki temu cyklowi kilku opolskich deskorolkowców, takich jak np. Przemek Cymbalski czy Sewer Ukleja mogło zaistnieć na ogólnopolskiej scenie. Ponadto pomogło to rozwinąć skateboarding w stolicy polskiej piosenki i okolicach. Warto dodać, że dwie pierwsze imprezy odbywały się we wspomnianym już Gogolinie, natomiast następne miały miejsce już w samym Opolu.

W tym roku nadszedł czas na jubileuszowy piąty już contest i dlatego organizator Adam postanowił zmienić nazwę imprezy na Skate City Classic, gdyż jak sam mówi, jest to najdłuższy cykl imprez w Polsce i dlatego można zaliczyć go już do klasyki. Piąta edycja przyniosła ze sobą nie tylko zmianę nazwy. W stosunku do poprzednich zawodów z cyklu Skate City modyfikacji uległ regulamin (o tym za chwilę) i co najważniejsze (szczególnie dla mieszkańców Opola) skatepark po zawodach nie miał być zwinięty i wywieziony w siną dal, tylko miał zostać i służyć lokalnym skaterom.

Skoro mowa o torze, to warto się tu na chwilę zatrzymać. Całość była rozstawiona na specjalnie do tego wylanej idealnej nawierzchni. Niektórzy mogli narzekać, że była ona nieco śliska, ale wiadomo, że zawsze pojawią się jacyś malkontenci. Przeszkody skateparku jak na polskie warunki były bardzo dobre. Oczywiście nie można ich było porównywać do tych z Mystic Cup, ale nie było się czego wstydzić. W centralnym miejscu placu stał jak to zwykle bywa duży funbox. Ciekawym motywem było to, że zamiast jednego zjazdu znajdowały się tam schody z małą poręczą - dawało to małą namiastkę ulicy. Oprócz tego tor wyposażony był w quater pipy, banki, płaskie rurki i murki. Możliwości do robienia trików było mnóstwo. Nie do końca przemyślaną opcją było według mnie ustawienie z boku chyba trzech mini ramp połączonych ze sobą. Samo w sobie może nie było to złym pomysłem, ale były one tragicznie wykonane - nie wiem czemu miało to służyć na co dzień - ale na czas zawodów stanowiły niezłe miejsce dla publiczności.

Skatepark w Opolu to jednak nie tylko zasługa Adama ze Skate City. Niezłym szokiem była dla mnie wiadomość kto jeszcze przyczynił się do tego. Mój światopogląd runął na łeb, gdyż dowiedziałem się wtedy że władza niekoniecznie musi być zła. Otóż wiceburmistrz Opola Arkadiusz Karbowiak dołożył wszelkich starań aby ta impreza i co najważniejsze skatepark ujrzał światło dzienne.

Po tak przydługim wstępie warto przejść wreszcie do meritum sprawy. Należą się jeszcze wyjaśnienia odnośnie zmiany regulaminu. Biorąc przykład z dalekich antypodów organizatorzy znacznie zmienili zasady zawodów. O co chodzi? Otóż w Australii, na zawodach Globe'a skaterzy nie startują pojedynczo, tylko podczas przejazdu jeździ ich kilku na raz. I mają więcej czasu niż tylko jedną minutę. Ma to oczywiście służyć zmniejszeniu do minimum stresu płynącego z solowych występów - wiadomo, że w kilku raźniej. Sposób ten nazwany został australijskim jamem i w tym roku został przeniesiony na grunt polski (w podobnym systemie - choć nie takim samym - rozegrano zawody w Cieszynie kilka miesięcy wcześniej).

Zawodnicy zostali podzieleni na kilka grup po sześciu skaterów. W eliminacjach nie było większych niespodzianek. Główni faworyci raczej awansowali dalej. Miłym zaskoczeniem był występ lokali z Opola i niedalekiego Brzegu



Kuba Bączkowski
feeble grind
foto: Rafał Wielgus



Gutek Szymanski
fs. bluntslide

klasyka gatunku
czyli Skate City Classic

(m.in. Amadeusz Kraj, Mikołaj Baranowski). Widać było, że czuli oni się świetnie w stolicy polskiej piosenki i atmosfera zawodów im służyła. Z dobrej strony pokazał się też Adrian Weszeńda, na co dzień mieszkający w Niemczech, ale pochodzący z Polski - jest to przedstawiciel technicznej szkoły deskorolki. Popis jazdy dawał też warszawiak Karol Furmańczyk, który na co dzień nie rusza się ze swojego osiedla, nie wiem co się stało, że przybył aż do Opola.

Jak wcześniej wspomniałem starzy wyjadacze pewnie awansowali do dalszej gry - Gutek, Przemek Cymbalski, Kuba Bączkowski czy Przemek Robaczewski nie mieli z tym problemu. Następną rundą był półfinał. Awansowało do niego dwunastu śmiałków. Zgodnie z nową świecką tradycją zostali podzieleni na dwie grupy po sześciu. Spośród nich miano wyłonić trzech finalistów. Druga runda była o wiele bardziej emocjonująca niż pierwsza. Teraz skaterzy wiedzieli, że walczą już miejsca premiowane nagrodami. Co by nie mówić o tym, że jeździ się dla siebie, zawsze milej wrócić jest z jakimś fantem do domu niż bez niego, dlatego widać było, że niektórym bardzo zależało na wygranej.

Po ciężkich zmaganiach, hektolitrach potu, tysiącu upadków zakończono półfinały. Do dalszej tury zakwalifikowało się czterech, a nie jak miało być pierwotnie, trzech zawodników. Okazało się że dwóch skaterów miało tyle samo punktów i dlatego tak się stało. W finale absolutnie zasłużenie znaleźli się najlepsi skaterzy tego dnia - Karol Furmańczyk, Mikołaj Baronowski, Przemek Cymbalski i Gutek.

Finał był prawdziwą ucztą dla smakoszy deskorolki, triki sypały się gęsto na prawo i lewo. Przemek jeździł jak natchniony, na początku zrobił wszystkie grindy jakie mógł na murku w dół, a potem przystąpił do ich powtarzania, tyle że wskakiwał kick flipem. Mikołaj zaprezentował całą gamę numerów na różnych przeszkodach, wykorzystywał prawie każdy element skateparku. Gutek, jak to Gutek: na pełnym luzie, nieważne na którą nogę robił wszystko co się dało -m.in. fs. bluntslide, backside lipslide i nollie croocked na rurce w dół.

Karolowi Furmańczykowi na początku wyraźnie nie szło, miał problemy ze swoimi standardowymi szluczkami, przełom nadszedł gdzieś w połowie finału, po kilku łatwiejszych numerach najpierw zrobił kick flip boardslide na poręczy, a potem - dla mnie trik całych zawodów: kick flip feeble na tej samej poręczy - wiwatom publiczności nie było końca. Po tak morderczej sesji trudno było wyłonić kolejność miejsc. O ile z pierwszym miejscem nie było wątpliwości - Gutek w czasie przejazdu rzadko się mylił, to problem wystąpił z dalszymi miejscami. W rezultacie drugie miejsce zajął Przemek, trzecie Karol, a czwarte Mikołaj.

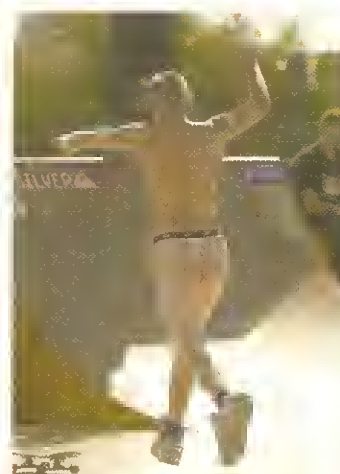
Impreza była bardzo udana, również dzięki nowej formule jamu - podwyższyło to znacznie poziom trików, a także dzięki poświęceniu i dobrej pracy organizatorów.

.:t0i 0i:.



Adrian Weszeńda
nose grind


Nagrodę od organizatorów odbiera zwycięzca - Gutek


Jednym ze startujących był fan sextetu...

zasadnicza szkoła deski

backside 5 - 0 na fun boxie
wykładowca / Adrian Waszenda

1) Przed spróbowaniem tego numeru trzeba umieć bs. 5-0 na zwyczajnym murku i umieć skakać ollie z podjazdu.
2) Jedziesz raczej szybko, nie można jechać wolno, bo wtedy nie starczy prędkości, aby wybić się z kąta.
3) Robisz ollie, tak aby wylądować tylko tylnim truckiem na kątowniku.
4) Najlepiej trik ten wygląda gdy nie dotyka się tailem do murka.
5) Przy zejściu należy przechylić się trochę do przodu.
6) Schodzisz w zjazd i amortyzujesz to ugięciem kolan.





Steve Caballero

Seria Tony Hawk Pro Skater, Half Caby, ponad dwadzieścia lat na deskorolce - z tym może kojarzyć się zwykłemu skaterowi osoba Steve'a Caballero. Nie jest on w tej chwili jednym z topowych prosów, ale ma on status deskorolkowca, który oddał swe życie skateboardingowi i jest w nim przez cały czas.

Urodził się w roku 1964 i w wieku czternastu lat zainteresował się jazdą na deskorolce. Jego idolem był (i jest do tej pory) legenda kaskaderskiego motocrossu - Evel Knievel. Podobnie jak on, Steve chciał latać przez różne, dziwne przeszkody. Młody, przyszły pro ustawiał sobie beczki, kosze na śmiecie i wyobrażając sobie, że robi to jak Evel skakał przez nie z różnych skoczni.

W 1979 jego pierwszym sponsorem został Campbell Skatepark, w tym samym roku kilka miesięcy później Steve dostał się do Powella i stał się największym filarem tej firmy do dzisiaj. Dziwnym i zarazem ciekawym jest fakt, że przez tyle lat nie odszedł on z Powella i nie założył własnej firmy. Wszyscy jego koledzy z pierwszej Bones Brigade (m.in. Tony Hawk, Mike McGill, Tommy Guerrero, Lance Mountain) wystartowali z własnym interesem, natomiast Caballero jest wierny swojej macierzystej firmie. Podobnie jak z Powellem sprawa ma się z jego sponsorem obuwniczym. Vans jest pierwszym i jedynym producentem butów, który go wspomaga. Ukazało się aż siedem wersji jego podstawowego modelu Cab i dwa legendarnego już half cab.

Przez okres swojej jazdy Steve uczestniczył w nagrywaniu tak wielu filmów, że nie sposób wymienić wszystkich ich tytułów. Ciekawe jest to, że nigdy nie ograniczał się do jednego stylu jazdy. Jego domeną było prawie wszystko - vert, mini rampa, poole i oczywiście street. Nigdy nie zatrzymał się w miejscu, jego kariera to ciągły progres. Wielu młodszych od niego skaterów zatrzymało się na swoich standardowych numerach, natomiast Caballero ciągle uczy się czegoś nowego. Jego charakterystyczny, miękki styl z wiecznie przekrzywioną głowa jest bardzo łatwo rozpoznawalny. Jak mówi, dzięki tej drobnej ułomności zawdzięcza tak wyrazisty styl jazdy.

Nie wiem czy wiecie, ale bardzo popularne triki Caballerial i half cab wywodzą się w prostej linii właśnie od Steve'a (Cab to jego ksywa). Jako pierwszy zrobił on takie 360 ollie na rampie i nazwał ten numer od swego nazwiska caballerialem. Połowa triku (czyli fakie 180) nazwane zostało half cab.



Szalony kanadyjski rajder Marc Andre Tarte - rodeo [illegible]0

NOKIA totally board
PLAZA DE ESPAÑA. SEVILLA



Thierry Bruner - 540 tailgrab

Podczas gdy niektórzy jeszcze nie zakończyli sezonu letniego, inni zaczynają już sezon zimowy. 12 września w Sewilli na zawodach snowboardowych z cyklu Totally Board zorganizowanych przez Nokię spotkało się 30 zawodników ze świalowej czołówki freestylowej snowboardu i nart. Tulaj w super zajawkowym mieście, gdzie palmy rosną jak u nas topole rozegrano najbardziej widowiskową ze wszystkich freestylowych konkurencji - Big Air.

Trzeba pamiętać jednak o tym, iż w stolicy Andaluzji normalna o tej porze roku temperatura to 30 slopni, w nocy jest niewiele chłodniej, a i teren raczej nie sprzyja organizowaniu zawodów w tak zimowych konkurencjach jak narty i deska więc żeby impreza mogla się odbyć organizatorzy wybudowali na głównym placu w centrum Sewilli Plaza Espana gigantyczną skocznię i sprowadzili na nią 300 ton śniegu z pobliskich gór. Kto pamięta skocznię wybudowaną na warszawską edycję imprezy Nokii, to było jakieś pięć lat temu, to może sobie ją powiększyć w wyobraźni tak ze dwa razy i będzie mial wyobrażenie o tym co się dzialo w Hiszpanii.

Zawody snowboardowe w centrum miasta? To nie z matią układy, ziom, tylko szołbiznes, na tym właśnie polega główna atrakcja cyklu Totally Board, każdy konkurs odbywa się w miejskiej scenerii, z dala od gór. W 1999 impreza ta, len fakt był wspomniany już wcześniej, jeszcze pod nazwą Nokia Take Ott gościla pod Pałacem Kultury w Warszawie, potem kolejno w Oberhausen, Manchesterze i w zeszlym roku w Marsylii. Przy okazji tych zawodów fińska lirma produkująca telefony robi sobie famę i oprawę medialną, a ludzie mogą sobie pooglądać najlepszych zawodników i zajawkowe triki. Nie wspominając o tym, że zawodnicy mogą sobie przy okazji każdych zawodów zgarnąć sporo pieniędzy.

Do tego wszystkiego zawsze organizowane są rozmaite koncerty i inne atrakcje. Po prostu chleba, igrzysk, wina i snowboardingu!

Tegoroczna edycja imprezy w Sewilli przyciągnęła między innymi takich rajderów jak zeszłoroczny tryumfator z Totally Board Marsylia Jukka Eratuli (Fin), Pavo Tikkanen (Fin) - zwycięzca Totally Board w Manchesterze, Martin Cernik (Cz) zwycięzca zawodów Red Bull Big Air w tym roku, czy Marc Andre Tarte (Kan) - zawodnik, który na tegorocznej imprezie Air and Style jako pierwszy wykręcił obrót 1260 stopni. Swoje serie skoków oddały też zawodniczki, między innymi jedna z najlepszych obecnie dziewcząt na desce Cuca Aranda (Hisz). Rozmawiałem z zawodnikami i choć wszyscy mówili, że będą swój występ traktować nie do końca serio, nikt nie chce przecież nabawić się jakiejś kontuzji tuż przed sezonem, to jednak w finałach pozbyli się oporów. Marc Andre w krótkich spodenkach i kaszklecie kręcił szalone dziewięćsetki, Thierry Brunner kręcił superczyste 720 na drugą, a zwycięzca tego wieczoru Mathieu Crepel swoje 720 poleciał co najmniej pięć metrów dalej niż inni zawodnicy.

Jako „impreza towarzysząca" odbyły się też pokazy, utrzymane w formie mini zawodów, jazdy na bmx, na rolkach i na deskorolce na dużej rampie (vert). Wystąpili między innymi Mat Hotfman (USA), najlepszy obecnie na świecie zawodnik bmx, Nel Martin jeden z lepszych rolkarzy Europy, czwarty na tegorocznych Global Xgames i Niemiec Jurgen Horrwath, drugi zawodnik tegorocznych Mistrzostw Europy w deskorolce w vercie. Poza zorganizowano także koncerty na których wystąpiły młodzieżowe, zespoły: A, Staind i La Fuga.

W zawodach na skoczni zwyciężyli: na desce Francuz Mathieu Crepel, a na nartach Francuz Vincent Estorc.

Totally Board na Plaza Espana oglądało ponad dziesięć tysięcy ludzi. Temperatura w Sewilli sięgała prawie +32 stopni. Prawdziwa zima wkrótce (przynajmniej w Polsce).

.:tekst i foto wzrr:.

Wyniki:

Big Air
1. Mathieu Crepel
2. David Lopez
3. Wolle Nyvelt

Dziewczyny - Big Air
1. Fabienne Reuteler
2. Anne Flore Marxer
3. Anne - Fleur Eiffle

Narty - Big Air
1. Vincent Estorc
2. Muro Nunez
3. Jani Nygard



Finał odbył się już w nocy, po ciemku. Mimo to i tak było koło 30 stopni ciepła.



Matt Hoffman latał najlepiej i najwyżej, a [illegible] „Hoff-man! Hoff- man!". Wywiad z Hoffmanem w następnym numerze.







...tyle płaskiego musieli przelecieć zawodnicy. W tle hiszpański zamek na Plaza Espana.



Jacek Pawłowski

Jacek jest osobą, z którą chyba najczęściej jeżdżę na desce. Chociaż różnica wieku jest duża, to pasja do tego kawałka drewna powoduje, że wiek nie ma znaczenia. Jacek to chłopak, dla którego deskorolka lo całe życie, nie tylko jazda. Jest tak zajarany wszystkim co jest związane ze skateboardingiem, że posiada naprawdę imponującą wiedzę na ten temat i jest najmłodszym skatem w naszym kraju, który filmy deskorolkowe ściąga w najszybszym tempie po premierze. Jazda z nim lo sama przyjemność, ponieważ zawsze ma na to ochotę. Wystarczy, że nie ma mnie na desce jakiś czas, a po powrocie Jacek od razu mnie zaskakuje jakimś nowym trikiem. Jego postęp idzie w jak najlepszym kierunku, można się przekonać o lym jeżdżąc z nim samym. Zresztą niedługo będziecie mogli to zobaczyć na nowym video TRANSMISJA, gdzie Jacek będzie miał naprawdę fajne triki, zapraszam.

Dzięki dobremu poziomowi jazdy Jackowi pomagają w rozwoju od samego początku do dziś skateshop Mayer, ciuszki dostaje od EMPIRE oraz małoletniej linii MALITY F-15, deskorolki oraz kółeczka dostaje od firmy POWELL.

Na koniec chciałbym wszystkim młodym, ale lo bardzo młodym skaterom powiedzieć, aby brali przykład z Jacka i jeździli od jak najmłodszych lat na desce, a także robili jak największe postępy, gdyż tylko dzięki takim osobom jak Jacuś rodzi się przyszłość naszej sceny deskorolkowej.

Pozdrawiam,

.:Słonik:.

Kick flip to jego specjalność, nie mogło go zabraknąć w [illegible]dzie. 8 [illegible] Al[illegible] w Warszawie
foto: [illegible]

Jacek Pawłowski

Pierwsze pytanie: czy uważasz się za gadułę?
Tak, ale nie chciałbym tyle gadać. Dziewięćdziesiąt procent z tego co mówię to są straszne głupoty. Kiedyś przychodziłem do Słonika do sklepu i zasypywałem go tysiącem pytań, teraz zadaję ich chyba trochę mniej, bo już wiem więcej i nie muszę już o to pytać.
Skąd wzięło się twoje przezwisko?
Kiedyś jak byłem młodszy w trzeciej klasie na wycieczce szkolnej obudziłem się w pociągu i zacząłem się szturchać z kolegą i moja nauczycielka powiedziała „Gołota, nie bij się", bo to były czasy gdy on był osobą bardzo popularną. Ten mój kolega zaczął się z tego śmiać i wszystkim to opowiedział i tak zostałem Gołotą. Nie podoba mi się to przezwisko, źle mi się kojarzy Andrzej Gołota - nie lubię tej postaci, kojarzy mi się z penerem. Ale przywykłem do tego.
Jacek, jesteś osobą jeszcze bardzo młodą, a już coś niecoś potrafisz, powiedz ile miałeś lat jak pierwszy raz stanąłeś na desce?
9 lat. Wiadomo, że na początku jeździłem tylko na osiedlu z kolegą. Na początku nie przyjeżdżałem wcale do centrum Poznania, dopiero później zacząłem się wyrywać na godzinkę na Plac Wolności i stopniowo zacząłem poznawać wszystkich poznańskich deskorolkowców. Pierwszym moim wzorem do naśladowania był Mariusz Stróżak. Mieszkał on u nas na osiedlu i dla całej naszej ekipy był guru. Na maxa się nim jaraliśmy. Kiedy my dopiero stawialiśmy pierwsze kroki, on już bardzo dobrze sobie dawał radę.
Po co jeździsz na desce ?
Dla siebie, bo to jest taka wielka zajawka i nie kończy się to na samym jeżdżeniu, dzięki temu poznałem masę ciekawych ludzi. Gdybym tego nie robił moje życie pewnie by zupełnie inaczej wyglądało, grałbym w piłkę nożną albo chodził po osiedlu w dresie słuchając techno.
Gdzie najczęściej jeździsz na desce?
W Poznaniu na Placu Wolności albo na moim osiedlu.
Często wyjeżdżasz poza Poznań?
Robię to, kiedy tylko mam okazję. Najbardziej lubię wyjazdy na tour, ale też często zdarza mi się wyjechać gdzieś samemu. Pierwszy raz jak samemu wyjechałem do Warszawy, miałem 12 lat.
I co nie bałeś się samemu wsiąść do pociągu?
Nie, myślałem tylko o tym jak będzie tam gdzie jechałem.
A czy zawsze twoja mama wie, że gdzieś wyjeżdżasz?
Na ogół wie, czasami się zdarzało, że jechałem do jakiegoś małego miasta oddalonego od Poznania o kilkadziesiąt kilometrów i wychodziłem rano i wracałem wieczorem, tak jakbym normalnie wyszedł na podwórko.
A jak było z wyjazdami do Warszawy?
Jak jechałem do Warszawy to raczej informowałem mamę o tym... Wstawałem o szóstej rano, szedłem na dworzec, wsiadałem do pociągu, a wieczorem o siódmej wbijałem się w pociąg powrotny i po trzech godzinach byłem z powrotem.
Nie zdarzyło ci się nigdy mieć jakichś nieprzyjemnych sytuacji w pociągach?
Nie przypominam sobie takich zdarzeń. Pamiętam tylko jedną akcję, ale to było na dworcu w Warszawie, tym koło Centralnego (Warszawa Śród-





Do Warszawy warto przyjechać, nawet po to żeby pojeździć pod Witosem. Św. heelflip z czterech schodów.
foto: wz



Nose slide gdzieś w Warszawie...
foto: wz






Jacek Pawłowski

mieście). Jechałem szybko, bo spieszyłem się na pociąg i prawie wpadłem na jakiegoś narkomana. Na szczęście jednak wyhamowałem, a on zabrał deskę i próbował mi ją wrzucić na tory kolejowe z metr niżej, ale szybko ją złapałem i uciekłem stamtąd.

Często przyjeżdżasz do Warszawy?

Tak, znam tutaj dużo ludzi i lubię jeździć w tym mieście. Wiem, że ostatnio tutaj sytuacja z władzami i policją nie jest najciekawsza, ale mimo to uważam, że warto do Warszawy przyjeżdżać. Nawet żeby posiedzieć cały dzień pod Witosem, bardzo lubię ten spot.

A w Poznaniu jest podobna sytuacja jeśli chodzi o nastawienie stróżów prawa, czy jest większy luz?

Z niektórych miejsc też nas często wyrzucają. Nie da się skatować pod Akademią Ekonomiczną, ostatnio tam mieliśmy jakąś akcję, czasem też coś się dzieje na Armii Poznań, a co najdziwniejsze kogoś niedawno wyrzucili z Placu Wolności.

Gdzie ci się najbardziej podobało, który wyjazd był najlepszy?

Przede wszystkim podobało mi się w Pradze, tam zobaczyłem po raz pierwszy tylu kolesi tak dobrze jeżdżących (było to na Stalinie), co dało mi straszną motywację do jazdy. Tak bardzo mi się tam podobało, że nie chciało mi się stamtąd nigdzie ruszać, praktycznie cały wyjazd spędziłem na tej miejscówce. Zajebiście też było w Kijowie, z pewnego względu źle ten wyjazd wspominam, ale jeśli chodzi o miejscówki i samo miasto to było ekstra. Strasznie się zajarałem po tej wyprawie.

Powiedz jaki wpływ ma na twoją osobę Słonik?

Pozytywny...zawsze mnie sprowadza na ziemie i nie pozwala aby mi odbiło

A nie czujesz się trochę jego synem?

Nie, mam ojca i jestem jego synem, a Słonika to można powiedzieć, że jestem takim podopiecznym...(śmiech). Czasem próbuje mnie czegoś uczyć, radzi mi w pewnych sprawach. Ale wbrew temu co mówią niektórzy nie mówi mi co mam robić i nie każe mi słuchać punk rocka...

Podobno ogrywasz go strasznie w SKATE'a?

Tak, to prawda, raz czy dwa razy przegrałem (śmiech). Najtrudniej w Poznaniu gra mi się z Papugą i Kamilem, bo robią old schoolowe numery.

Czyja osoba wywarła na ciebie największy wpływ (chodzi oczywiście o deskorolkę)?

To jest Tom Penny. Uważam go za wielką osobowość skateboardingu. Ma swój niepowtarzalny styl i różni się bardzo od reszty deskorolkowców. Zauważyłem, że skaterzy teraz dzielą się na grupy i nie ma nikogo, kto by się wyróżniał. A Penny jest niepowtarzalny. To jest mój ulubiony deskorolkowiec. Oprócz niego jest paru innych, których lubię - np. Erik Ellington, Jim Greco, Stevie Williams... Nie dzielę skateboarderów na hip-hopowców czy punków, lubię ich za triki, jakie robią, a nie za gust muzyczny czy za to jak się ubierają.

Czy jest ktoś młodszy od ciebie, kto jeździ na desce w Poznaniu?

Tak, jest paru, przyjeżdżają na Plac...

Jak to jest być najmłodszym uczestnikiem wyjazdów. Mam na myśli różne toury i tym podobne sprawy, gdy wokół ciebie znajdują się sami starsi...

Trochę dziwnie, na wyjazdach generalnie nikt mi nie daje do zrozumienia, że jestem najmłodszy i dlatego najgorszy. Wiem, że wszyscy są ode mnie starsi i muszę się zachowywać inaczej wobec nich niż wobec moich rówieśników. Kiedy wszyscy idą wieczorem na imprezę ja zostaję w hotelu i to jest praktycznie jedyna różnica, ale wcale mi to nie przeszkadza. Jaram się, że mogę jeździć z tymi osobami i to mi w zupełności wystarcza. Czasem co prawda chciałem iść na balangę, ale stwierdziłem, że nie jest to najważniejsza rzecz na świecie i to, że zostaję nie jest takie straszne.

Na co oprócz deskorolki tracisz najwięcej czasu?

To ma swój początek jakiś rok temu i ma związek z podłączeniem w moim mieszkaniu internetu. Od tamtego czasu nie wyobrażam sobie życia bez sieci, dało mi to tysiące nowych możliwości i rzeczywiście - kiedy nie jestem na desce lub w szkole z reguły siedzę przed komputerem. Lubię rozmawiać przez gadu gadu z znajomymi. Kiedyś miałem jeden film deskorolkowy na powiedzmy dwa miesiące, teraz mam film w dzień premiery - bardzo mi się to podoba. Tak samo jest z muzyką.

Ale przecież jest to kradzież.

W sumie tak...

A sprawdzasz portale deskorolkowe?

Czasami wchodzę na strony, zobaczyć recenzje filmów. Fajnie, że można poczytać co się dzieje w Stanach.

Czy to prawda, że wiesz prawie wszystko na temat teamów firm, gdzie kto jest itp.?

Wszystkiego może nie wiem, ale na pewno dużo. Przydaje się do tego internet, czytam też gazety - wiem to z wielu źródeł. Lubię wiedzieć co się dzieje.

Jaki film ostatnio zrobił na tobie wrażenie?

To chyba „This is skateboarding" Emeriki, „Yeah right" Girl i nowy Lordz.

A lubisz uczestniczyć w nagrywaniu polskich filmów? Czy lubisz być nagrywany?

To zależy. Przyjemniej się jeździ bez kamery, ale czasem to, że ktoś cię nagrywa, daje dużą motywację do zrobienia czegoś nowego, na większej prędkości. Ale to wcale nie znaczy, że bez kamery nie próbuję rzeczy trudniejszych. Tak naprawdę wszystko zależy od zajwaki, gdy się ją ma można próbować największe schody bez filmowania.

Marzy ci się przejazd w filmie?

Marzyć to mi się nie marzy, ale gdyby do czegoś takiego doszło, to bym się ucieszył.

Jakie jest twoje ulubione poznańskie słowo?

„Wuchta" (czyli dużo).

A wiedziałeś w ogóle, że niektóre słowa, których używasz są popularne tylko w twoim mieście?

Nie, uświadomiłem to sobie dopiero na pierwszym Woodcampie, poprosiłem wtedy kogoś o skibkę chleba i zostałem wyśmiany, bo nikt nie zrozumiał o co chodzi. Teraz gdy spotykam się z osobami z innych miast staram się mówić po „ogólnopolsku" (śmiech).

Pozdrawiam oraz dziękuję przede wszystkim mojej Mamie za wszystko, rodzinę, Dominika, Słonika wraz z Anią (jego koleżankę moją dziewczynę haha), Adama Malitę wraz z rodziną. Wszyscy sponsorzy: Empire, Malita, Mayer oraz Powell, Poznań ZOO 4 life
Kamil, Marcin, Marti, Muniok, Marco, Ryba, Cały Plac Wolności, Kosmonautów, Urek, Mariusz, Kucol, Krupek, Papuga, Wino, Grajek, Michał, Kuba, Szofer, Szymon, Kask, Sławek, Jędrzej, Erik, Kriters, wszystkich kolegów z innych miast: Skroban (wraz z żoną), Mikos, Eryk, Artur, Toruń (TWK), Warszawa, Szczecin także kolegów (i koleżanki) z osiedla i szkoły oraz wszystkich, którzy mnie choć trochę lubią...i o kim zapomniałem sorry.

.:wywiad:101 ol:.









Plac Wolności to miejsce, gdzie Jacek najczęściej przebywa. bs. nose grind revert.
foto: Skroban

Bs. flip w czasie gdy „Ciemna noc, zgasły wszystkie światła...”Plac Wolności, Poznań
foto: wzr

fotoprezentacja



rider nieznany / bs. 270 boardslide / Gap 1328 / foto Yarrek

recenzje SK8

Closure

Jest paru twórców filmów deskorolkowych, których śmiało można nazwać wielkimi. Na pewno należy do nich osoba Dana Wolfe'a. Nie jest on może bardzo płodnym autorem, ale wszystko czego się dotknie, zamienia w film największego kalibru, że wymienię choćby serię „Eastern exposure" (ze świetnym „Underchievers"), „World tour" czy przedostatni tytuł „Real to real". Ostatnio Dan Wolfe zapragnął wydać swego rodzaju podsumowanie swojej dziesięcioletniej pracy z kamerą i światło dzienne ujrzała jego nowa produkcja „Closure". Nie jest to klasyczne skate video zpodzielone na przejazdy. Jest to zapis chronologiczny od roku 1993 jego przygody z kamera opatrzony komentarzem samego Dana. W trakcie filmu poznajemy kogo nagrywał, gdzie mieszkał i jaki wpływ te fakty odegrały w jego życiu. Mamy więc migawki ze wspomnianych „Eastern Exposure", które według mnie były najbardziej zajawkowymi filmami w historii, możemy zobaczyć jak kiedyś jeździli skaterzy ze wschodniego wybrzeża USA - m.in. malutki Bam Margera, Mike Maldonado, Ricky Oyola, Stevie Williams. Video powoli przenosi nas do czasów obecnych, dlatego jest też soczysta dawka skateboardingu najnowszego. Dan jest znany z tego, że współpracuje ze swoimi znajomymi, więc nie ma tu jakiejś oszałamiającej liczby występujących kolesi, tylko obserwujemy popisy wybranej grupy. Muszę przyznać, że film ten bardzo mi się podobał, aż łezka się kręci w oku gdy widzę klipy z dawnych lat... toi Oi

Tikal „Guidline"

Francuska firma produkująca kółka Tikal nie jest może specjalnie znana w Polsce jako marka, ale na pewno członkowie tego teamu sa nieobcy średniemu fanowi skateboardingu. Lukas Puig, JJ Roussou, Vincent Bressol to nazwiska gwarantujące świetne triki. Tak też rzeczywiście jest, numery prezentowane w filmie są przednie, podobnie jak miejscówki, na których są one wykonywane. Jednak film nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia. Dlaczego? Stało się to za sprawą muzyki, która wybitnie mnie do siebie nie przekonała. Dominuje tutaj drum'n bass, który według mnie nic a nic nie pasuje do skateboardingu. Nie chodzi o to, że nie lubię tego gatunku muzyki, po prostu nie współgra on z trikami i tyle. Nie znaczy to, że nie warto oglądać tego filmu, być może spodoba się on wam, a poza tym żeby wyrobić sobie o czymś opinię najpierw trzeba to poznać. tOi Oi

Gold Wheels „Got gold"

Jakoś się tak dziwnie złożyło, że w tym miesiącu mamy szczęście do filmów wyprodukowanych przez brandy produkujące koła. Tym razem padło ultra murzyńskie Gold Wheels. Stevie Williams z ekipą jakiś czas temu nagrali film „Got gold", który jednak mnie nie zachwycił, całkiem niedawno wypuszczono jednak poszerzoną wersję dvd, która zmieniła moje zdanie o tej produkcji. Nowe triki bardzo korzystnie wpłynęły na jakość filmu, szczególnie nowych riderów brandu. Wiadomo, nowe twarze - nowa jakość. Przede wszystkim na uwagę zasługuje Jackson Curtin z Washington D.C., posiadacz mega nollie. Dał się on poznać na filmie „Pack a lunch", tutaj tylko umocnił swoją mocną pozycje w skateboardingu. Wyróżnia się też ziomek Curtina z miasta Jon Igel, który niczym nakręcony dusi trudne techniczne triki. Team jest bardzo spójny i wszyscy robią podobne triki (co wcale nie znaczy, że każdy przejazd wygląda tak samo), dlatego polecam go szczególnie fanom gatunku - czyli amatorom technicznej jazdy. tOi Oi

Lordz „They don't give a fuck about us"

To jest tak zwany długo wyczekiwany film. Lordz w swoich szeregach ma jeden z najlepszych europejskich teamów zasilony jednym Brazylijczykiem - Alexem Carolino. Przyznam, że fani tego rodzaju deskorolki nie czekali na marne, materiał może się podobać. Video prezentuje najlepsze triki z możliwych. Szczerze mówiąc to Amerykanie maja się czego uczyć od chłopaków z Lordz. Nie ma tu żadnego kiepskiego triku, chłopaki pozamiatali na wiekszości miejscówek w Europie, Amerykanie na większość z nich nie mają po co przyjeżdżać na nagrywanie, bo po prostu wszystko zostało tam już zrobione. Nie ma co wymieniać trików, ale np. Bastien Salabanzi robi w sekwencji caballerial flip z naprawdę wielkich schodów - wystarczy. Nie byłbym sobą, gdybym się jednak do czegoś nie przyczepił i nie wspomniał, że muzyka mogłaby być nieco bardziej różnorodna - ta, która jest miejscami zwalnia tempo.

Występują: Alex Carolino, Baptiste Mizzore, Henning Braaten, Alexis Jauzion, Thibaud Fraidin, William Phan, Stephan Larance, Luy PaSin, Franck Barratiero, Bastien Salabanzi, J.B. Gillette i Flo Mahrfang. tOi Oi

Gap 1328 Summer Camp

Wiadomo, porządek świata jest taki: najpierw jest zima, po zimie wiosna, potem lato. Podążając dalej tym tropem, w zimie śmiga się na snowboardzie, na wiosnę jeszcze można próbować się poślizgać w górach, ale już potem, w letnie miesiące, raczej można poślizgać się na deskorolce, poopalać i ganiać w krótkich spodenkach. No, ale na świecie wariatów nie brakuje, więc są i tacy, którym mało zimy i swoje letnie miesiące przeznaczają na pogoń za śniegiem po lodowcach całego świata. Prawdziwa zima już za pasem, poniżej krótkie wspomnienie tego co się działo na letnich obozach snowboardowych.

7.30 rano, koniec maja, parking w Grainau niedaleko Garmisch-Partenkirchen. Po całonocnej drodze z Zakopanego dotarliśmy wreszcie na miejsce... i znaleźliśmy się w innym świecie. Piękna pogoda, lato w pełni, a tu wszyscy kręcą się z deskami, gotowi do jazdy. Cały ten snowboardowy tłumek zmierzający do dolnej stacji kolejki jadącej na Zugspitze (2962 n.p.m.) tylko nas jeszcze bardziej nakręcił. Wcinamy szybkie śniadanko - płatki z torebki plus mleko z kartonu - tradycyjny zestaw mistrzów sportu :) - i włączamy się w nurt płynący do kolejki Zugspitbahn. Gdy wreszcie, po czterdziestu minutach jesteśmy na górze oczom naszym ukazał się prawdziwy śnieg, a na nim plac zabaw dla większych dzieci...

Co by tak krótko i na temat powiedzieć o snowparku? Chyba tylko to, że był zajebisty. Trudno wymienić wszystkie elementy, które zostały w nim ustawione. Było ich tak dużo i zostały rozmieszczone na tak wielkim obszarze, że nie dało się tego objąć wzrokiem. Spróbujmy. Więc do dyspozycji mamy: pełnowymiarowy pipe, big air, mnóstwo raili (rainbow, łamany, c-box) w różnych rozmiarach, mały i naprawdę duży corner, fun boxy, średnie i małe hopy. A wszystko to rozmieszczone w optymalny sposób.



Dolna stacja na Gapie 1328

letnie obozy snowboardowe

Filipo Krater
bs. 720 indy

Krótko mówiąc ciężko się zdecydować od czego zacząć... Nie pozostało nam nic innego, jak rzucić się w tłum raiderów i samemu wszystko przetestować.

W snowparku codziennie można było kogoś ciekawego spotkać. Jeżeli po nocach marzyłeś, żeby pośmigać sobie w gronie prosów, to nie można było lepiej trafić. Polskę między innymi reprezentowali Marcelina Frycz, Paulina Ligocka, Marek Sąsiadek, Michał Ligocki oraz Jasiek Wolak. A resztę świata Dawid Benedek (1 miejsce w Air & Style 2002), Marc Andre Tarte(pierwsze na świecie fs 1260) oraz wielu, wielu innych. Dzięki takiemu towarzystwu można było zaobserwować naprawdę duuuuże tricki takie jak, nie będę wymieniał wszystkich, ale rodeo 540 i 720, fs i bs 720 oraz 900 we wszelkich możliwych odmianach były na porządku dziennym. Na rurkach zdarzało się też zobaczyć kozackie numery, jak np. 270 na fs boardslide na mega railu.

Żeby trochę ochłonąć można było podjechać do chillout zone a tam poza budkami z żarciem i dżakuzi został ustawiony test center (Volkl i HEAD na zmianę) i każdy po pozostawieniu jakiegoś dowodu tożsamości mógł do woli testować ich sprzęt na sezon 2003/2004.

Niestety, wszystko co dobre szybko się kończy. Przyszedł moment, kiedy trzeba było wytrzeźwieć po wieczornych imprezach, pożegnać się ze wszystkimi, spakować dechy i ruszyć do domu... tylko po to, żeby wrócić na Gapa za rok.

Zanim jednak znowu trafię na GAP czekał mnie jeszcze jeden letni, snowboardowy wyjazd. Wiedziałem o tym przecież tylko zapomniałem, więc gdy jeden ze znajomych na do widzenia rzucił „Do zobaczenia w Val Senales" zdębiałem. No tak, przecież już zaraz lipiec, trzeba się szykować...

Val Senales

Val Senales to mała miejscowość położona na wysokości ok. 2020 n.p.m. w dolinie pomiędzy trzytysięcznikami. Tak naprawdę, to cała miejscowość składa się dosłownie z kilku budynków, co sprawia, że wszyscy uczestnicy campu skupieni są na małej przestrzeni, w ten sposób klimat rośnie w siłę, a portfele szybko tracą na wadze...

Po podróży trzeba odpocząć i odreagować, więc wieczór spędzamy w K2 (ci co byli wiedzą...). Rano wstać ciężko, ale słońce już zagląda przez okno, więc wstać trzeba, chociaż w głowie bałagan. Szyb kie przygotowanie, przegrupowanie i po paru minutach jesteśmy przy dolnej stacji kolejki na lodowiec, tam następuje radosny


Marek Sąsiadek
switch 540 mute



Maciej Pawian Migacz
melon 540



Marcelina Frycz
grab

letnie obozy snowboardingowe

Michał Ligocki
boardslide



rider nieznany
tail 540

misiaczek ze znajomymi i w górę. Niestety Włosi to lenie i snowpark otwierają dopiero ok. 9.00 tłumacząc, że jest za twardo (to po co ja się o 6.30 zrywam???). Nic to, poczekamy... to znaczy pojeździamy sobie przy krzesełku co by przetrzeźwieć i rozgrzać mięśnie.

No, w końcu doczekaliśmy się i jesteśmy w środku... (...w parku dla tych co nie wiedzą o co chodzi :)) szybki rekonesans i już wiadomo, że do dyspozycji jest halfpipe nie za duży ale dobry do nauki nowych trików, średniej wielkości korner, duża i średnia hopa koło siebie, plus kilka mniejszych na terenie parku, kilka raili i boxów..., starczy?. Po małym szoku, bo snowpark przygotowany zajebiście, a poza tym przecież u nas teraz śniegu nie ma, o takim snowparku już nawet nie wspomnę, stało się jasne że lekko nie będzie, no ale damy radę..

Tylko jak tu spokojnie jeździć kiedy obok jeżdżą Mateusz i Michał Ligoccy, Marek i Tomek Sąsiadek oraz Jakomo i Filipo Krater? (tak na marginesie oni się chyba zmówili na rodzinny wyjazd duetami?) a z młodych talentów Tomek Tylka, Gumowy, Plaster, Pawian. I sypią się stylowe 720 i 900 na frontside i backside, rodeo i backflipy, z raili sypią się iskry... ech.

Niestety około 13.00 śnieg zmienia się w wodną breje i trzeba wykonać strategiczny odwrót do hotelu, a tam szybki obiadek, basen i można zacząć wieczorny rajd...

I tak codziennie przez kilka cudownie spędzonych dni, aż w końcu, któregoś ranka...

- Ej! Stary! Stary wstawaj - znajomy głos zadudnił w przestrzeni - trzeba się spakować, wracamy do domu

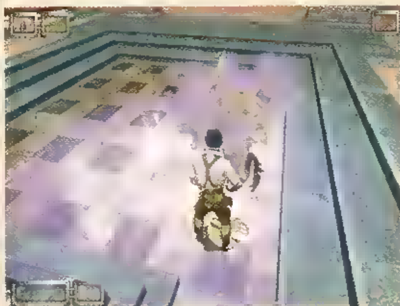
- Do domu? - spytałem - po co? :)

A, i jeszcze jedno na koniec, taka nagła refleksja na temat summer camp'ów. Są one jedną z niewielu okazji żeby jeździć z chło pakami, co się lubią rzucić wysoko, daleko, stylowo i potrafią to jeszcze wylądować, co daje możliwość obserwacji, motywacji i nauki. Bo nic tak nie motywuje jak jazda z lepszymi, w dodatku na letnich obozach panuje niespotykana nigdzie indziej atmosfera, sprzyjająca zajawce. Wszyscy jeżdżący w parku zrobili duże postępy, każdy zrobił coś po raz pierwszy. W przyszłym roku w lecie znowu jedziemy na lodowiec. Jedziecie?

.:tekst Monk:.
.:foto Yarrek:.

Test Center na Gapie





Will Rock







Pamiętacie może jeszcze taką bezstresową strzelaninę FPP Serious Sam chorwackiego Croteam? Na pewno, tyle radochy, ile było w radosnym wyrzynaniu milionów obcych - oczywiście w obronie Ziemi - zostaje w pamięci na długo. Will Rock to również gra FPP utrzymana w konwencji radosnego zabijania wszystkich przeciwników na mapie, czerpiąca garściami z pomysłów zastosowanych w Serious Samie.

Will Rock jest archeologiem pracującym w Grecji, niestety jest tam dość niespokojnie, gdyż terroryści - uwaga - z Armii Przywrócenia Olimpu porywają kobietę Willa. A że Will nerwowy facet, zaczyna się rzeźnia. Po stronie tych złych stoją mitologiczne stwory: harpie, satyry, gladiatorzy, minotaur itd., na końcu musi się zmierzyć z samym Zeusem. Ale i Will nie jest bezbronny. Choć zaczyna z łopatką i pistoletem, to po drodze znajduje takie cudeńka jak: działko kwasowe, działko skamieniające, działko atomowe...

Fabuła, trzeba przyznać, najmądrzejsza nie jest, ale jakby też nie o nią chodzi. Liczy się grywalność, a z nią niestety najlepiej nie jest. Niby wszystko jest w porządku, fajne giwery, wielu przeciwników, nienajgorsze mapy, ale... gdzieś tak po zabiciu tysiąca przeciwników (około 5 minuty gry) zaczyna być troszkę nudno. To, co w Serious Samie sprawiało niekłamaną przyjemność, w Willu Rocku po prostu nudzi. W zasadzie rozgrywka sprowadza się do wybicia odpowiedniej ilości wrogów, jakieś drzwi się otwierają i gracz idzie dalej. Nawet bossowie, - razem z największym, Zeusem - nie sprawiają specjalnych trudności.

Graficznie też Will Rock nie powala. Owszem, nie jest źle, duże przestrzenie, wiele obiektów na raz, przyzwoite tekstury. Jednakże dziś, gdy większość graczy ślini się na grafikę w Doomie 3, czy Half Life'ie 2, Will wypada bladziutko... Ale są też plusy wynikające z nienajlepszej grafiki. Nikt chyba nie powinien mieć problemu z uruchomieniem gry, gdyż wymagania minimalne to procek 500 Mhz, i karta graficzna porównywalna z GeForce'em 2. Dziś rzadko kto ma tak archaiczny sprzęt... Zresztą cena też raczej przyzwoila, więc można sobie darować wersję niekoniecznie legalną na rzecz ładnego pudełka i spędzić chwilę na bezmyślnym fragowaniu komputerowych przeciwników.

(producent: Saber Interactive, wydawca: Ubi Soft Entertainment)



Chaser







Twórczość „growa" naszych południowych sąsiadów, Słowaków, nie jest specjalnie znana ani imponująca. podobnie jak polska. Choć ten rok być może i dla nas i Słowacji okaże się w miarę przełomowy. My mamy Chrome'a, a Słowacy za sprawą firmy Caulron - Chasera.

Chaser to klasyczny, futurystyczny first person shooter. Jeśli więc lubicie erpegi lub strategie to raczej nie jest to gra dla was. Lecz... w zalewie przeciętnych produkcji Chaser prawie że lśni. Tak, bez wątpienia ta słowacka produkcja może zapisać się na dłużej w pamięci fanów FPP.

W grze wcielamy się w postać niejakiego Johna Chasera, twardego faceta, którego jednym z najważniejszych problemów jest to, że nic nie pamięta. Drugim, nie mniej istotnym, że wszyscy chcą go zabić. A wszystko to rozgrywa się na statku kosmicznym, Ziemi i Marsie - całkiem przyzwoicie. Wszyscy ci, którzy preferują bezmyślne strzelaniny, mogą się zawieść Chaserem. Choć nie jest to taktyczny shooter, gdzie gracz planuje następny ruch przez godzinę i ma trzy naboje, to jednak jest zmuszony do pewnego wysiłku myślowego, granie w stylu Quake'a raczej się nie sprawdzi. Tym bardziej, że choć akcja dzieje się w przyszłości, arsenał jakim dysponuje bohater niewiele odbiega od współczesnych broni.

Bez wątpienia dużą zaletą gry jest jej oprawa graficzna, generowana przez autorski engine CloakNT, pozwalający na wyświetlanie super-realistycznej grafiki 3D, zwracają na siebie także filmy w trakcie rozgrywki. No cóż, na Pentium III 500 raczej się nie pogra...

Generalnie rzecz biorąc, Chaser to gra co najmniej udana, choć jak zwykle szumne zapowiedzi wydawców, że ich produkt jest przełomowy pod każdym względem, tradycyjnie można między bajki włożyć. Chaser grą przełomową nie jest, za to jest grą, w którą naprawdę miło się gra, a chyba o to wszystkim chodzi.

(producent: Cauldron, wydawca: JoWooD)

newsy

Half Life 2 w przyszłym roku

Z powodu „wypłynięcia" w sieci kodu drugiej Części Half Life'a, premiera gry została przesunięta na pierwsze miesiące roku 2004, gdyż, jak twierdzą producenci, teraz muszą przerobić kod. Jednakże ci, którzy mieli okazję widzieć wykradzioną wersję, twierdzą, że Half Life 2 ukończony jest w zaledwie 30 procentach! Pytanie komu wierzyć: producentom czy graczom?

Realne Nierealne

Koniec tego roku będzie dla wszystkich fanów serii Unreal niezwykle gorący. Po pierwsze, powinien się ukazać Unreal Tournament 2004 (podobno wersja instalacyjna ma 5-6 GB!), czyli poprawiony i dopieszczony UT 2003, a także darmowy multiplayer do - niezbyt udanego - Unreala 2. Zapowiada się nieźle sieciowanie.

Warto dodać, że UT 2004, będzie ostatnim z tej serii. Ale nie ma tego złego, twórcy Tournamentów już pracują nad grą Unreal Warfare. Brzmi nieźle...

Powrót (na) Maksa

Pamiętacie groźnego policjanta o nazwisku Max Payne i jego bullet time? Otóż Max postanowił jeszcze raz zainstalować się w naszych pecetach, i to już na dniach, bo w połowie października! Czas płynie, więc i Max trochę się zmienił, poprawiono grafikę oraz fizykę. Polski tytuł gry to „Upadek Maksa Payne'a".

Mortyr 2

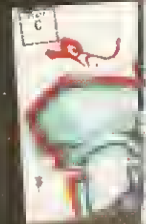
Niektórzy może pamiętają polskiego shootera Mortyr, rozgrywającego się w alternatywnej rzeczywistości, w której Trzecia Rzesza wygrała drugą wojnę? Gra dość podobała się w kraju, nic dziwnego, że twórcy Mirage Interactive, przygotowują drugą część Mortyra. I tym razem wcielimy się członka rodziny Mortyrów (tym razem nie Sebastiana, a jego kuzyna Svena) i ponownie będziemy musieli zapobiec zdobyciu superbroni przez nazistów. Walka z Niemcami jeszcze przed gwiazdką.

635A5C57545D4B5054
5B605D5D5A5F6A58565B64635A5A5A6466605E595C5653525C5B56554A55645F
4A555F505C6C685F5D5F5E5B6E71616C615A675B434A676F6A5E58666C625E61
635D645F5D52545C544E5552535A5E4F5588D27D5A5D56535B514B4E58566156
4E505250444A574C4E52514C4A51504F50535062534D544E585A59545D4E595B
544D5A5B5D57524F4E56605A5E525451545354586 35A4B565E655F83E7FFFFFF
FFFFFFFFFFFFFE274605A546766635F6168625E645C6B665D6B6560615E5953
555E5B4E46464D57515455585A5B59585A536FC0828DFFFFFFFFFFFFFFFFFFF
FFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFF
FFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFFF9F6FAFFF9EBE8EAE8EDF4F1EAE6E2E8E8
E8E9E9E9EAEAEBEBEBEAE6E7E8E8EBE9EBEBE8E8E9EBEDEBECEDEBE8EAEBEBE9
EAEAECE9E5E7E9E9E9ECEEEDEAEAEAE9E8E9EBECECECEBE CEBE9
EBEAE7E9EBECEBEAECEAF0EAE8E9EBE8EBECEBEDE9EB BE9
E8E9E9E9EBEAE6E7E9E9EBE8E6E8ECEBEAECEBECE EB
E9E8EAE9E8E8E8E9ECEBE8EAE8EAEBEAEBEBE9 E9EDECE ED
E9E9EAEBE9E8ECECEAEAEDECEAECEDEAEFF0E E8EAEBECEAEAE B
EEEFE ECE8E9E8E EDEB E9E9EBECEDE9EB BEAEEEBECECEBEA
EBEB EAEBE EB ECE EB EBEEEEF 1EFE9EAEEEDE8EAECE
BF EBEAECEAE9EBEDEBE9EBECEB
EBECEEEFEDEEEBEDECEBEBEBEC
EBEDEEECEDEFEFECEEF1F1EFF
FEFEFEFEBEEEFEEF0F1EBEAEDEE
EFF2F0EFF0F0EFEFEEEFEFECF
EEF1EFF0F1EFEDECEEEBEDEFF1
FEEEFEFEDF1F0F1F0EFF1EFEFEF
F0EFEEF2F2F0F1F1EFF0F0F2F4F
F1F1F1F0F2F3F0F1F2F3F0EFF0E
F5F1EE EEF0F1F5F6F2EFF3F2F2F0EFEFF
F5F2EF 2F3EFF2F4F3F2F0F2F2F1F2F3F2E
0F1F1 EF2F1F1F1F2F4F2F0F2F0F5F4F2F
F4F0F3 F4F1F3F2F2F4F6F8F7F4F5F3F2F1E
9F6F2F3F2 F3F0F3F3F2F3F4F5F3F6F4F3F6F6F4
6F7F6F5F5F6F5 6F6F4F5F4F3F3F3F2F1F2F3F5F4F6F8
7F5F4F5F5F7F7F4F7F5F5F4F6F6F7F6
F4F6F6F2F4F6F6F5F3F4F4F2F5 7F7F7F3F5F7F6F5F4F6F7F6F4F6F6F
F6F7F8F7F5F5F5F6F4F6F4F7F7 F5F6F7F6F4F6F7F5F4F8FAFBF6F8F9
F9F7F5F6F5F5F6F7F7F7F5F8FA 8F7F5F4F2F4F6F5F4F3F1F2F3F3F2
F0E9EAE9E8DDDDCCDCE9F2F4F2 CE8E8EEF1F3F6F6F5F7F6F8F8F9F
FBFFF9F4F2F0F4F2F2F3EEDEE9F F8F4D28A69685C4850575750463A
1E0C00000005000A1A31515B584 5294A5A7A9384776E3D32595248
47454C51554B2A153B5145312747 3553C27264330344846434749 3
2B303B4 374D55473E353347463 201418201C262D222513101D3
43454D4A4E595649 2182C3A20292D0A263123222C
8D67526451252 2D2E4F61666671706559 4F54
6312228273B4 734465C5E474641333F4248
544751575 54C 3A3E393D4953493F393929
0323291F142 1D240A15201416100003
0000B18051D 000000000132
E0700060C0 1E1D1
12170E131712 1B0
700000100000 209001
00000030206030 000000000000000
03171A0E0E090109150B00000001000000
000000000000000000000100F0301121308
27292D26140E0C1A2333352B0F061B293C
394A47444A47433D3434232F39343A3
4753342F4042344140414949 47453
55504D4F52484243473B3137383A
2539382B2138363D260A0D110B
5A5D5D40495955494E5A492E3
A111736242E5F715D5C4B41
344423F4C61646254443D4539
E574E3B3B2734311327 25
4344423F4C616462























HANDMADE




WISCONSIN
CENTRAL










410580
CN




MIDLAND

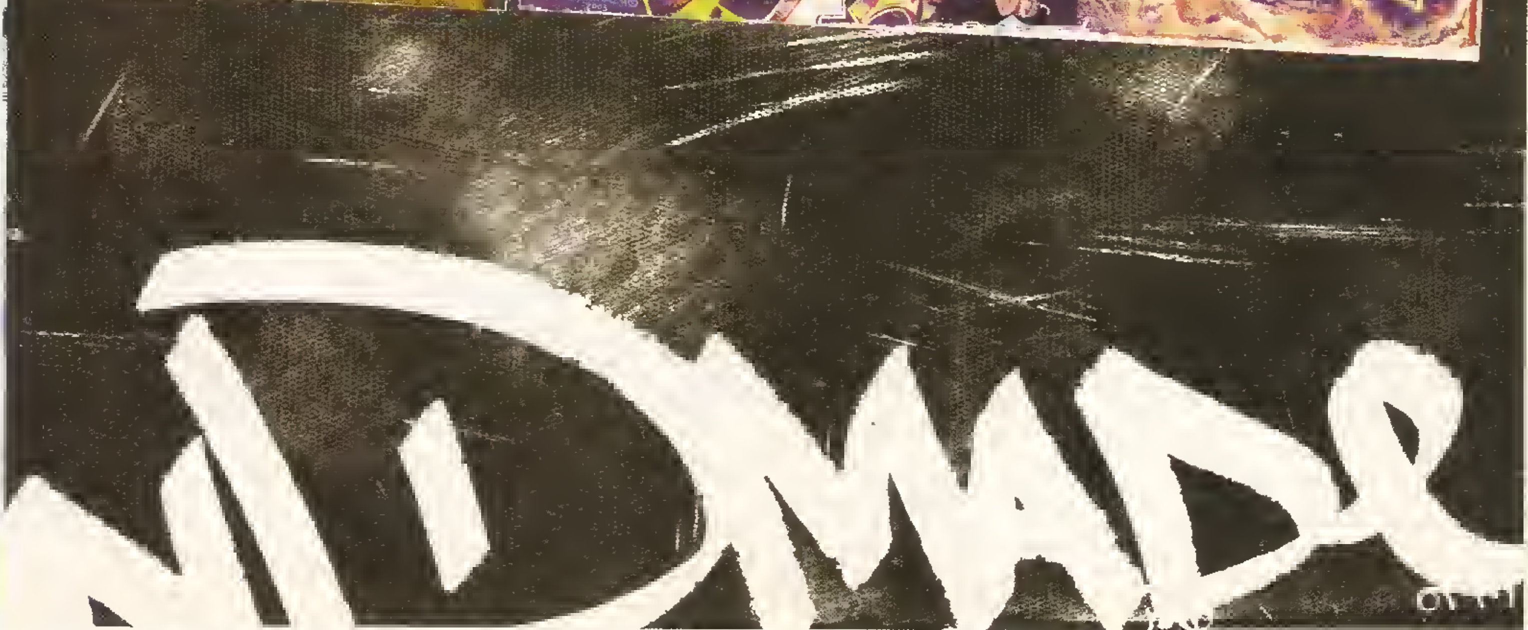




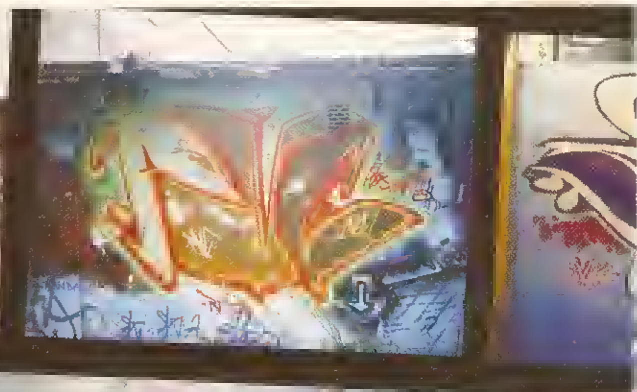
HANDMADE








FIAT
Pn - Pt 9.00 - 17.00 , SOBOTY 9.00 - 13.00





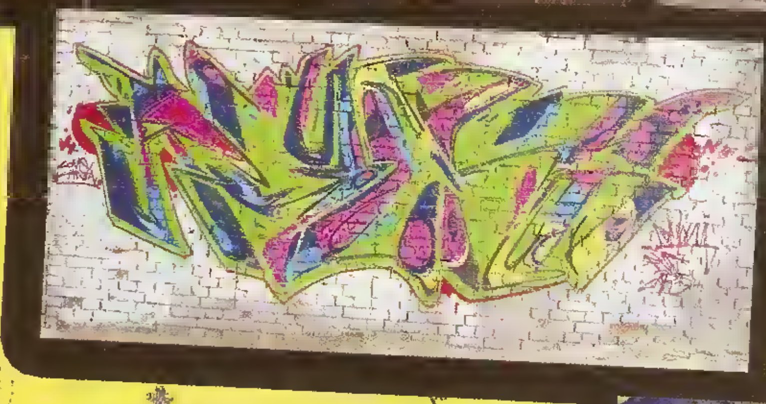


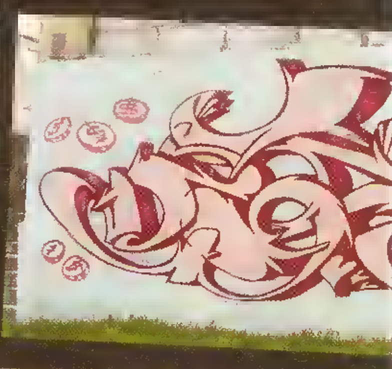












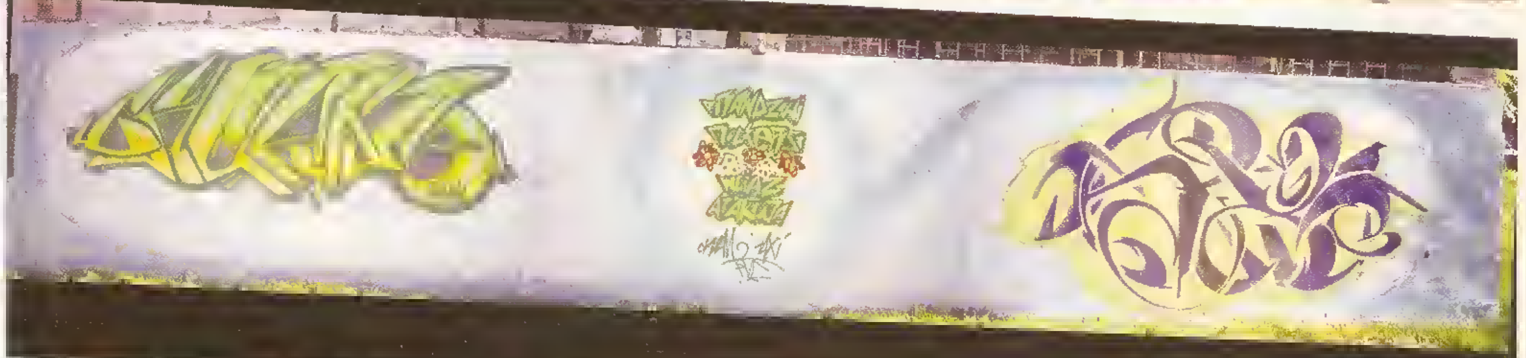


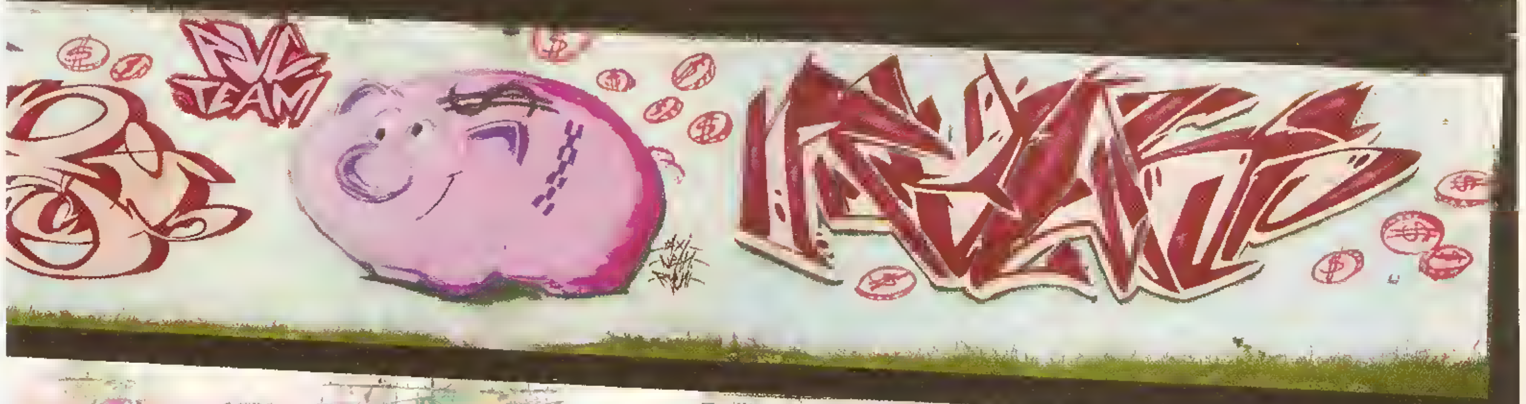














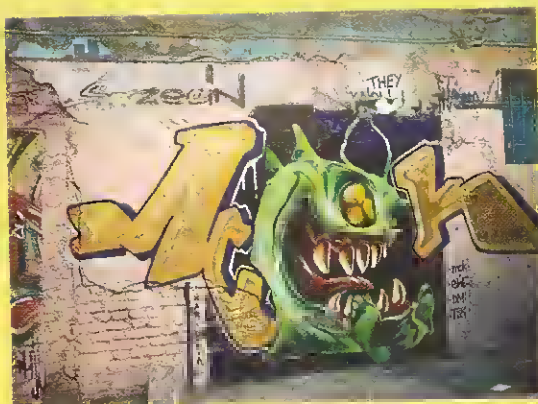


http://3ekipy.prv.pl/













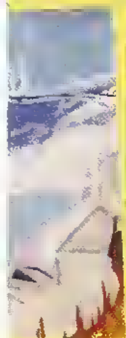


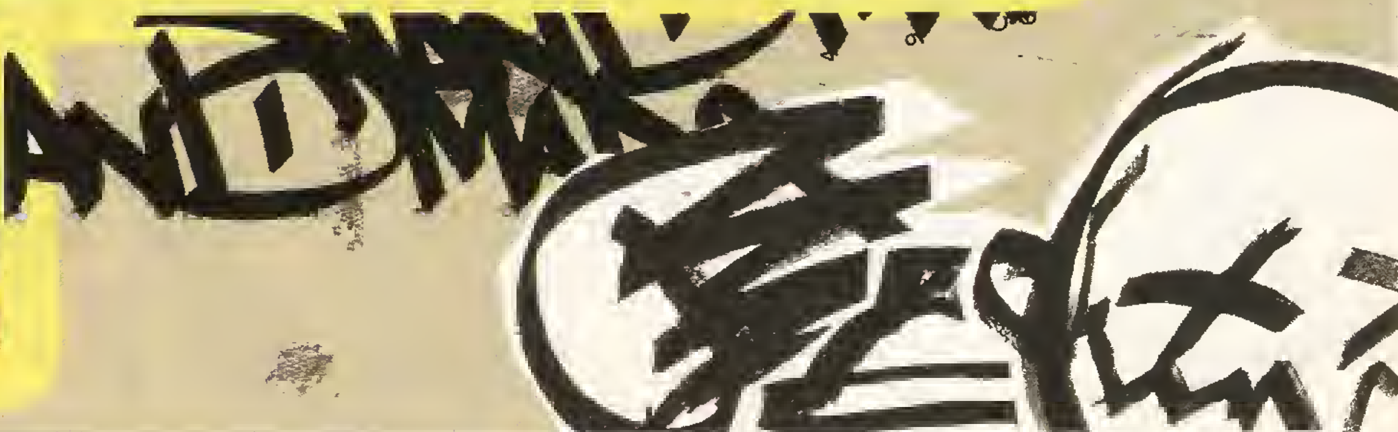












www.grafflinki.prv.pl polecają:

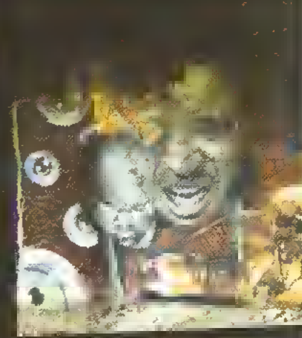






http://www.maclaim.de/

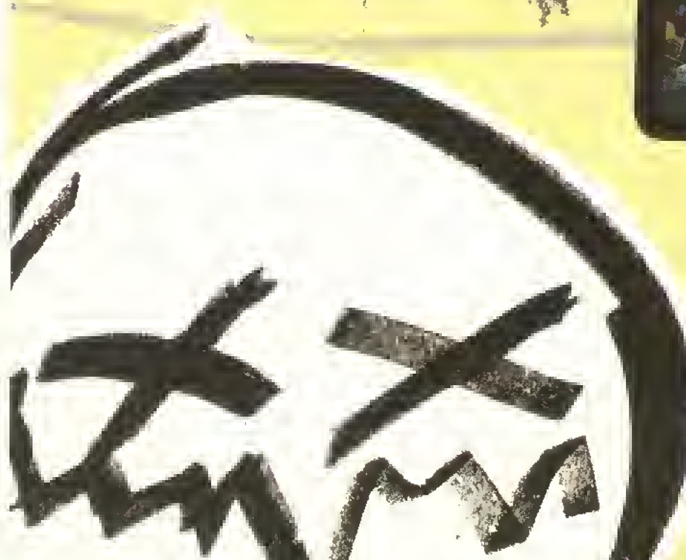




http://www.tusestudio.com/
http://www.tusestudio.com/
http://www.silenciowarfare.com/
http://www.bhk.art.pl/

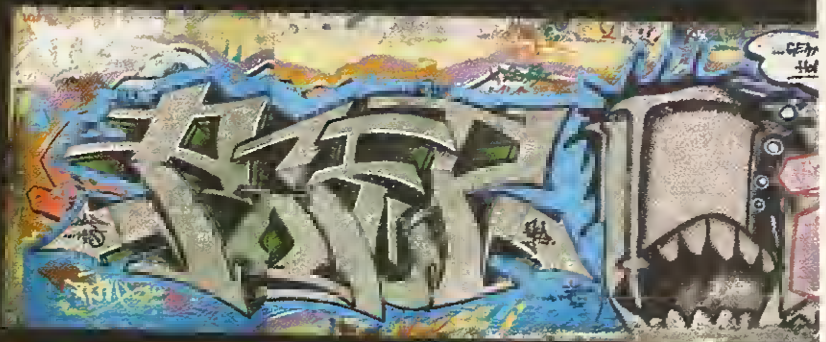









neuron









portret
camey
Tańczący z wilkami

Dlaczego tańczący?

Na pewno każdy z was słyszał o Camey Squadzie, na który, oprócz osoby, od której wzięła się nazwa i Kostka, składa się grono zdolnych bboyów (w tym np. obsypany nagrodami Kwiatek, związany też z Siłą Dźwięku) - bez większego trudu można wylapać ich tricki i ewolucje w wielu klipach wychodzących z gnieźnieńskiego, a obecnie rezydującego w Zalesiu producenta. Co więcej, w jednym z magazynów prowadzą oni coś na kształt szkółki breaka. Drugą kwestią, na której skoncentrujemy się bardziej, jest muzyka tworzona przez bohatera artykułu. Muzyka - nie bójmy się tego określenia - mocno dance'owa. Ortodoksom pozostaje zgrzytanie zębami - grzebanie w stertach zakurzonych winyli zastąpione zostało syntezatorami, prostota ustąpiła miejsca nagromadzeniu dźwięków i aranżacji tyle bogatej, co zapewniającej wrażenie przesytu. Raperzy, których sobie Camey dobiera (nie mylić z tymi, z którymi współpracuje jedynie okazjonalnie przy ich płytach) nie zawsze mają wiele do powiedzenia, czy dysponują szczególnymi umiejętnościami - przeważnie są za to bardzo głośni, bardzo szybcy i dość charakterystyczni. Z trudem przychodzi również puszczenie w niepamięć płyt pokroju „Ninja Commando 5", gdzie Nagły Atak Spawacza opowiada historię o „Uwe, który rozjebał kolarzówę", czy „Nietoperzu Henryku, który spadł na jeża", pod plastikowe melodie robione przy asyście Cameya.

Ludzie nie nastawieni do hip-hopu hermetycznie będą bronić nawet tej ostatniej „perełki", wskazując na to, że w pomysłowości i poczuciu humoru daleko jej od tępej niemieckiej techniawki. To, co poprzedni określili kiczem, dla nich będzie przebojowością, której korzeni można doszukiwać się raczej w Electro niż Dance - zresztą to przecież od muzyki dla bboyi zaczęła się działalność Camey Studio. Na takie podkręcenie tempa czekano sporo czasu. Nasz bohater trendów nie kreuje, raczej bardzo uważnie je śledzi - ma dobre ucho do wychwytywania patentów (posłuchajcie breakbeatowej części singla Trzeciego Wymiaru). Kiedy inni tkwią w hip-hopowym etosie po uszy, w myśl tytułu znanej serii swoich składanek - robi swoje. Rap jest punktem wyjścia, celem zaś szeroko rozumiana muzyka popularna. Od numerów Cameya trudno się uwolnić, ich motywy przewodnie wbijają się w głowę i jak ból zęba nieznośnie wracają w najbardziej niespodziewanych momentach. Szarżujący saksofon, gęsty skrecz, i przebijająca „plemienna" perkusja w „Królu parkietu" z oczekiwanej składanki „Rytm życia", słowiański Dre w „Witam" Piha, syntetyczne dźgnięcia sprzężone z basem w „Faktach" Borysa, proste i bujające „Wielkie jo!" Tedego. Mało? Warto mieć remix „Ludzi przeciwko ludziom" Feno - to nieco inna twarz producenta: Ciężka niespieszna perkusja, połączona z koronkowym, brzmiącym jakby był zsamplowany refrenem. Na singlu jest również numer „Pamiętam jak kiedyś" - stonowane, mięciutkie, smooth jazzowe w brzmienia rozmywające się w pogłosach. Śmiało można by posądzić o taki beatmaking White House. Warto poczekać na płytę Kalego. Nie dość, że Camey ogarnął tam szaleńczą westcoastową jazdę, to Onar nawinął gościnnie najlepszą zwrotkę w swoim życiu. Ale niczego nie zdradzajmy i nie uprzedzajmy. Camey dojrzewa, uczy się na błędach. Póki co, jest jak to mówi Borixon „hurtownią hitów", ale może już niedługo trzeba będzie poszukać nowego speca od wprowadzania nutki świeżości i temperamentu do hip-hopu lekkiego, łatwego i przyjemnego, bowiem producent będzie już poziom wyżej?

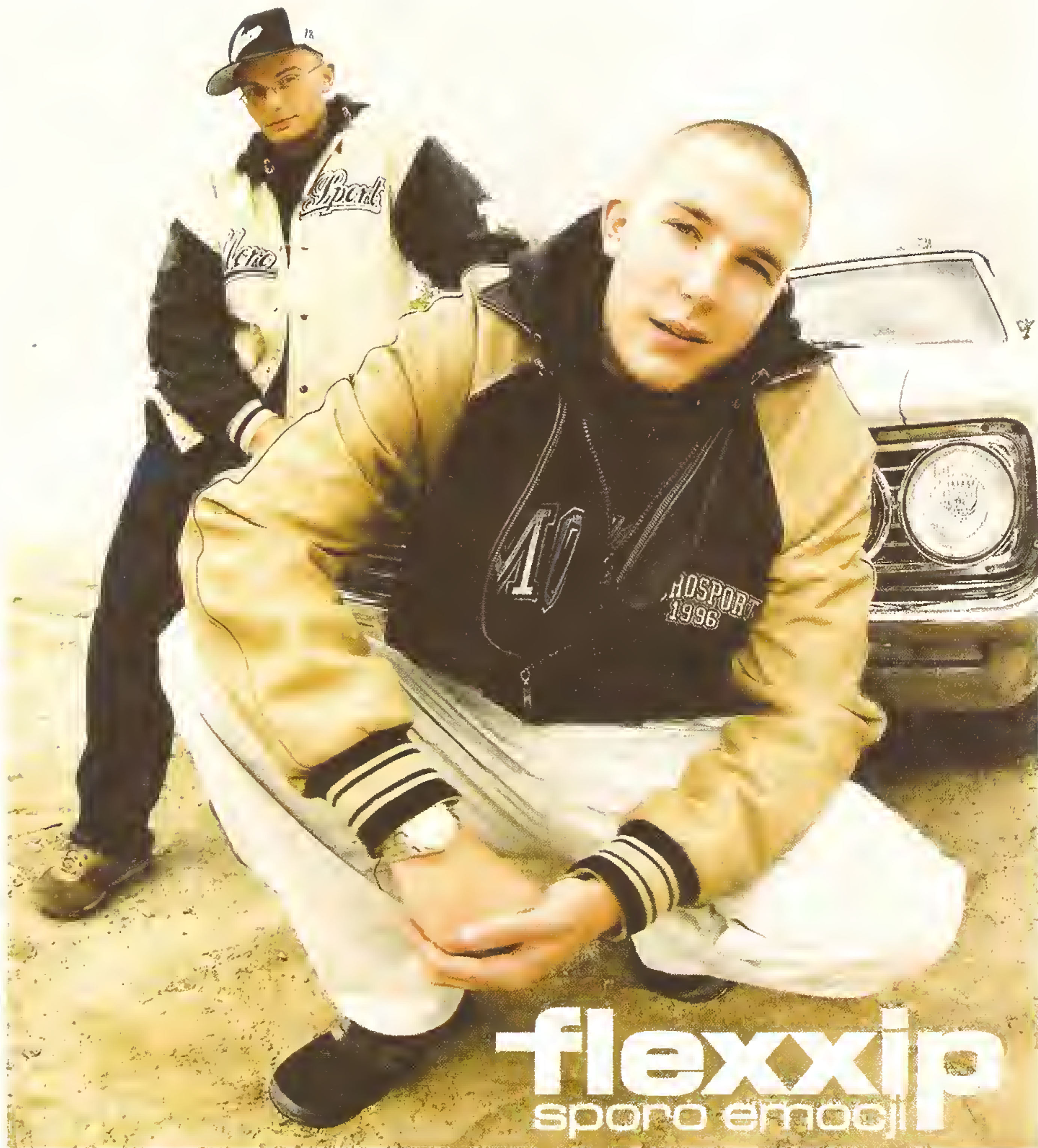
Dlaczego z wilkami?

Gdyby o obliczu hip-hopowca decydowała tylko muzyka, byłoby zdecydowanie zbyt pięknie. Jak wiadomo w grę wchodzi również seria posunięć typowo biznesowych. Camey jest właścicielem studia przez które przetoczyć zdążyło się już wiele sław, żeby wymienić tylko Pezeta i Tdf'a. To dobrze. „Manewry ciętego dźwięku" wydane pod jego egidą to jedyna turntablistyczna polska płyta, na dodatek zbierająca całą czołówkę, a nawet trochę legendarnych nagrań takich jak Polfader - wielkie brawa. Siedem Łez doczekało się winyla, a jak wiadomo obecność wykonawcy na tym nośniku wiąże się w Polsce raczej z prestiżem, niż z wymiernym zyskiem. Kolejny plus. Gorzej już, że zwykłe wydanie płyty „Wielki sen" ujrzało światło dzienne w wersji praktycznie pozbawionej masteringu. Brzmi nieciekawie i nie wykorzystuje w pełni potencjału chłopaków, ukrytego choćby we flow. Podobnie z zawieszonym między hip-hopem a dancefloorem (nie mylcie z dancehallem) Pnoumatikiem, gdzie miało to już wymiar groteskowy. Mastering co prawda występuje, ale jest wyjątkowy: Po ukazaniu się pozycji złośliwie komentowano, że jeden z raperów rymuje z innego pokoju. Winyla, a nawet dwóch doczekało się również Slums Attack. Grupie zapewniono jednak większą niespodziankę - Camey dogadał się z RRX co do praw i niejako za plecami zespołu (tu wersje obu stron były sprzeczne) wypuścił składankę z największymi hitami, kuszącą niską ceną, choć wywołującą głównie niesmak i momentami aż zanadto dynamiczne dyskusje. Nie był to koniec egzotycznych unii. Wymieniony wyżej spontanicznie powstały duet zawarł pakt z Blendem (szok był tym większy, że wtedy wydawnictwo to koncentrowało się raczej na materiale w rodzaju Sinego, Słondu Squnksa, czy Tymona) i wydał drugą płytę Borixona, rzecz swoją drogą udaną - karnawałowy wypas na którym przebój goni przebój. Na www.camey.pl pojawiły się krótkie filmy w których nowi przyjaciele opowiadali min. o „zapinaniu kurwy w sześciu". W niepamięć poszedł spór z T1, niezbyt dżentelmeńsko potraktowanym w związku z podejrzeniami o chęć zwerbowania zespołu Black&White do swojej stajni. Co więcej to „Blokersi", do których właśnie T1 przygotowało soundtrack i teledysk Latkowskiego wypromowało Ascetoholix, najsłynniejszy bodaj zespół który był w ofercie labela i swoisty ewenement fonograficzny - nawet na okładce magnetofonowej wersji albumu „A" napis dumnie głosił, iż gratisowo dodano klip.

Warunki były więc dobre, Cameyowi nie udało się jednak wydać materiału, który predestynowałyby go do gry w pierwszej lidze. Jeden „Król parkietu" z pełnym (może tradycyjnie nawet zbyt pełnym) fajerwerków teledyskiem wiosny nie czyni. Oczywiście jest pochodzący z Koszalina Kostek, szybki i efektowny DJ, mistrz DMC, znany z tak prestiżowych produkcji jak „Kodex". Jednak DJ to dla wydawnictwa przyprawa, nie esencja. Chyba, że mówimy o quasi mixtape'ach mających więcej wspólnego z produkcją, niż z DJ'ingiem, takich jakie wypuszcza Funkmaster Flex a na rodzimym gruncie DJ Decks. A tak poza tym nie jest najlepiej... Po Parafunie (aktualnie Rapafan), któremu nie pomogły gościnnie występujące sławy z całej Polski, trudnym do rozpatrywania na poważnie (choć przynoszącym w swoim czasie poważne zyski) N.A.S., Obozie TA (Łodzianie nie szczędzili wydawcy gorzkich słów), Da Blaze (zrozumiałym jedynie dla Wielkopolan), odejściu Slums Attack do T1, a Ascetoholix do UMC za pierwszą twarz wytwórni uważać należy Tekę. Płyta „Pomysł goni pomysł" przygotowana w 2002 przez producenckie crew Rafpak (Wówczas tercet, choć nad albumem pracował jedynie Teka z Remkiem; Parę miesięcy temu Peetero został zastąpiony przez Żółtego) była wyprodukowana przyzwoicie, Teka zdobył się nawet na mc'ing. Nie ugruntował jednak pozycji. Mimo lp na koncie nie słyszeliśmy jego beatów u renomowanych wykonawców. Szumnie zapowiadający się debiut należy więc umieścić za odkryciami takimi jak Kociołek, Ajron, Tabb, Joter czy Sqra. Za mikrofonem zwrócił na siebie uwagę jednym numerem pod tytułem „Taki jeden numerek". Może trzeba trochę poczekać, zapowiadana jest bowiem solówka z doborowym towarzystwem (beaty m.in. Mes, Dena, Red, Szyha, Kociołek, mc's m.in. Pih, Hast, Brx, Ciech). Wśród ludzi Cameya przewija się również ksywka Proceenta, ochrypłego warszawskiego zawodnika zwracającego uwagę na technikę, a zarazem sens, i przy okazji porządnego freestylera. A może Trzeci wymiar rymujący w promowanym „15 mc" o oryginalności (żeby było śmieszniej, drugi mc niesamowicie przypomina Daba, zwłaszcza intonacją; Zespół przyznaje się do inspiracji Outkastem, co słychać po dość łopornie zmienianym tempie flow). Szykuje się też trzecia część „Robię swoje" i wyczekiwany „Rytm życia".

Póki co zostawmy zaś bezpretensjonalnego i chwytliwego producenta, w momencie kiedy to on sam najwyraźniejszą wizytówką swojego wydawnictwa i waży się jego wyjście z muzycznej niepełnoletniości. Pozostaje zatem czekać i życzyć szczęścia.

.:Flint (Czyste Słowa):.



flexxip
sporo emocji

Zaczniemy nietypowo: Flexxip - zespół polski, a nazwa strasznie amerykańska, te dwa xx w środku...
Mes: Nazwa w ogóle jest z łaciny, a dwa xx pojawiły się, bo chcieliśmy jakoś ją wyróżnić. Generalnie nie chcieliśmy w nazwie polskich liter, bo przy ich okazji zawsze pojawia się sporo błędów. Alfabet „międzynarodowy" zmniejsza to ryzyko.
Emil Blef: Wychodziliśmy właśnie z takiego założenia i to się zresztą sprawdziło. Choćby w Berlinie, gdzie wyszedł koležka na scenę, powiedział „Flexxip" i brzmiało to mistrzowo.
Jesteście zespołem z generacji „młodych, idących ostro do przodu raperów". Kiedy i jak zainteresowaliście się tą muzyką?
Emil Blef: U mnie to się na pewno wiązało z deskorolką. Na początku, jak jeździłem, to raczej szukało się muzyki dającej więcej energii, najczęściej punkrockowych opcji. Potem hip-hopowcy zaczęli współpracować z tymi mocniejszymi zespołami, jak choćby w przypadku Onyxu i Biohazard, te płyty przewijały się gdzieś i nastąpiła taka powolna przemiana. Wszedłem w temat House Of Pain, Run DMC i zacząłem to rozwijać.
Mes: Emil dużo mi dał przez te swoje korzenie. Wpadał do mnie z płytami, szkolił mnie i jeszcze jednego zioma, który był wtedy z nami w zespole. Ja nie miałem jakiejś „odgórnej zajawki", raczej złapałem ten temat od znajomych i właśnie dlatego dużo zawdzięczam Emilowi.
Zawsze miałem ochotę zadać takie pytanie: czy dwudziestoletni raperzy tworzący w Polsce bardziej inspirują się wykonawcami z Zachodu, czy może starszymi kolegami z polskiej sceny?
Mes: Jeżeli mam się na kogoś oglądać, to tylko na raperów ze Stanów. Nie ma takiej możliwości, żebym inspirował się polskim hip-hopem. Chyba że na zasadzie, że jeżeli ktoś zrobił coś dobrze, to mnie to motywuje do tego, żeby bardziej trenować swój styl. Jeżeli ktoś poszedł krok dalej, muszę go gonić, patrzeć na to, co się wokół mnie dzieje. Inspiracja jednak to tylko starsze materiały ze Stanów.
Jak stare?
Emil Blef: Połowa lat 90. to dla nas złote czasy rapu.
Mes: Cały czas wracam do tej muzyki.
Emil Blef: Jeżeli po naszych starszych kawałkach ludzie mówili, że przypomina im to Slum Village, to chyba tę inspirację słychać. Nas to cieszy, bo do tej pory nikt w Polsce nie robił takiej muzyki.

Słuchacie więc tej amerykańskiej muzy, inspirujecie się nią, to może powiedzcie, czy między Polską a Stanami jest mała przepaść, spora przepaść, a może wielki kanion?

Mes: Wydaje mi się, że w Stanach wszystko jest dużo prostsze. Freestylować w ich języku może każdy, to jest na maksa proste - podwójne czy nawet potrójne rymy w ich przypadku to bardzo łatwa piłka. Byle baran z Południa jest w stanie zarymować w sposób, który u nas byłby uznany za bardzo techniczny. To jest prosty język. W sumie ciężko to porównywać, ale polski jest w każdym razie trudniejszym językiem.

Emil Blef: Polski język ciężko jest uplastycznić, jest po prostu toporny. A na przykład Niemcy? Oni w ogóle mają już przejebane jeżeli chodzi o rapowanie. Dokładają sporo angielskich wyrazów i dzięki temu jakoś to brzmi. W tym momencie wygrywa francuski, tego się dobrze słucha. Podsumowując, polski jest takim językiem pośrednim, trzeba nad nim popracować. Natomiast jeżeli chodzi o sprawy biznesowe, to na pewno między Polską a Stanami jest przepaść. Co do muzyki, to co prawda jej nie robię, ale uważam, że aż tak bardzo nie odstajemy. Są u nas podkłady, które mogłyby zaistnieć poza naszym krajem.

Właściwie to powinienem od tego zacząć, ale jakoś tak się potoczyło... Jako zespół jeszcze bez własnej legalnej płyty na koncie zostaliście wybrani przez czytelników Ślizgu debiutantami roku 2002. Kartki i e-maile jasno to potwierdziły. To może wyjaśnicie mi, jak to się właściwie stało?

Mes: Na pewno nie mieliśmy własnych ludzi od maili i sms'ów, choć słyszałem, że i takie zabiegi prowadzi się w Polsce... [śmiech] Dobrze, fajnie, że tak się stało. My mieliśmy taki patent, żeby nie wychodzić z dupy. W Polsce tak naprawdę łatwo jest wypromować kogoś na podstawie niczego, wystawić kogoś bez umiejętności od razu do momentu podpisania kontraktu. Nie ma rozwiniętego podziemia, wielu osób, które długo się wybijają i powoli uzyskują szacunek, nie ma undergroundowych hitów. Jest za to właśnie mnóstwo wychodzenia z dupy. My tego uniknęliśmy, pojawialiśmy się na składankach, na featuringach u innych, a co najważniejsze, to były featuringi nie na zasadzie „Chodź, kolego", tylko raczej „Fajnie byłoby razem nagrać kawałek, nie znam cię, ale lubię twój styl". Takie rzeczy się szczególnie ceni. Wiesz, dzwoni do mnie koleżka z „pierwszej piątki" i zaprasza do nagrania kawałka, a ja miałem wtedy 18 czy 19 lat - piękna sprawa...

Mes, z tego, co powiedziałeś można wywnioskować, że jest u nas sporo raperów sztucznie lansowanych...

Mes: No, może nie sztucznie lansowanych, ale naprawdę łatwo jest u nas nagrać płytę. Za łatwo. A poza tym ludzie w ogóle nie są w stanie poznać się na pewnych rzeczach. Jeżeli taki koleżka jak DKA sprzedaje 7.000 płyt, a jego pierwszy singiel ma związek przyczynowo-skutkowy między pierwszym a ostatnim wersem może w trzech procentach, to... Po czymś takim śp. Magik pewnie przewraca się w grobie. Ten koleś siedząc w Stanach pewnie miał tylko „Księgę Tajemniczą: Prolog", bo nie wiem, czy mając inne płyty tak kserowałby styl, który ma z osiem lat. Ludzie chyba nie wiedzą, co jest dobre.

Emil Blef: Wychodzi stanowczo zbyt wiele płyt, które nie mają żadnej wartości. To może się skończyć tak, że człowiek przychodzi do sklepu, bierze z półki dwie pierwsze pozycje, a... kolejny raz nie przyjdzie, trzeciej płyty nie kupi, bo się normalnie zniechęci.

Faktycznie, można się zgodzić, że choć publiczność hip-hopowa rośnie w szybkim tempie, to jednocześnie nie rozwija się jej potrzeba lepszej jakości. Myśleliście kiedyś, czemu tak jest?

Mes: Wiesz, gdybyśmy to wiedzieli, to pewnie teraz mielibyśmy własną wytwórnię i ostro kręcilibyśmy biznes...

Emil Blef: To jest też chyba tak, że ludzie słuchają po prostu wszystkiego, co leci w telewizji, na takiej zasadzie. A potem wydaje im się, że mają jakiś wybór. Tak naprawdę jednak wszystko jest im narzucane, dostają mieszankę MTV z VIVĄ, oglądają to, słuchają tego, ale mało kto dociera potem do płyty. Można to chyba skwitować, że jest to publiczność, która wychowuje się na telewizji, a nie brnie dalej. Dla mnie fan to jest ktoś taki, kto wie trochę o zespole, stara się dotrzeć do wszystkich jego nagrań, śledzi to wszystko. Nie na zasadzie plakatów na ścianach, ale wiedzy o tym, co to naprawdę jest za zespół, a nie chłonięcia tylko tego, co jest w telewizji.

A jak Wy słuchacie muzyki? Zróbmy taką hipotetyczną sytuację - oglądacie w telewizji jakiś teledysk, artysta pasuje Wam i...

Emil Blef: Ja mogę podać przykład Pharaohe Moncha. Spodobał mi się jego kawałek, zacząłem zbierać informacje na jego temat, pytałem się ludzi, dotarłem do jego płyty solowej, potem odnalazłem go na Lyricist Lounge, w końcu dotarłem do początków, czyli Organized Konfusion. Przesłuchałem trzech jego wydawnictw, coś o nim wiem, jestem w stanie określić, czy jest on tajny czy niefajny - mam porównanie. Ludzie powinni bardziej zagłębiać się w temat, a nie ograniczać się do obejrzenia jednego teledysku i na podstawie tego twierdzenia: „O, jestem fanem tego gościa". Przecież może być i tak, że koleś nagrał jeden dobry kawałek, a cała płyta do niczego się nie nadaje.

Co wtedy, jeżeli tak samo będzie z Wami? W telewizji lata Wasz teledysk, umówmy się, dość chwytliwy... A jeżeli ludzie nie wejdą głębiej, nie zainteresują się Waszym materiałem? Będziecie czuli - nie wiem - na przykład jakiś żal?

Mes: Gdy weszliśmy do wytwórni, zobaczyłem to, że tak naprawdę nie ma żadnej prawidłowości na to, jak sprzedają się płyty. I wiesz co? Im bardziej posuwamy się z czasem, tym tych prawidłowości jest mniej. Dziś niektórzy weterani naszej sceny, którzy kiedyś sprzedawali sporo płyt, a ich kariera toczy się dalej, mają bardzo różne wyniki sprzedaży. Mój wydawca pokazuje mi wyniki sprzedaży z niezależnego licznika i nie widzę żadnej prawidłowości, nic, co mogłoby przybliżyć mnie do wiedzy, co się sprzeda. Więc nie nagrywaliśmy płyty pod tym kątem. W momencie, gdy zaczęliśmy robić płytę, myśleliśmy tylko o tym, żeby nam się podobała. Nie unikamy nowych trendów, ale wracamy najczęściej do połowy lat 90., lubimy, kiedy rap płynie, nawijamy w specyficzny sposób. Ja nie będę miał żalu, jeżeli ludziom nie spodoba się nasza płyta.

Emil Blef: Wiesz, ja powiedziałem to wszystko o odbiorze muzyki w Polsce, bo wiem, że tak jest. Ale nie przejmuję się tym. Wiem, że nagraliśmy album taki, jaki chcieliśmy nagrać, bez zastanawiania się nad rynkiem. Nawiązaliśmy do pewnych rzeczy, nagraliśmy płytę i mamy produkt. A co się z nim będzie dalej działo? My możemy go tylko w normalny sposób promować, to wszystko.

Wkurza Was koniunkturalizm w rapie, na przykład to, co dzieje się ostatnio często na Zachodzie - publiczność dostaje kawałki stworzone dokładnie według recepty, która ostatnio jest najmodniejsza? Zero inwencji, za to pełna dawka mody.

Emil Blef: Ostatnio zupełnie nie skumałem kawałka Seana Paula z Blu Cantrell - chyba trzecia produkcja pod stary beat Dre'a. Przy czymś takim można się zgubić, stracić gdzieś oryginał. Taka wtórność.

A w Polsce słyszeliście jakieś produkcje tworzone być może według klucza - to się może małolatom spodobać, bo taki rap jest modny?

Mes: Wydaje mi się, że w Polsce przy takim myśleniu można by się bardzo łatwo pomylić. Nie ma u nas chyba takiej reguły, ja w każdym razie jej nie znalazłem. Jeżeli u nas nagle wraca do łask styl z 1996, to to też jest dowód, że reguły nie ma. Ktoś, kto będzie twierdził, że jest inaczej, bardzo łatwo się przeliczy. Z polskimi słuchaczami nigdy nic nie wiadomo.

W trochę okrężny sposób doszliśmy w końcu do Waszej płyty. To bardzo zróżnicowany materiał, jest tam trochę humoru, trochę melancholii, trochę przemyśleń. Czy to odwzorowanie Waszych osób, czy to po prostu - jak zresztą jest to powiedziane w jednym z refrenów na płycie - „teksty pisane do beatów"?

Mes: W tekstach oddajemy siebie i oddajemy to, co tkwi w naszym świecie. Specyficznym świecie. Na pewno nie musimy się uciekać do próby opisywania czegoś, na czego temat nie mamy pojęcia.

Emil Blef: Dla mnie to jest oddawanie siebie, ale cały czas to musi być utrzymane w formule kawałka. Nasza płyta jest bardzo szczera, sporo mówimy o nas samych, o tym, jakie popełniamy błędy, ale wiedzieliśmy, że musi być to podane w takiej formule, żeby słuchacz puszczał to sobie na odtwarzaczu i miał z tego przyjemność. Na takiej obrazowej zasadzie, że jak ktoś nie za bardzo chce się zagłębiać w nasze przemyślenia choćby o popełnionych błędach, to i tak pozostaje mu zajebisty beat i dobrze zarymowany tekst. To jest właśnie to, co chcieliśmy uzyskać na tym albumie.

Tworząc kawałki macie czasami jakieś ograniczenia, są teksty, których byście nie napisali, historie, których nie chcielibyście opowiedzieć?

Mes: Mamy te ograniczenia po prostu w sobie. Jesteśmy duetem i jeżeli Emil napisze solowy kawałek o Bogu w formie storytellingu, tak jak zrobił to na płycie, to świetnie. Gdy to nagrywał, akurat nie było mnie w studiu i jak tego wysłuchałem potem, to mało nie spadłem ze stołka. Ale gdyby zaprezentował mi jakąś filozoficzną przypowiastkę na połamanym beacie z dogranym didjeridoo, rozprawiał w niej o makrokosmosie, to pewnie powiedziałbym mu: „A teraz, stary, powinieneś się raczej zamknąć, niż otworzyć"... I to działa w drugą stronę - on też może mi powiedzieć: „Co ty, naćpany byłeś, jak to pisałeś?".

Emil Blef: Na tej płycie są dwie solówki, które po prostu musiały zostać solówkami - to były nasze historie, nie widzieliśmy się w tym, żeby się do nich nawzajem dopisywać.

No, gdyby ktoś poznał zespół Flexxip tylko na podstawie tych dwóch solówek, to pewnie mógłby być w niezłym szoku - Mes w oldskulowy sposób przewija o... hmmm... powiedzmy, miłości fizycznej, a Emil bawi się w filozoficzno - metafizyczną niecodzienną historię. Jesteście rzeczywiście tak ekstremalnie od siebie różni, a Flexxip pojawia się gdzieś pośrodku?

Emil Blef: To jest właśnie Flexxip - dwie osobowości, które się od siebie bardzo różnią. Ale jednak się dogadują i stąd właśnie taka płyta. Może różnorodne inspiracje, ale wszystko się trzyma kupy.

Mes: Te solówki to są tak naprawdę tylko dwie skrajności. Emil też potrafi dobrze przymelanżować, też ma chorą wątrobę, jeśli jeszcze ją ma... Ja ten bonusowy kawałek nagrywałem - jako jedyny na płytę - będąc w stanie lekko nietrzeźwym - bo poza tym zawsze piszę i nagrywam na trzeźwo. Nie udało mi się nawet kawałka tekstu napisać po choćby jednym piwie. Ale, kończąc, jeszcze raz podkreślę - te kawałki to tylko dwie skrajności.

Emil Blef: Spędzamy ze sobą sporo czasu, dobrze się dogadujemy.

Mes: Najwięcej nas na tej płycie jest we wspólnych kawałkach. Solówki to indywidualna jazda, potrzeba dnia, może chwili.

To może jest jakiś kawałek, który moglibyście nazwać „korzennym Flexxipem"?

Emil Blef: Nie wiem, trudno mi wybrać. Dla mnie ta płyta jest po prostu całością.

Mes: „Dzień w dzień (Zrzuty)" albo „Własny wstyd" - to jest dla mnie korzenny Flexxip.

Opowiedzcie mi coś jeszcze o tej płycie, tak sami od siebie.

Emil Blef: Jest na niej mnóstwo zajebistej muzyki, która nawiązuje do klasyki hip-hopu. Są kawałki mocne, z pierdolnięciem, są chillouty, są elementy westcoastowe. A jeżeli chodzi o teksty, to jest na niej sporo fajnych opowieści, nie zarapowanych na sztywno, wszystko płynie, wszystko trzyma się kupy. Jest sporo emocji, których według mnie jest mało w rapie.

W polskim rapie, czy w ogóle?

Emil Blef: W ogóle. Ja często słucham kawałków, w których nie chciałbym słyszeć tylko tekstu i muzyki, ale jednocześnie jakoś to jeszcze przeżyć. Może dużo wymagam, ale pamiętam, że były kiedyś takie kawałki, które powodowały, że miałem ciarki na plecach. Chciałbym, by było ich więcej.

Mes: Ja już chyba wiele do tego nie dodam. Może to, że jest to mocno autobiograficzny album, który jednak jest zrobiony uniwersalnie, tak, że nie jest to ciężkie w odbiorze.

Ostatnie słowo.

Emil Blef: Mam nadzieję, że powiem „wtedy" coś mądrego...

Mes: Jak ktoś dorwie trzecią płytę O.C. niech da znać. I obejrzyjcie sobie dziś „Przygody Frye'a w kosmosie"... albo „Drew Carrey Show".

.:Rozmawiał Kowal:.



Potok planów:
Red vs Ernest Ivanda

Red: Arkadia nad Wisłą

Nagrywam płytę dla pana Arkadiusza Delisia, bo mam jeszcze kontrakt, więc i tak nie mogę zrobić jej dla kogoś innego. Zresztą nawet nie chciałbym. „Al-hub" była zajebiście promowana, więc jeśli nie poszła, to przez moją osobę, albo okładkę. Póki co, robię swój ostatni album u Noona. Beaty będą moje, ale miksować, pracować nad brzmieniem i nagrywać wokale będę u niego. Płyta na razie nazywa się „Arkadia", tak jak wyimaginowana kraina, gdzie nie ma wojen. Love, peace and happiness. Ale to się jeszcze może zmienić sto razy. Znajdziesz na niej 70% mc's z „Al-huba" i parę dodatkowych osób. Fokus powiedział, żebym wysłał beat i jak mu się spodoba, bez problemu zarapuje. Chcę złapać również HST. Planuję dziesięć kawałków, wiesz, słucham ostatnio dużo Beatminerz, Sermona. 1992, 1993... Chcę wrócić do tego surowego, dobrego hip-hopu, gdzie jest jedna pętla, albo pocięte coś. Dużo ludzi ostatnio tak myśli. „Eternia" jest taka, „Arkadia" będzie na pewno nieco inna, ale na maxa rapowa. Będę chciał pogadać z mc's, żeby była bardzo egotripowa, wiesz rymy o rymach. Flavour taki, jaki dla mnie jest fajny. Punche tak jak w tym numerze z Mesem. Jest jeszcze Obóz TA - mamy szkielety paru kawałków. Papa Spinacz chce żeby to wyszło na nielegalu, ja będę forsować, żeby na nielegalu owszem były, ale remixy. Pokazały się na jakiejś stronie. Jak będzie master, to pouderzam z nim w parę miejsc. Niektóre wytwórnie się pośmieją, ale może pójdzie to w Blendzie, czy Gigancie. Żeby ta płyta gdzieś się pokazała, dla tych pięciuset fanów Obozu, którzy się jarają. Póki co, nie jesteśmy zadowoleni, bo płyta nie jest radosna. Reminescencje, melancholia...

Red: Wypłynąć na szersze wody

Byłem w Szwajcarii. Haythem, mój sąsiad, który jest dla mnie jak brat, mieszkał obok mnie, był dyrektorem Def Jam na Europę. Z jego młodszym bratem robimy beaty. Do tej pory pojawił się na „Al.-hubie" jako Dirty Hands solo. Razem zrobiliśmy „Stylowy przekaz" Echo i numer dla Ostrego, ten, który jest również na „Alone". Jara się tym co zrobiliśmy, ciągle ma też dojścia. Był w Nowym Jorku w sierpniu, widział się z Jayem-Z, po prostu ma jego komórkę, dzwoni i jeśli Jay ma możliwość, normalnie się spotykają. Był teraz w Zurichu i jak zobaczył Haythema wyszedł z limuzyny, żeby go uściskać, mimo, że rok się nie widzieli. To kumpel Missy Elliott, dodatkowo menadżer IAM na Europę. Blisko trzyma się z Kheopsem. Jego brat ma totalnie inni styl ode mnie, ale to jedna rodzina. W szwajcarskim Zaiksie mamy zarejestrowaną kompanię producencką Six Hours Ahead Production. To moja misja, teraz będę dużo podróżował. Razem robimy podkłady - Haythem nie produkuje, ale ma zajebiste pomysły. Wysyła mi sample e-mailowo i zaczyna się praca. Będzie w lutym widzieć się z raperami, i może nie będziemy robić dla Jaya czy Missy, ale np. już dla Memphis Bleeka, State Property... Kumasz, druga liga Roc-A-Fella, czy ktoś z Def Jamu. Zobaczysz. Daj nam dwa lata. Byli zresztą w USA we dwójkę, beze mnie, z czterema beatami, w tym jednym na samplu z „Rambo". Bleek nagrywa nową płytę, która nazywa się „Made". Raperzy robią tak, że nagrywają 35 kawałków, z których wybierają 16. Był tam beat mojego zioma, ustalono nawet sumę - 25000$, Roc-A-Fella płaciło za sampel. Miał to być pierwszy, a w dodatku tytułowy, kawałek z płyty. Słyszałem go. Nie został jednak wzięty do finalnego mixu. Gadałem z innym kolegą, który przygotowuje koncerty min. Grand Agenta, Masta Ace'a, czy Large Proffesora. Jest z artystami w dobrej komitywie. Dość dawno dawałem mu beaty, ostatnio zadzwonił do mnie. Chce zrobić w Niemczech składankę z tymi raperami do beatów przyjaciół, w tym mojego. Pytanie, kto do niego zarapuje. Czy ktoś zupełnie nieznany, czy taki Masta Ace? Jesteśmy kolegami z Edem OG, po wywiadzie, który zrobiłem z nim w Pradze, dużo do siebie piszemy. Czeka na moje beaty. Gadałem nawet z Noonem, Magierą i Tytusem, żeby wydał w Asfalcie singiel na moim beacie i z naszymi remixami. Jestem ambitny, idę do przodu. Zobaczysz, na słowę zrobię beaty dla Amerykańców.

Red - Pozostać na tali

Z producentem MTV Squadu szukamy na lewo i prawo, nie tylko w hip-hopie. Co nie znaczy, że się uda, bo najpewniej się nie uda. Jest coraz gorzej, a nam coraz bardziej przykro. Myślę o innym biznesie związanym z hip-hopem, o którym nie chcę jeszcze mówić. Coś otworzę w Warszawie, ale czy to będzie wytwórnia, sklep z ciuchami, czy bar z kebabami, gdzie będzie leciała muzyka hip-hopowa, to nie powiem... Odświeżyłem też parę kontaktów w Szwajcarii.

Ernest Ivanda - Spłynąć potem

Chce zapisać się na boks. Nie żadne sparringi, po prostu żeby schudnąć. Ubrać ortalion i skakać na skakance. Jogging, pykanie w punching balla, pompki. Trochę już schudłem, ale chcę być coraz bardziej fit. Nie chodzi o bycie mięśniakiem, niedługo będę mieć 26 lat i trzeba zadbać o swoje zdrowie.

Ernest Ivanda - Wpłynąć na swój rozwój

Chcę się zapisać na arabski. No i chorwacki! Jestem Chorwatem i przez to, że mój ojciec umarł jak miałem 2 lata zgubiłem swój pierwszy język. Za późno, żeby iść się uczyć. Musiałbym w Krakowie szukać swojej amerykańskiej matury. Nie chce mi się. Wiesz, szkołę sobie olewałem, byłem naćpany, za dużo trawy paliłem. Nauczyciele mówili mi, że nie zdam. Ale jak przychodziły egzaminy, brałem się w garść. Poszedłbym chętnie na politologię, czy stosunki międzynarodowe, bo bardzo się tym interesowałem od zawsze.

Ernest Ivanda - Atlantyda nie jest pod wodą!

Dużo czytam - aktualnie książkę o masonach. Wcześniej pozycje większą o Islamie. Nie chodzi o Koran, raczej zgłębianie sur, informacje o życiu Mahometa, dlaczego to, dlaczego tamto. Nazwałbym to uzupełnieniem. Czytałem też o Atlantydzie, kontynencie o którym do końca nie wiadomo, czy był, czy go nie było. Gdybym był milionerem, zostałbym archeologiem. Według tej książki Atlantyda jest tam, gdzie teraz Arktyka. A to przecież esencja ludzkości! Szukali pod wodą, a trzeba szukać tam. O rany, jak się tym jarałem! Sześćset stron wyruchałem w miesiąc! Zapoznałem się też z publikacją o królu Arturze, o mistrzu świata reżyserii Stanleyu Kubricku. Ja nie lubię iść do sklepu, zobaczyć co jest, i sobie wybrać. Muszę wiedzieć, po co idę. Szykuję się też do przeczytania biografii Ajatollaha Homeiniego, Tito - w końcu jestem Chorwatem, a ten człowiek trzymał przez tyle lat wszystkie społeczności i religie razem w garści. Ojciec mojej dziewczyny ma w domu taką książkę, więc to się da zrobić. Poczytałbym o Dżyngis Chanie, chociaż to chory człowiek. Za to z imperium większym od Napoleona!

Ernest Ivanda - Morze tatuaży

Na razie się nie dziaram. Mam co prawda kilka pomysłów. Zacząłem z dziećmi Billa Cosby'ego, tutaj jest ziomek z Dragonball Z, niżej mógłbym spróbować dalej ze swoimi ulubionym postaciami z kreskówek

Ernest Ivanda - Z prądem rzeki samochodów

Mój ojciec zginął w wypadku samochodowym. Matka nie chciała nigdy dać mi hajsu na prawo jazdy. Dopiero teraz z moją dziewczyną zaczynamy się uczyć. W Stanach kupiłem podróbę dokumentu za 600$ i sobie jeździłem automatykiem. Jak będę miał auto, będzie to zużyty Nissan z automatyczną skrzynią biegów i dobrym radiem. Nigdy nie zobaczysz mnie na autostradzie jadącego 200 km/h. Raczej New York style, chillin', muzyczka...

Ernest Ivanda - Dbając o opływowe kształty

Potrafię gotować, to nie jest trudne. Robię zajebiste sosy sałatkowe, nikt nie robi lepszych. Moim popisowym numerem jest zapiekanka ziemniaczana po szwajcarsku. Najbardziej jednak lubię eksperymentować z makaronem i sosami. Co zrobiłbym na kolację mojej dziewczynie? Z dziewczyną poszedłbym do restauracji (śmiech). Nie no, jestem zwolennikiem prostych smaków, nie żeby kubeczki smakowe miały dostawać orgazmu. Zrobiłbym jej jakieś Al Pesto, albo Gorgonzolę. Bierzesz serek Mascarpone, coś pomiędzy Mozzarellą i śmietaną, ser Gorgonzola, pieprz cayenne, ciut zielonego tabasco, pieprz normalny, szczyptę soli, do tego makaron zrobiony al dente, dobra sałatka, woda mineralna i ciach!

Ernest Ivanda - Sylwester z wodotryskiem

Sylwestra na pewno nie chcę spędzić w mieście, choć z drugiej strony zajebiście bym się jarał gdyby był on w Tokio, czy w New Delhi. Chciałbym go spędzić w takim miejscu, gdzie jest totalnie odjechany widok, tak, że nie czujesz, że jesteś na ziemi. Byłbym tam z panną albo jakimś ziomem. Wiem jedno - nie spędzę go w Polsce.

.:Ział w całość: Flint (CS):.

spinache

unikam wszelkich ideologii

Spinache – człowiek, dzięki któremu Łódź istniała od zawsze na hip-hopowej mapie Polski. To dzięki niemu słowo „komercja" stało się swego czasu bardzo modne. Człowiek legenda, który przeżył i wielki sukces i najgorsze dissy. Zaangażowany w Thinkadelic, Obóz TA i solowe projekty, w tym jazzowe. Niegdyś bojownik o inną drogę w hip-hopie, teraz wycofuje się do undergroundu. Złapałam go rano po koncercie Obozu TA w Łodzi, na którym przyznał się, że jest pierwszy raz od roku na imprezie...

Jak to jest, że raper, który nagrywa imprezowe płyty, wcale na nich nie bywa?
Rok temu na imprezach jeszcze bywałem... Teraz wolę umawiać się w wąskim gronie bliskich znajomych. Uwielbiam gotować - to jest moja druga miłość po muzyce. Mam masę swoich potraw, które serwuję znajomym i noszę się nawet z pomysłem żeby za jakiś 2-3 lata otworzyć sobie restaurację, ale niekoniecznie w Polsce.

Co takiego się wydarzyło, że po wydaniu imprezowej płyty nagle stałeś się działkowiczem?
W ostatnią płytę włożyłem dużo serca i energii, gdy tymczasem poszła sobie bocznym torem. Rozumiem, mogła się nie spodobać, mogą ludzie nie pamiętać, mogą mieć to w dupie, to jest ich sprawa, ale zmęczyłem się robieniem tej płyty i uznałem, że stabilizacja w życiu i znalezienie swojego miejsca jest dla mnie ważniejsze niż rozdrabnianie się na imprezy.

A to nie jest tak, że chodząc na imprezy podgrzewa się, nie dość że zajawkę w sobie, to całą kulturę hip-hopową?
Myślę, że bez imprez ludzie tak czy siak słuchali by hip-hopu, a jeśli już mówimy o kulturze, to ja nie wiem, czy te imprezy, które się odbywają mają związek z budowaniem i podtrzymywaniem kultury hip-hopu. Mi się wydaje, że one mają głównie związek z zaspokajaniem czysto konsumpcyjnych potrzeb takich jak spożycie alkoholu, narkotyków i poruszanie głową w rytm muzyki, której najczęściej, tak jak wczoraj, się nie za bardzo słyszy. Nie widzę w tym nic, co mogłoby działać konstruktywnie.

Myślisz, że pokolenie młodych hip-hopowców ma gorzej niż my mieliśmy w początkach istnienia tego nurtu?
Ma gorzej głównie dlatego, że my mieliśmy „elitarność" hip-hopu. Do tego się dużo ludzi odwołuje i wspomina jak to było kiedyś fajnie. Teraz młodzież ma nieograniczony dostęp do płyt. Jak nie są wydawane w Polsce, to są zawsze mp3. Mają 100% dostęp do polskich klipów w polskich stacjach muzycznych... no proszę cię, myślałaś, że będzie kiedyś polska Viva albo polskie MTV?

Nigdy, ale widziałam kiedyś na brytyjskiej MTV klip Thinkadelic...
Na angielskim MTV też byliśmy? O fuck, myślałem, że tylko na niemieckiej Vivie!

Jak się czujesz z tym, że Ty, weteran polskiego hip-hopu, członek jednej z pierwszych grup i współtwórca tego nurtu w kraju, suniesz obecnie gdzieś poboczem?
Bardzo dobrze się z tym czuję. Nie mam już siły żeby bawić się w źle zorganizowane imprezy, fatalne nagłośnienie, złe koncerty. Ja wolę sobie jechać na jakiś festiwal z bandem jazzowym, gdzie jest wszystko dopięte na ostatni guzik.

Robisz jakieś jazzowe projekty?
Robię, i to jest teraz moja główna działka. Miałem trasę po czterech festiwalach z muzykami z Holandii, Stanów i Niemiec biorąc udział w projekcie „In the Open". Nagramy z tym płytę. Ja się z tym świetnie bawiłem, wierz mi, w końcu odkryłem inne oblicze muzyki. Czułem coś takiego na scenie, i to bez używek, że chciałem stać na niej i nie ruszać się, odleciałem totalnie. Nie ma nic innego, tylko ty, muzyka i koniec. Jest to dla mnie tak ekstatyczne przeżycie, jak narkotyk, ja muszę to jeszcze raz przeżyć!

Jak to się stało?
Od 15 lat znam kontrabasistę polskiego Stanisława Michalaka, który wyjechał stąd bo nie chciał się tu lizać po dupie jak większość polskich muzyków. A że go znam i powstał projekt, w którym on mnie sobie wyobraził, to ruszyliśmy w krótką trasę. Cztery najpiękniejsze dni w moim życiu...

Powiedz mi co się stało z Thinkadelic? Czy robicie jeszcze coś razem?
Robimy trzeci Thinkadelic z tym, że ja robię tylko bity. Konwencja Thinkadelic mi nie do końca odpowiada w tej chwili, a czuję że z Bartkiem jesteśmy coraz starsi i mamy inne spojrzenie na hip-hop.

Warto ciągnąć coś nie czując wspólnego vibe'u?
Ja daję muzykę, bo jeśli o to chodzi to rozumiemy się świetnie... Poza tym jaram się nim jako raperem, uważam, że nikt w Polsce nie płynie jak on, żal mi tylko, że jest niedoceniony.

Pamiętasz, kiedy hip-hop powstawał w Polsce, Thinkadelic był zespołem, który od razu parł bardzo komercyjnie - wielka wytwórnia, menadżer, koncerty, klipy za granicą – słowem naraziliście się w tamtych czasach na tült krytyki, ale też przecieraliście szlaki, które teraz wszyscy wykorzystują, bo to się stało oczywiste. Czemu ty wycofujesz się w underground? To zazwyczaj bywa odwrotnie...
Zrobiłem swoje.

Upadło to marzenie, że da się z tego żyć?
Da się z tego żyć ale trzeba sobie kiedyś zadać pytanie, czy chcę się okłamywać i zmieniać w teledyskach i uczestniczyć w tym szalonym polskim szołbizie chujowym, który nie jest nawet szołbiznesem tak naprawdę, czy też chcę spokojnie patrzeć w lustro rano i wiedzieć, że nie jestem dziwką. Mi się nie chce rozmawiać z tymi wszystkimi czubkami, przekonywać ich, że to co robię jest dobre, mam to w dupie!

Kiedyś miałeś dużo energii do walki z opozycją! Niewiele osób przeżyłoby obrzucenie jajkami...
Energia ciągle jest, tylko ja ją przesunąłem w inne miejsce, bo nie chcę walczyć ze ścianą. Daję ją tym, którzy chcą słuchać. Tak jak mówię, jadę do klubu jazzowego, publiczność słyszy tam jak oddycham i kiedy wypowiadam to jedno słowo, które w danej chwili jest całym moim światem, oni to czują.

Co to jest za publiczność, czym się różni od hip-hopowej?
Przede wszystkim jazzowa publiczność jest bardziej otwarta od jakiejkolwiek innej. Potrafią słuchać. Uważam, że tego brakuje na hip-hopowych imprezach. Często przez nagłośnienie, a często dlatego, że ludzie mają w dupie to, co się dzieje na scenie. Od jazzowej publiczność dostaję tak dużo energii, wierz mi! Ja nie potrzebuję wrzasków, oklasków, uśmiechów, gratulacji, nie o to chodzi. Ludzie mogą wrzeszczeć, a często w tym wrzasku nie ma miłości, jest za to „nienawidzę świata, chcę być kimś innym, źle się czuję".

Ale trzeba przyznać, ze nawiązujesz kontakt z hip-hopową publicznością wyjątkowo dobrze!
To już moja zasługa. Ja się nie wczuwam w odbiorcę w ogóle, ja robię swoją rzecz. Ja nie udaję nikogo na scenie, ludzie chyba to widzą i kupują to.

A nie jest to wypracowana formuła sceniczna?
Nie! Oczywiście to mogło by być dopracowane, gdybyśmy miewali próby, a my spotykamy się po 2 latach, Kevina to nie widziałem ze 4, i „siema, siema, gramy to i to, okej". Poza tym to Łódź, w innych miastach raczej nie gramy, bo trudno jest ogarnąć tylu ludzi, jak każdy mieszka w innym miejscu, zresztą, umówmy się, sytuacja polityczna wokół nas jest tak chujowa, że nie będziemy grali koncertów.

A jaka jest sytuacja?
Ciągle jesteśmy fake'ami! Ale ja się nie wstydzę tego, co robiłem. Jakbym chciał na tym zarabiać szmal to robiłbym chujowe numery dla chujowych ludzi.

Z perspektywy czasu, uważasz, że dobra była wasza droga?
Jest dobra, skoro przywiodła mnie tutaj!

Jaki sens ma wydawanie nowego Obozu TA na mp3?
Mam w dupie szołbiznes. Chciałbym żeby jak najwięcej osób miało do dostęp do tego materiału, bo słyszę od ludzi, że dopiero teraz, po trzech latach odkrywają pierwszy Obóz i jestem tym trochę zniesmaczony. Chcemy więc wypuścić do netu mp3, a jak ktoś dojdzie do wniosku, że chce mieć tę płytę, to pół roku później wydamy krążek. 1000 sztuk dla tych, którzy naprawdę chcą.

Pure zajawka?
Nie chce mi się gadać z tymi dupkami w wytwórniach, jeszcze Red mógłby z nimi gadać, miał dobrą prace przez ostatni czas...

Też już emeryt...
No... My już od dawna jesteśmy emerytami, tak jest zawsze, nie można być na szczycie ciągle.

Czego mamy się spodziewać po nowym Obozie?
Nie spodziewaj się niczego, trzeba tego posłuchać. Jedyne co mogę powiedzieć, to że będzie bardziej refleksyjna. W końcu jesteśmy emerytami!

Pamiętam parę lat temu, kiedy Thinkadelic było w rozkwicie, pojawił się wśród was chłopak, którego wzięliście pod swoje skrzydła i, zaryzykowała bym stwierdzenie, że wypromowaliście go, nazywał się O.S.T.R... Jak się odnajdujesz w sytuacji, kiedy jest jedną z jaśniej świecących „gwiazd"?
A jak mam się ustosunkowywać? Życzę mu jak najlepiej i cieszę się z tego, ze odniósł sukces. Jest bardzo utalentowany i zasługuje na to. Cieszę się, ze miałem okazję z nim pracować.

A to nie jest zabawne, że Red i O.S.T.R, którzy w jednym stali domku, nagle są po dwóch stronach barykady!
Red i Adam, dwóch mężczyzn z mojego domku (śmiech) mogło prowadzić w MTV swój program - ja się jaram, że im się udało!

Nie korci Cię czasem żeby wszystko rzucić i znów żyć z hip-hopu?
Mam dobrą pracę, przyjemną. Mam pieniądze, które pozwolą mi się wkrótce zupełnie usamodzielnić i ustabilizować. Na tych jazzowych rzeczach też trochę zarabiam, wiadomo, ale nie oczekuje już wielkiego „ła!". Szukam na innych płaszczyznach, nie interesuje mnie lizanie pod dupach, wolę usłyszeć szczerą wypowiedź. Ostatnio po koncercie jazzowym podeszła do mnie 40 letnia kobieta i spytała „Mogę Cię pocałować?".

Pocałowałeś ją?
Nie! Po prostu tak odebrała to, co robiłem na scenie, mogę to zrozumieć. To jest szczere. Wolę takie reakcje niż sztuczne „ła!" na koncercie hip-hopowym.

Ostatnio spotkałam się z taka opinią, że hip-hopowcy, którzy łączą swoją muzykę z innymi nurtami działają przeciwko hip-hopowi, że rozrzedzają go...
Każdy ma swój świat. W moim świecie są takie zasady, które pozwalają mi robić to, co czuję. W innych światach są nieraz zasady, które ograniczają i tyle. Wiadomo, że realistyczni raperzy nie mogą powiedzieć czegoś tam na płycie, bo byłoby to niemile widziane, nawet przez nich samych. Do elitarności nie da się wrócić, a jak się zamkniemy to nie stworzymy niczego nowego. Hip-hop nie powstałby gdyby nie szukano czegoś nowego. Dziś hip-hop i pop działają w zasadzie na równi...

Nie boli Cię to jakoś specjalnie chyba...
A wiesz jak mnie boli, kiedy ludzie wyrzucają np. śmieci za okno. Boli mnie to bo ja tego nie robię. To jest brak szacunku do naszej planety i dla nas samych w efekcie. Oczywiście ja nie dożyję tego momentu ale ten moment się zbliża. Tak samo jest z muzyką!

Ale są co najmniej dwie drogi; można albo zacząć od siebie, albo działać czynnie, zakładać organizacje i walczyć!
Ja zaczynam od siebie. Wtedy walcząc będę prawdziwy, inaczej byłbym pierdolonym ideologiem, a ja unikam wszelkich ideologii!

.:Rozmawiała Fala:.



natalia & tede

Współpraca jednej z najlepszych polskich wokalistek i jednego z lepszych polskich raperów stała się faktem. Wspólny kawałek Tedego i Natalii Kukulskiej „Kamienie" lata już w radiostacjach i telewizjach, nowa płyta Natalii już wkrótce. Zobaczmy co artyści mieli do powiedzania o sobie, o sobie nawzajem i o swojej współpracy.

Natalia, jak ci się pracowało z Jackiem?
Ponieważ Jacek wykonywał remiks mojej piosenki, współpracowaliśmy dopiero przy kręceniu clipu, a w studio jedynie się poznaliśmy.Po pewnym czasie obcowania ze sobą, poczułam że nie pochodzimy z dwóch różnych światów i w pewnym sensie odbieramy na podobnych falach.

Czy nauczyłaś się czegoś nowego, lub zyskałaś nowe spojrzenie na niektóre sprawy dzięki tej współpracy?
Na pewno bardziej doceniłam to, co robi Jacek. Rymowanie wymaga talentu. Nie jest proste „z głowy" układać rymy, które nie są tylko i wyłącznie improzowym „bełkotem". A, w piosence „Kamienie" sięgamy trochę głębiej.

Słyszałaś wcześniejsze nagrania Tedego? Jak ci się podobały?
Zwróciła moją uwagę bardzo dobra produkcja jego kawałków. Poza tym Tede ma wielką charyzmę. Hip - Hop w Polsce bardzo się rozwija i brzmi coraz lepiej.

Kto cię inspiruje? Jakiej muzyki słuchasz na codzień?
Nie zamykam głowy w jednej szufladzie. Ostatnio, zwłaszcza w samochodzie słucham India. Arie, Mary J. Blige, Dwele, Justin Timbarlake, D'Angelo, Richard Bona.

Czy masz w planach dalszą współpracę z Jackiem lub innymi raperami?
Zobaczymy. Traktuję to bardziej eksperymentalnie. Mam jeszcze wiele pomysłów muzycznych, które chciałabym zrealizować. Póki co wspólnie przymierzamy się do współpracy z ekipą producencką SisQuad, która również współpracuje z Tede.

Potrafiłabyś coś zarapować?
Myślę, że wszyscy inni i ja sama pękła bym ze śmiechu. Po co robić coś, co nie jest dla mnie naturalne...

Poza muzyką czym się interesujesz?
Jestem typem detalistki, uwielbiam ładne przedmioty i aranżowanie wnętrz. Przez trzy lata studiowałam filozofię na UW i tęskni mi się za tym. Nie wiem czy odważyłabym się jeszcze wrócić na studia, ale na pewno do niej wrócę. Poza tym nie jestem typem samotnika, lubię słyszeć cudze i własne myśli - jestem fanką rozmów.

Ulubiona forma aktywności ruchowej?
Taniec, jazda na nartach, pływanie...

Czego mogłabyś życzyć Jackowi?
Żeby się nie zmieniał i nadal był tak wyluzowany

Czego chciałabyś życzyć sobie?
Zdrowia i wakacji

Kilka słów dla czytelników Ślizgu?
Dać mi palec to wezmę całą rękę. Ponieważ jestem gadułą, nie będę was na to narażała. Po prostu POZDRAWIAM!!!

Tedi, a tobie jak się pracowało z Natalią?
Z Natalią pracowało mi się świetnie, to znaczy tak naprawdę pracowaliśmy razem dopiero na planie teledysku, a w studio każdy nagrywał osobno. Tak więc tak naprawdę poznaliśmy się dopiero kręcąc wideo.

Czy dzięki tej współpracy nauczyłeś się czegoś, zyskałeś jakieś nowe spojrzenie na niektóre sprawy?
Można powiedzieć, że nauczyłem się czegoś i mam nowe spojrzenie na niektóre sprawy.

Słyszałeś wcześniejsze nagrania Natalii? Podobały ci się?
Proszę cię! Można tak powiedzieć, że Natalia i ja jesteśmy rówieśnikami, więc słyszałem wszystko, „Puszka okruszka" i inne tego rodzaju szlagiery, potem obserwowałem rozwój Natalii, pamiętam Funky Filony, jak byłem zły strasznie, bo ten kawałek co on nagrał z Natalią, to ja ten bit już dwa lata wcześniej przerabiałem i chciałem coś z tym zrobić... No ale poszło.

Masz w planach jeszcze współpracę z Natalią lub innymi artystami nie związanymi z hip-hopem?
Na pewno. To znaczy nic konkretnego i na pewno nie tak, że będę tylko nagrywał featuringi ze wszystkimi. Dla Natalii będziemy produkować jeszcze jeden kawałek, a może jeszcze nie jeden? Zobaczymy.

Potrafiłbyś coś zaśpiewać jak Natalia?
Kaaaaaamieeeenieeee zaaaaamiaaaast oooooczuuuuu maaaaam! Hehehehhehe!

Jak się przygotowywałeś do nagrania kawałka Kamienie?
Najpierw dostałem oryginalną wersję tej piosenki, tą rokendrolową, posłuchałem i powiedziałem przedstawicielom Natalii, że ten kawałek jest najgorszy do przedstawienia go w konwencji hip-hopwej i jedynym wyjściem i sposobem na zrobienie dobrego remiksu jest zrobienie go całkowicie od nowa.

A jak się zabierałeś do pisania tekstu do tego kawałka?
Przesłuchałem oryginał z pięćdziesiąt razy, zrozumiałem o co w nim chodzi, przyszedłem do studia, po dwóch godzinach nagrałem cztery zwrotki szesnastki, z czego wybraliśmy półtorej i następnego dnia moje wersy były już gotowe. Potem tylko Natalia się dograła i tyle. A te dwie i pół zwrotki, które nie poszły pojawią się na nowym Dj'u Buhhu, który już wkrótce!

Słowo dla czytelników?
Wielkie Jo! pozdrawia, Pejs Enterteiment, Szalom!!! Dj Buhha Wolumin Drugi już niedługo!!!

.:foto: Wzu/Wojtek Antonów:.

myniemy

Myniemy

Myniemy? Jak nie my to kto? To ekipa z warszawskiego Bemowa, jak sami mówią są tam od zawsze. Kiedyś na Bemowie był taki skład Maesto, przewinął się on gdzieś przez moment, rozpadł się i powstało Myniemy w składzie Siwy, Koras i dj Onetouch. Chłopaki nagrali kilkanaście kawałków, które rozeszły się nieoficjalnymi drogami, zagrali kilka koncertów i zaczęli myśleć o jakiejś większej produkcji. „Co złego to nie my" rzuca Siwy „co dobrego zresztą też" dodaje ze śmiechem. „Chociaż istniejemy od dawna, a nasze wcześniejsze nagrania krążyły po osiedlu, wśród znajomych, to dopiero teraz na poważnie przysiedliśmy do roboty i chcemy, żeby to co zrobimy ukazało się na płycie" nawija dalej Siwy. Skład Myniemy trzeba łączyć także z osobą Szychy, producenta, członka Edytoriału i prywatnie bardzo w porządku wariata. „Szycha jest po prostu członkiem Myniemy. Wszystkie materiały produkujemy, nagrywamy, masterujemy i w ogóle właśnie u niego. Specyfik studio!" dodaje Koras. „Co do naszych planów, to faktycznie, jeżeli przezwyciężymy nasze słabości to damy radę nagarć konkretny materiał" poprawia Siwego. „Chcemy to w każdym razie zrobić tak jak Myniemy, chcemy robić swoje, z takim producentem jak Szycha, jak my sami na pewno zrobimy coś własnego". „Robimy to tak i nawijamy o tym bo widzimy co się dzieje z nami i wokół nas" mówi Siwy. „Albo o tym o czym nam mówią ludzie, o tym co robimy" dorzuca Koras „Trzeba zrobić coś nawet jak się nie zawsze da, a my możemy o tym powiedzieć, możemy nawijać". „Dla wszystkich których z nami żyją, dla ludzi z Bemowa i dla wszystkich innych" uzupełnia przekaz Onetouch. Jeśli chodzi o pisanie tekstów Koras twierdzi, że jak masz coś do powiedzenia to szybko ci to przychodzi do głowy, ale nie ma co się zmuszać na siłę.Bemowo przewija się w kawałkach, bo chłopaki, jak chyba wszyscy którzy mieszkają na swoim osiedlu, cenią sobie miejsce zamieszkania i jak sami mówią tylko na Bemowie jest specyficzny klimat, inny niż wszędzie indziej. Poza tym Bemowo jest miejscem o całkiem sporych tradycjach hip-hopowych. Z tego osiedla wywodzą się Eldo i Jotuze z Grammatika, tu działał wspomniany już wcześniej Edytoriał. Osiedle obok, na Jelonkach działają Fenomen i Endefis. Tak więc towarzystwo jest całkiem niezłe." Nagrywamy featuring dla Zeka, starego wyjadacza z Edytoriału, nagramy też na płytę Juzka" komentuje sąsiedztwo innych raperów Koras „Zobaczymy co z tego będzie". Hip-hop i nagrywki to nie całe życie Myniemy. Dużą część swojego czasu chłopaki przeznaczają na swoją edukację, sport, pracę, dziewczyny. „Ktoś powiedział, że jak Koras nie zaliczy jakiejś dupy raz w tygodniu to się źle czuje" żartuje Onetouch „Poza tym nasze hobby to sport, melanżowanie, hehe" śmieje się dalej. Sam swój wolny czas poswięca na kick boxing i kręcenie płytami. „Na mieszanie płyt staram się poświęcić jak najwięcej czasu. Staram się nagrać swój mixtape i cały czas uczę się nowych patentów" mówi dj składu. Skład Myniemy reprezentuje także old schoolowe zajawki hip-hopowe. Siwy interesuje się malowaniem „Nigdy mi ta zajawka nie zginie, teraz to nie maluję" śmieje się „ ale zawsze gdzieś tam coś piszę, zaznaczam swoją obecność „Zawsze i wszędzie szyja skład BMW watacha Mynie My 98 corp i reszta żulerni z okolicy wielkie pozdro". Wracając do planów wydawniczych Myniemy to plan jest krótki i prosty. Wyprodukować materiał, zaprezentować komuś w całości i wydać, bo wydanie płyty chętnie powierzyliby jakiemuś wydawnictwu. „Wiadomo, trudno jest wydać taki materiał, ale damy radę. Tak samo jak damy radę nagrać. To nasza sprawa, nasza organizacja" mówi Koras. „Dzięki temu bierzemy się za siebie, powoli się zmieniamy" dodaje Siwy. Prawda jest taka, że chłopaki dawno powinni już wydać jakiś materiał. Sami mówią, że najczęściej słyszanym przez nich pytaniem jest: ej, kiedy płyta? „No, ale każdy z nas ma dużo swoich różnych spraw na głowie" tłumaczy Siwy „Niby mamy dużo kawałków, ale w większości są stare, chcemy zrobić wszystko od nowa, ale powoli". „Powoli, bo na razie jest mała recesja i nawet jak zrobimy materiał to trudno będzie go wydać, tyle się hip-hopu teraz zrobiło" wyjaśnia Koras. Fakycznie, ostatnio co chwilę wydaje się jakieś nowe projekty, a chłopaki z Myniemy nie chcą zginąć w tłumie. Na koniec tego materiału chłopaki życzyliby sobie następujących rzeczy: „Skończyć szkołe, wydać płytę, dużo hajsu, zdrowia, szczęścia, pomyślności!" śmieją się głośno. „Pozdrawiamy wszystkich, Nara! Myniemy!"

.:tekst: Wzrr:.

.:foto: Adam Sobolewski/SOZE



Krótka historia winyli hip-hopowych

Wchodzimy w rok 1987. Końcówka lat 80-tych to złoty okres rapu, obfitujący w fantastyczne debiuty, więc pewnie nie uda mi się czegoś nie pominąć, żebym nie wiem jak się starał... I jeszcze jedno - tam, gdzie okładki singli są mało interesujące (np. całkowicie białe lub czarne), pojawić się mogą od czasu do czasu okładki albumów. No to zaczynamy:

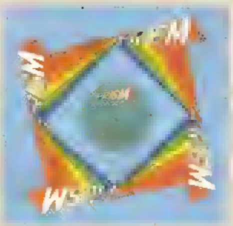




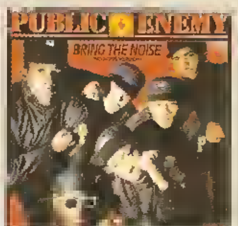
O 2 Live Crew powinienem był wspomnieć już miesiąc temu - tak ich debiutancki singiel „Throw The D" (na który zresztą natychmiast odpowiedziała Anquette nie mniej eh... „bezkompromisowym" singlem „Throw The P", też zresztą wyprodukowanym przez 2 Live Crew i wydanym w Luke Skyywalker Records), jak i album „2 Live Is What We Are" ukazały się bowiem jeszcze w 1986r. Zresztą jakby nie było to m.in. ich walka w sądach USA o prawo do wolności wypowiedzi utorowała poniekąd drogę Liroyowi, który z kolei położył podwaliny pod polski hip hop, więc można by tu mówić nawet i o ojcach chrzestnych polskiego hip hopu... Zapomnijmy jednak na chwilę o obscenicznych treściach i wulgaryzmach - mało która grupa w historii miała (lub ma) taaaki głęboki bas, a już szczególnie tyle sampli i tyle skreczy co 2 Live Crew (Treach DJ Mr. Mixx to zresztą kolejna wielka inspiracja dzisiejszych turntablistów), w większości zrealizowanych w typowym dla Miami Bass, zawrotnym tempie. Też klasyka!



Audio Two to dwaj bracia - Milk i Gizmo. Przekonali ojca, żeby założył label - First Priority Records. Zadebiutowali singlem „Make It Funky", ale to jego strona B - „Top Billin'" przeszła do historii jako jeden z prawdziwych klasyków gatunku, i do dziś jest ekstensywnie samplowana m.in. przez Madliba na albumie Quasimoto). Chwilę później w First Priority zadebiutowała ich siostra MC Lyte i znakomity raper Positive K. Co ciekawe, wszystkie 3 debiuty wyprodukował Daddy-O z grupy Stetsasonic. Obok - debiutancki album Audio Two.



Big Daddy Kane był, a i często nadal jest uważany za jednego z najlepszych raperów i tekściarzy w historii (pisał rymy m.in. dla Biz Markiego i Roxanne Shante, dla której też chwilę dj-ował), był też bodaj pierwszym hip-hopowym seks symbolem (pozował m.in. dla Playgirl i do słynnej książki Madonny). Zadebiutował singlem „Get Into It", ale to wydany tuż po nim i też produkowany przez Marley Marla „Raw" zapewnił mu kontrakt z legendarną wytwórnią Cold Chillin'. Debiutancki album „Long Live The Kane" to klasyk, a i drugi niewiele mu ustępuje (razem nagrał ich dotąd 5). Zresztą jakiś rok temu lokalnie ukazała się składanka jego najlepszych kawałków, od dawna też mówi się o jego powrocie, ukazały się nawet bodaj 2 single, ale to jak dotąd wszystko.



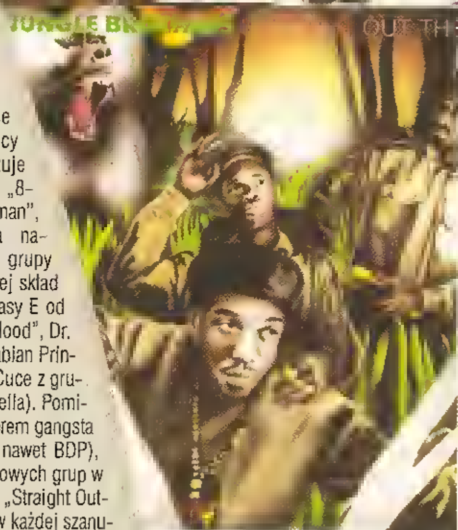
W tym samym roku singlem „Public Enemy No. 1" zadebiutowała też grupa... **Public Enemy** (Chuck D, Flavor Flav, Terminator X, Professor Griff), na zawsze zmieniając oblicze rapu, i to nie tyle nawet swoim debiutanckim albumem „Yo! Bum Rush The Show" co wydanym rok później „It Takes A Nation Of Millions To Hold Us Back" - znowu jednym z klasyków wszechczasów. O Public Enemy każdy pewnie słyszał (a w każdym razie powinien), więc dodam tylko, że niedawno ukazały się na CD zremasterowane wznowienia wszystkich ich płyt w formie dwupaków - warto więc uzupełnić kolekcję, jeśli ktoś jeszcze ich nie ma.



Eazy-E zadebiutował znakomitym singlem „Boyz-N-The Hood", na którym oprócz tego znalazły się jeszcze dwa świetne i nigdzie indziej nie dostępne kawałki - „Fat Girl" z samym tylko beatboxem w podkładzie, i „LA Is The Place". Wszystkie 3 napisał Ice Cube, wyprodukował Dr. Dre, a singiel ukazał się w założonej przez Eazy'ego Ruthless Records, która wkrótce stała się jedną z najlepiej prosperujących hip-hopowych wytwórni płytowych (m.in. Eazy E, N.W.A, J.J. Fad, Above The Law, D.O.C., Michel'le, Yomo & Maulkie, Bone Thugs N Harmony). Kilka miesięcy później ukazał się debiutancki album „Eazy-Duz-It", i już pewnie to by wystarczyło, ale nie...

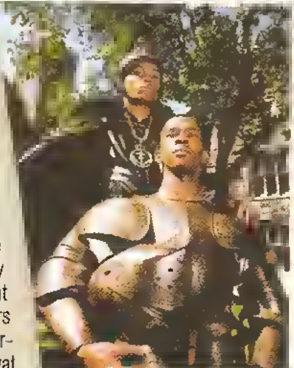


...bo zaledwie kilka miesięcy później ukazuje się EP-ka z „8-Ball" i „Dopeman", zapowiadająca nadejście grupy N.W.A., w której skład wejść mieli: Easy E od „Boyz N' The Hood", Dr. Dre z grupy The World Class Wreckin Cru, Arabian Prince z grupy Bobby Jimmy & The Critters i Ice Cuce z grupy C.I.A. (wkrótce dołączyli też MC Ren i DJ Yella). Pomijając już spór o to, kto tak naprawdę był pionierem gangsta rapu (NWA czy Schoolly-D, Ice-T czy może nawet BDP), NWA i tak pozostaje jedną z najbardziej wpływowych grup w historii tego gatunku, a ich debiutancki album „Straight Outta Compton" - jedną z podstawowych pozycji w każdej szanującej się kolekcji płytowej. Oraz tą, która raz na zawsze położyła kres hegemonii wschodniego wybrzeża. I chyba pierwszą, której biali naprawdę się przestraszyli...





... co z pewnością nie groziło im ze strony **Jungle Brothers** (Mike G, Afrika Baby Bambaataa, DJ Sammy B), kojarzonych głównie z afrocentryzmem, pokojem i jednością, oraz kolektywem Native Tongues (który wraz z nimi tworzyli m.in. De La Soul, A Tribe Called Quest i Monie Love). Grupie patronował początkowo skoligacony rodzinnie z aż dwoma jej członkami DJ Red Alert, ale ich talent przebiłby się zapewne i bez tego. Zadebiutowali w wytwórni Idlers singlem „Jimbrowski", a wydany niecały rok później (już dla Warlock) album „Straight Out The Jungle" (na którym zadebiutował nieznany dotąd Q-Tip) to... wiadomo: klasyk. Choć może jeszcze lepszy, a w każdym razie bardziej dopieszczony jest wydany w 1989 r., już w Warner Bros, „Done By The Forces Of Nature", więc najlepiej jest mieć je oba.







Choć „My Part Of Town" jest jednym z częściej samplowanych kawałków, a DJ Too Tuff uważany jest za jedną z inspiracji pokolenia turntablistów, wywodząca się głównie z Filadelfii grupa **Tuff Crew** pozostaje mało znana. Zadebiutowała EP-ką „Phanjam", na której połowę drugiej strony oddała zaprzyjaźnionej z nią grupie Krown Rulers (której oba kawałki wyprodukował Ced Gee z Ultramagnetic MC's). Parę miesięcy później Tuff Crew wydaje swój debiutancki album „Danger Zone" (a dwa numery katalogowe później Krown Rulers wydają swój - „Paper Chase"), a rok później ukazuje się „Back To Wreck Shop", przez niektórych uważany za ich najlepszą płytę, muzycznie rozciągającą się od Miami Bass po funkowe breaki Jamesa Browna. Na żadnym z kawałków DJ Too Tuff nie pozostawia cienia wątpliwości, że jest istotnym członkiem grupy, ponadto na każdym albumie znajduje się jego przynajmniej jeden popisowy kawałek dj-ski. W sumie, dla tych którzy wiedzą - klasyka hip-hopu. (Później ukazał się jeszcze jeden album, też niezły, ale już bez DJ Too Tuff).



.:Druh Sławek:.



Pomysł był prosty i - jak wszystkie proste pomysły - świetny. Zorganizować konkurs dla dj'ów. Głównymi organizatorami imprezy były Idea Pop oraz Empik, zaś medialnie wsparły zamierzenie Radiostacja, Viva, Radio Jazz oraz oczywiście najlepszy magazyn w całym wszechświecie: Ślizg! Konkurs odbywał się w dwóch kategoriach: clubbing oraz hip-hop, nas interesuje przede wszystkim ta druga. Aby wystartować w konkursie, trzeba było wysłać swój set dj'ski i liczyć na przychylność jurorów i rzecz jasna własny talent. Jury, w którego skład wchodzili DJ Novika (związana z zespołem Futro i Radiostacją), DJ Sorbee (Radio Jazz) i DJ Feel-X (którego czytelnikom Ślizgu przedstawiać chyba nie trzeba), wybierało najlepszych. Jako kryteria oceny przyjęto następujące elementy setu: mix, scratch i joggling, więc dj'e hip-hopowi musieli wykazać się nielada techniką.

Najpierw odbyły się półfinały: w pięciu miastach (Gdańsk, Poznań, Katowice, Wrocław, Warszawa) spotkali się najlepsi uczestnicy konkursu, po pięciu w każdej kategorii. Ale z każdej tylko jeden mógł wejść do wielkiego finału. Konkurencja była więc ostra, turntabliści katowali sprzęt i płyty, a jurorzy głowili się, komu dać szansę na główną nagrodę. A decyzja na pewno nie była łatwa, ja w każdym razie nie chciałbym stanąć przed tak trudnym wyborem.

6 września w warszawskim Empiku Megastore do boju stanęli zwycięzcy regionalnych półfinałów. Finał rozpoczął się o 13, każdy z uczestników miał 15 minut na zaprezentowanie swojego setu, aż wreszcie koło 17 jury udało się na obrady, których celem było wyłonienie zwycięzców. Gala odbyła się już nie w Empiku, ale w warszawskim klubie Skarpa, gdzie uczestnicy konkursu mieli możliwość jeszcze raz zaprezentować się publiczności. W ruch poszły gramofony, przybyła publiczność trzymała kciuki za swoich faworytów i miała niewątpliwą przyjemność przyjrzenia się pracy ludzi, którzy na swoim fachu znają się zajebiście. No i oczywiście muzyka, która i dla startujących w konkursie, i dla widzów jest czymś więcej niż tylko dźwiękiem.

Wieczorną imprezę otworzyły występy dj clubbingowych, jako pierwszy w kategorii hip-hop pojawił się za gramofonem Bartek Cymanek, zwycięzca półfinału z Wrocławia, a tuż po nim na scenę wyszedł DJ Epron (Michał Baj, półfinalista z Katowic). Potem znów zwolennicy rytmów transowo - house'owych i kolejni dj'e hip-hopowi: Artur Czeszak (zwycięzca eliminacji poznańskich) i DJ Taśmy, czyli Daniel Szlajnda, któremu przypadło w udziale zwycięstwo w półfinale w Gdańsku. No a później pozostało już oczekiwanie na decyzję jury. W międzyczasie swoje nieprzeciętne umiejętności zaprezentował Feel-X, aż wreszcie - po wręczeniu pamiątkowych nagród, jurorzy ogłosili swoją decyzję. Dla kronikarskiego obowiązku odnotujmy, że najlepszym dj'em w kategorii clubbing został Sylwester Golachowski (wcześniej zwyciężył we wrocławskim półfinale. Natomiast finał w kategorii hip-hop należał do... (fanfary) DJ Taśmy! To nikogo specjalnie nie zdziwiło, bo - mimo olbrzymiej konkurencji - Daniel zaprezentował set precyzyjny i porywający, a i widzowie entuzjastycznie reagowali na jego popisy. Obaj zwycięzcy dj'e otrzymali w nagrodę profesjonalne miksery Vestaxa, tak że opłacało się stanąć w dj'skie szranki. Oprócz tego mogli jeszcze raz stanąć za deckami i w pełni zaprezentować swoje umiejętności - tym razem każdy miał niemal godzinę na swój set. A potem zaczęła się imprezka, która w fantastycznej atmosferze trwała do późnej nocy. Za gramofonami stanęli również jurorzy - i udowodnili, że mieli prawo wybierać najlepszych dj'ów. Novika i Sorbee, a potem ponownie Feel-X dali ludziom kilka godzin zajebistej zabawy, którą pewnie wszyscy uczestnicy będą mile wspominać.

Na koniec jeszcze kilka słów o zwycięzcy kategorii hip-hop. DJ Taśmy pochodzi ze Stalowej Woli, niedawno zajął trzecie miejsce na Mistrzostawch Polski DJ'ów, które odbyły się w Krakowie. Związany jest również z serwisem internetowym skrecz.com. „Niepozornie wyglądający chłopiec z loczkami, ale jak znalazł się za gramofonami i zagrał, to po prostu rewelacja" - tak opisała Taśmy Novika w wywiadzie dla magazynu „Empik News". DJ Sorbee natomiast zauważył, że wzrasta ilość (i na szczęście jednocześnie poziom) dj'ów hip-hopowych. Dla części z początkujących turntablistów takie konkursy to poważna szansa na wybicie się z tłumu. Czekamy więc na kolejne. Pozdro!

.:El Matador:.
.:foto www.tuhart.net:.



Jedno jest pewne: ten artysta nigdy nie będzie ulubionym wykonawcą dla napinaczy i prawilniaków. „Jestem człowiekiem, który lubi się zabawić, posiedzieć w barze, wypić jeden drink za dużo. Potem coś się zaczyna dziać. I to jest w porządku" - mówi Obie Trice, facet, który zatytułował swój album „Cheers", czyli... „Na zdrowie"

Obie Trice to nie pseudonim. Ten 25-letni raper z Detoit taktycznie się tak nazywa. Czy ma to w ogóle jakieś znaczenie? Raczej nie, ale skoro on sam wciąż to podkreśla, to czemu mielibyśmy o tym nie napisać. Chcecie jeszcze jakąś ciekawostkę? Proszę bardzo - córka Obiego ma na imię Kobie. Dobra, wystarczy.

Obie to kolejna gwiazdka rapu (na termin gwiazda jeszcze za wcześnie, choć jego album sprzedaje się w Stanach jak u nas ciepłe bułki za komuny), która swój błysk na muzycznym firmamencie zawdzięcza Eminemowi. Em doprowadził swoją karierę do takiego punktu, w którym nie musiał już nic nikomu udowadniać i mógł coraz częściej zajmować się inną stroną rap gry - szukaniem talentów i produkcją. Jego pierwszy „solowy" podopieczny, dawny partner ze sceny, Royce 5'9" wielkiego sukcesu co prawda nie odniósł (choć album Rock City to spoko dawka solidnego rapu, z produkowanym przez DJ Premiera hitem „Boom" na czele), ale dużo lepiej było już z ekipą D-12 (ponad 2 miliony sprzedanych egzemplarzy), a o megasukcesie 50 Centa nie ma już co pisać, bo to się zrobiło nudne. Teraz wszystko wskazuje na to, że Obie Trice będzie kolejnym co najmniej złotym strzałem Eminema. A Shady Records, wytwórnia blondasa, coraz bardziej stanowczym klinem wgryza się w rapowy tort upieczony z dolców.

Tak jak Em, Obie pochodzi z Detroit. W swoim dotychczasowym życiu robił już wiele rzeczy. Naukowej kariery nie był w stanie zrobić, gdyż do szkoły zawsze miał pod górkę. Dziś przyznaje z uśmiechem, że nie był specjalnie pilnym uczniem. Podręczniki pieprznął w kąt, jak tylko nadarzyła się okazja, a do roboty... też miał pod górkę. Całe dnie spędzał w towarzystwie koleżków z osiedla, a ponieważ osiedlowe życie na pewnym poziomie kosztuje - wiadomo, piwo, jointy i inne niezbędne rzeczy - pieniądze generował robiąc rzeczy nie do końca legalne, takie jak sprzedawanie drugów, kradzieże. Miał w tym wszystkim farta, bo nie zwrócił na siebie uwagi wymiaru sprawiedliwości.

Jak podaje jego oficjalna biografia, nasz bohater zaczął bawić się rapem mając lat 11. Należy domniemać, że była to właśnie zabawa, zresztą wśród dzieciaków z czarnych osiedli Ameryki bardzo popularna. Końcówka lat 80. to dynamiczny rozwój rap sceny w Stanach, czas, kiedy muzyka ta powoli stawała się panującym trendem miejskich ulic. Rap to w oryginalnej formule również rywalizacja - który emcee będzie lepszy. I małolaci, i starsi tłukli więc swoimi rymami i freestyle'ami, w ten sposób zabijając nudę, a jednocześnie - patrząc na tych, którym dzięki muzyce udało się osiągnąć coś więcej - marząc o prawdziwej karierze, dolarach, furach i złocie na szyjach. Dla Obiego zabawa przerodziła się w coś więcej. Zaczął coraz częściej pojawiać się na lokalnej scenie, koncertując po klubikach i udzielając się na mikstejpach. W jego stylu słychać było inspirację Rakimem, Big Daddy Kanem i Biz Markiem - właśnie tych wykonawców wymienia, jako swoich ówczesnych idoli. Choć wszystko to z początku wyglądało mało obiecująco i wiele wskazywało na to, że poza lokalnym tamem nic więcej z tego nie będzie, Obie dalej robił swoje i w tym wszystkim nie przestawał robić postępów.

Pięć lat temu Obiemu urodziła się córeczka, wspomniana już Kobie. Jak to czasami z młodymi tatusiami bywa, facet oszalał na jej punkcie. Dziś mówi, że to właśnie dzięki córce postanowił skończyć z głupotami, lewymi interesami i całą niebezpieczną resztą. I podobno to właśnie wtedy obiecał sobie, że wszystko podporządkuje karierze muzycznej. Szło mu coraz lepiej - „Respect" i „Dope Jobs" były singlami, które pomimo tylko podziemnego statusu stały się całkiem nieźle rozpoznawalne. Podobnie było z kawałkiem „The Well Known Asshole". Jeden z tych kawałków wpadł w ucho Bizarre'owi z D-12 do tego stopnia, że zainteresował materiałem Obiego Eminema. Panowie spotkali się, uścisnęli sobie ręce, a Em powiedział Obiemu, że interesuje się wydaniem jego materiału, po czym... cała sprawa ucichła. Po kilku miesiącach jednak Obie został zaproszony do studia, a potem na imprezę, podczas której napruli się z Emineme do nieprzytomności i zaczęło się. Obecność na albumie D-12 i soundtracku do 8. Mili to już coś. Potem koncerty z całą ekipą Ema i status głównego supportera podczas tournee Roc The Mic, gdzie pierwsze skrzypce grali 50 Cent i Jay-Z. I bardzo ważna rola w The Eminem Show - to właśnie Obie podczas koncertów strzela z obrzyna do lalki symbolizującej Moby'ego. W tym momencie było już wiadomo, że Obie Trice musi odnieść sukces. Za mocne plecy...

Produkcją płyty zajął się przede wszystkim Em, ale swoją cegiełkę dorzucili również Dre i Timbaland. Pracę w studiu z Eminemem Obie wspomina jako niekończącą się sesję profesjonalizmu, którym Em ponoć aż kipi. „On potrafi wszystko, czuje wszystko, wszystko jest w stanie przewidzieć i zrobić" - mówi Obie o swoim „szefie".

Zamówienia na jego płytę, zanim się jeszcze ukazała, bardzo pozytywnie zaskoczyły Shady Records, firmę bądź co bądź opromienioną megasukcesem płyty 50 Centa. Teledysk do „Got Some Teeth", rubasznego manifestuimprezowo-erotycznego, lata po częstotliwościach muzycznych telewizji jak wściekły. To co - będzie nową rapową gwiazdą? Chyba trzeba się z tym pogodzić, co w sumie jakoś ciężko nie przychodzi, bo Obie Trice jest całkiem niezłym raperem i ma kilka ciekawych pomysłów.

.:k:.



OBIE TRICE
CHEERS

Eminem ma rzadką umiejętność zamieniania wszystkiego, czego się dotknie, w złoto. Można więc przypuszczać, że skoro po 50 Cencie wziął na tapetę Obiego Trice'a, złoto będzie (a w USA to 500.000 egzemplarzy). Niesprawiedliwością byłoby jednak kategoryczne stwierdzenie, że ewentualny sukces Trice odniesie tylko dlatego, że jest podopiecznym Blondasa. Słuchając jego rymów nie mamy do czynienia może z mistrzostwem świata nie wiadomo jakiego kalibru, z pewnością jest to jednak raper, który ma kilka rzeczy do powiedzenia, a poza tym - co najważniejsze - przychodzi mu to z łatwością. Tych w większości wyluzowanych i nacechowanych poczuciem humoru historii słucha się tajnie również dlatego, że Obie jest kolesiem luźno operującym swoim stylem i świetnie dopasującym się do melodii podkładu.

I skoro już jesteśmy przy muzyce, to kilka faktów. Początek albumu jest niepokojąco podobny do początków albumów Eminema, co z uwagi na osobę executive producera płyty nie może dziwić. Potem już jednak nie jest aż tak łudząco podobnie, choć wszystko jest mocno w stylistyce Shady Records. Beat do "Got Some Teeth" wydaje się już troszkę przejedzony (przez promocję w tv-mediach), ale nie zmienia to faktu, że patent jest zajebisty. W total wbija prosty, ale ostry beat Dre'a do "Shit Hits The Fan" (zresztą ze świetnie przewiniętą zwrotką Doktora), podobnie zresztą jak beat Timbalanda do chyba najlepszego kawałka na płycie - "Bad Bitch". No i wyróżniłbym jeszcze minimal Dre'a do kawałka "The Setup", który znakomicie wyróżnia prześpiewanym refrenem Nate Dogg. Generalnie album brzmi bardzo profesjonalnie, złośliwi powiedzą, że mainstreamowo, ale to chyba nie powinien być zarzut, bo rapowy mainstream zza Oceanu brzmi ostatnio całkiem OK. Zostawmy jednak ten temat, bo z recenzji przejdziemy do opowiadania.

Obie Trice jest raperem, który lubi się wygłupiać, ale na tej płycie nie tylko żarty się go trzymają. Jest tu kilka zwrotek z gatunku tych poważniejszych, choć można podziękować Opatrzności, że Trice będąc kolejnym przebijającym się do rapowego Hall Of Fame wykonawcą z różną przeszłością, nie sławia na martyrologię weterana lewych interesów. Ma dystans, ten dystans słychać i jest w porządku.

Niezła płyta. Może nie rzuca na kolana, może nie ma lekkości płyt Eminema i przebojowości albumu 50 Centa, ale jest w niej wszystkiego po trochu - i hitów, i fajnej do posłuchania muzy, i ciekawych przewijek.

.:k:.

KONKURS

Więc jest tak - mamy 10 płyt Obiego i chętnie wyślemy je do Was. Żeby jednak nie było, że upadliśmy na głowę i rozdajemy kosztowne prezenty za nic, wpierw będziecie musieli odpowiedzieć na trzy proste pytania:

1. Jak naprawdę nazywa się Obie Trice?
2. Czy Obie Trice naprawdę nazywa się Obie Trice?
3. Jak naprawdę nazywa się Eminem (od razu podpowiemy, że nie nazywa się Obie Trice)?

Odpowiedzi na kartkach pocztowych wysyłajcie do końca listopada na adres redakcji SLG, czyli 00-624 Warszawa, Marszałkowska 3/5. Powodzenia.

coolio

Z Cooliem, który Wam jest, mam nadzieję, dobrze znany, mieliśmy okazję się spotkać 30 sierpnia przed jego koncertem w warszawskiej hali Expo. Coolio okazał się straszną gadułą i gdyby nie jego menadżer, który skracał naszą rozmowę, to byśmy przegadali jeszcze kilka ładnych godzin, a wywiad ten czytalibyście w odcinkach przez następnych parę numerów. Jednak tak się nie stało, więc nie pozostaje nic innego jak zaprosić Was do lektury.

Pierwsze pytanie, aby rozwiać wątpliwości. Czy to jest Twoja pierwsza wizyta w Polsce?
Nie, no co wy? To jest już moja piąta wizyta w Polsce, ale to będzie moje największe show jak do tej pory. Wcześniej grałem kameralny koncert, na zaproszenie jakiegoś bogatego i ważnego biznesmena. I chyba jeszcze grałem 2 lata temu w Krakowie, ale to też był jakiś mały występ. A z jakich okazji wpadałem jeszcze do was to nie pamiętam, ale mam swoje wydawnictwo w Niemczech i stamtąd jest blisko do was.

Często bywasz w Europie?
Czy często? Nie wiem, wpadam od czasu, do czasu. Niedawno poznałem naprawdę dobrego producenta ze Szwajcarii, z którym już nagrałem trzy piosenki! Ten koleś, Sergio, jest naprawdę zajebisty! Ma dobre beaty i jutro do niego jadę, żeby nagrać więcej kawałków, pewnie nagram z nim połowę mojej nowej płyty. Te numery są niesamowite np. „Lady and the gangsta", który po prostu wymiata albo „I rhyme" kawałek, który jest równie dobry, jest też „The damn thing" który jest naprawdę gorącym gównem.

Czy odczuwasz różnicę, między nagrywaniem w USA, a w Europie?
Mi to nie robi różnicy, bo jak wchodzę do studia, to mam wszystko pod kontrolą- wszystko kręci się tak jak tego chce, nie ma różnicy gdzie jest to studio. Producent zarzuca beat i się wycofuje, daje mi zrobić to co do mnie należy. Jak ja skończę, to on przychodzi i proponuje ewentualne zmiany, jak to co mówi ma sens, to próbujemy, nagrywamy tak jak on sugeruje. Potem to co stworzyliśmy puszczam ludziom którym ufam i daje im się wypowiedzieć, jak mają jakieś tajne pomysły to zaczynamy jeszcze raz, i robimy to, tak długo jak trzeba. Nie ma różnicy między miejscem położenia studia, jest tylko różnica w ich wyposażeniu i w umiejętnościach producentów.

Masz już sporo lat na karku, żonę i szóstkę dzieci, a mimo to ciągle nagrywasz hiphop, grasz koncerty po całym świecie. Nadal masz do tego siłę i zapał?
Z żoną rozwiodłem się już 3 lata temu, to od 3 lat mam jeszcze większy zapał (śmiech). Kocham moje dzieci, dlatego nagrywam dalej, dla nich. Lecz nie tylko, ja wciąż kocham hip-hop, on ciągle jest we mnie. Ogromna ilość kawałków hiphopowych, które dzisiaj słyszę jest gówno wartych, wiec myślę sobie „Dlaczego mam przestać?? Przecież jestem lepszy od większości raperów, o których teraz jest tak głośno..". Teraz mam lepsze flow, nauczyłem się nieco śpiewać, mam lepsze pomysły, większość raperów wraz z wiekiem traci to coś, a ja to ciągle mam. Ale teraz mam jeszcze więcej energii, bo ktoś mnie zdissował, pierwszy raz od początku mojej dwunastoletniej kariery!! Więc muszę oddać cios. Usłyszycie to na moim nowym albumie, albo nie, nagram na niego coś jeszcze wcześniej i puszcze to w sieci, albo na jakiś mixtape.. Już za 2 tygodnie będę w domu, więc za jakiś miesiąc stanie się coś o czym będzie głośno- usłyszycie moją odpowiedź!

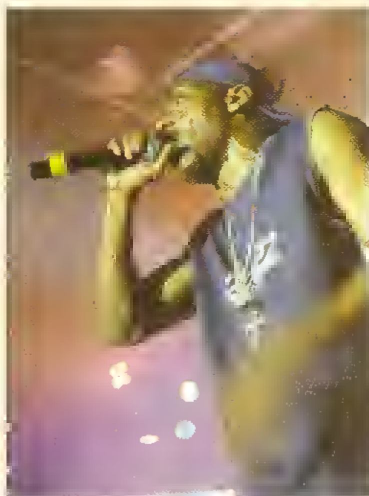
Nie zdradzisz nam kto Cię zdissował?
Nie. Nikt mnie nigdy nie pojechał... a teraz ten koleś - w gruncie rzeczy to jeden z moich ulubionych młodych mc- zdissował mnie.. myślałem, że jest moim kumplem. Ja nie jestem kolesiem, który będzie Ci jeździł po matce, dzieciach, żonie, dissując cię w ten sposób w swoich kawałkach. On pewnie właśnie od tego zacznie, on będzie mi jechał po rodzinnie, podczas kiedy ja cały czas będę wyśmiewał tylko i wyłącznie jego. On nie jest tak dobrze wykształcony jak ja, nie ma tak bogatego słownictwa, na swoich płytach cały czas rymuje o tym samym, i używa do tego tych samych słów, które powtarza non-stop. Jego mózg jest malutki, zgniotę go jak robaka, ale co z tego on i tak będzie sprzedawał płyty, bo jest zajebiście popularny. Wiem jedno, że pod koniec tej bitwy wszyscy powiedzą: „Coolio... o kurwa! ale go rozjebałeś... wyglądał jak idiota, nie potrafiąc odpowiedzieć, po tym jak go pojechałeś". A następnie wezmę jego kawałki, skasuje jego zwrotki i w ich miejsce nagram swoje, potem pokaże je jemu oraz ludziom i powiem „tak kurwa, to powinno wyglądać!!". Ludzie nie będą mogli uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nie jestem zły, patrzę na to jak na grę. Nikt mnie nigdy nie zdissował, a ja się często zastanawiałem dlaczego? Doszedłem do wniosku, że to dlatego, że jestem spoko typem i nikt nie miał powodu, żeby mnie dissować i tyle. Ale każdy mc ma w głowie zakodowane „jak ktoś mnie pojedzie, to go zniszczę!", czekałem na to, szykowałem się na to, przez całe swoje życie. Podpowiem wam kim jest ten koleś, ma teraz swój własny show na Mtv.

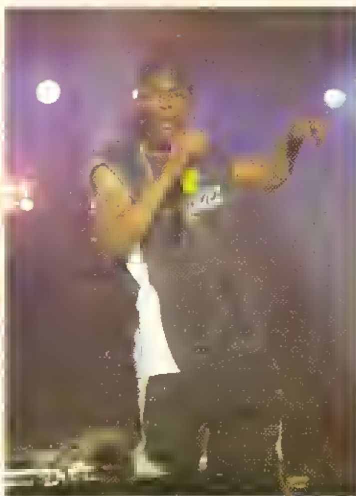
Niegdyś pracowałeś jako strażak, czyli w wymarzonym zawodzie wszystkich małych chłopców, potem mogliśmy usłyszeć Twój kawałek na składance nagranej specjalnie do kreskówki o przygodach Dextera pt:"Dexter's Laboratory: The Hip Hop Experiment", również na soundtracku do „Space Jam". Realizujesz w ten sposób swoje dziecięce marzenia?
Trudne pytanie, nie rozpatrywałem tego nigdy pod tym kątem, ale coś w tym jest, masz rację. Jestem pieprzonym szczęściarzem, bo spełniłem wszystkie swoje marzenia, zarówno te które miałem jako gówniarz, jak i te które towarzyszyły mi kiedy byłem nastolatkiem. Nawet więcej, bo udało mi się osiągnąć sto razy więcej niż chciałem, marzyłem tylko o własnym aucie i mieszkaniu, a zobaczcie co osiągnąłem. Dziękuje losowi za to.

Mogliśmy Cię podziwiać już w kilkunastu filmach, lecz tylko w rolach drugoplanowych, masz zamiar zagrać kiedyś jakąś główną rolę, jak choćby DMX, czy Eminem, lub w ogóle porzucić robienie muzyki, dla zostania aktorem tak jak to planuje Jay-Z?
Wątpię żebym kiedykolwiek skończył robić muzykę! Śmieszą mnie raperzy, którzy najpierw gadają, że muzyka to część ich, część ich życia, a potem jak się dorobią na rapie, to go rzucają dla jakiś innych zajęć. Więc pytam się ich: „kłamaliście, czy mówiliście prawdę?", a odpowiedz brzmi: „kłamaliście!". Nawet jeśli skończę robić muzę dla szerszej publiczności, to i tak będę robił muzykę dla siebie, mojej rodziny i przyjaciół. Jak będę miał 55 lat i siwe włosy to i tak będę wciąż rapował. I wiecie co? Z wiekiem będę coraz lepszy, nawet jak będę miał 60 to i tak będę lepszy od tysięcy rapujących gówniarzy. A wracając do pytania, to zobaczymy, jak mi ktoś zaproponuje główną rolę w jakimś ciekawie się zapowiadającym filmie, to czemu nie?

Dobrze może pogadamy o Twoim rodzinnym mieście, co się obecnie dzieje w Compton, śledzisz lokalną scenę hiphopową?
Wielu zajebistych mc's pochodzi z Compton i wielu się tam teraz lansuje. Jednego z nich właśnie wyłowił Dr.Dre. Słyszałem tego kolesia, który brzmi dokładnie tak jak Biggie! Nawet wygląda podobnie jak on, ma flow zupełnie jak Biggie! On jest jak Biggie! Musi być jego „wielkim" fanem (śmiech). Niestety nie bywam za często w swoim rodzinnym mieście, bo jest tam teraz wojna między meksykańcami, a czarnuchami. To się już ciągnie od lat 80tych, kiedy to panował Crack, a czarnuchy nie miały na niego pieniędzy, więc okradały meksykańców, włamywali im się do domów i okradali ich rodziny, napadali na ich dzieci na ulicy. A teraz ci młodzi meksykanie, którzy patrzyli na to jak byli mali, dorośli - są już duzi i silni. Zdominowali murzynów w Compton, mszczą się teraz za dawne krzywdy. Mordują się nawzajem, po prostu wojna na ulicach. Ja nie mam osobiście nic przeciwko meksykanom, mój dj jest meksykaninem! Ja nie lubię wpieprzać się w kłopoty, więc nie jeżdżę tam za często, jak już tam jestem to odwiedzam babcie i spieprzam.

Nadal robisz coś razem z 40 Thievz, gdyż nie gościsz już na ich ostatnim albumie „Left 4 Dead"?
Tytuł tej płyty jest chyba o mnie - że to ja ich „Left for dead" (zostawiłem na śmierć przyp. Red.). W skład 40 Thievz wchodzą PS i Lickrat. PS to młodszy brat Lickrata, to ja go nauczyłem rapować. Trzymał się ze mną od dwunastego roku życia. Lickrat to jeszcze długo nie potrafił rapować, prawda jest taka, że w momencie gdy 40Thievz pojawili się na moim albumie, to Lickrat rapował dopiero od trzech lat, podczas gdy PS rapował już 10lat. W związku z naszą współpracą zabrałem ich w tourne dookoła świata i Lickrat nagle stał się strasznie zadufany w sobie. Woził się jak mało kto, podczas kiedy ja byłem na topie i miałem powody aby się wozić, to pozostałem normalny! A Lickrat woził się jak skurwysyn. Nazywał dziewczyny dziwkami i dziurami, dissował ludzi, zachowywał się jak rasista i naskakiwał na białych zupełnie bez powodu! Zaczęliśmy się kłócić.







Powiedziałem mu, że to moje show i że nie może robić z siebie takiego palanta, bo wychodzę przez niego na idiotę. Poza tym wszystko kosztuje, bilety na samolot, hotele... a większość tego płacisz z góry, a jak nie płacisz z góry, to musisz dać zaliczkę, a jak zrezygnujesz potem, to oni mają to w dupie i nie oddają ci kasy. Miałem takie jedno show w San Francisco w Californi, na którym 40Thievz się nie zjawili, bo byli na imprezie z dupeczkami w willi z basenem. Wkurzyłem się, ale ich nie wyłałem. Jest też druga historia kiedy jechałem do Bratysławy na 2 dni i trzeba było długo lecieć, bo to kawał drogi...a Lickrat powiedział, że ma to w dupie i nie leci do żadnej pieprzonej Bratysławy, że mu się nie chce. Więc zadzwoniłem do niego i powiedziałem mu, że jak się nie pojawi to go pieprzę! Nie pojawił się, więc obsrałem go. A poza tym to ja wymyśliłem nazwę 40Thievz, tylko Lickrat załatwiał papierkową robotę, żeby ta nazwa była jego własnością i ukradł mi mój pomysł i tyle! To nie był miły okres, ale mimo wszystko, gdy przyszedł do mnie pół roku później i mnie przeprosił, to mu wybaczyłem i jesteśmy teraz znowu kumplami, więc jest dobrze. Lecz nie będę już z nim robił interesów. Reszta 40thievz ci którzy ze mną zostali, nazywają się teraz „The Replacements", co daje do myślenia. Pokazuje ludziom w ten sposób, że każdego można zastąpić - że zawsze jest ktoś lepszy od ciebie. Musisz zdobywać wiedzę, uczyć się nowych umiejętności, gromadzić doświadczenie - i to właśnie świadczy o twojej wartości.

Swoim hitem „Gangsta Paradise" przetarłeś szlaki innym raperom, grającym lekki imprezowy hip-hop, co sądzisz o obecnym rozwoju muzyki hiphopowej na świecie?

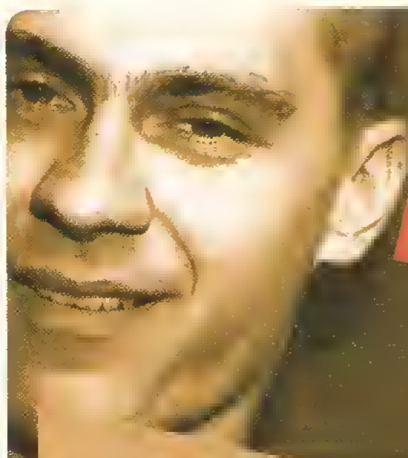
Trochę mnie wkurwia to, że wszystkie moje produkcje po „Gangsta Paradise" są do niego porównywane, to był naprawdę zajebisty kawałek, ale odniósł ogromny sukces, głównie dlatego że przyczyniły się do jego media itd. Oprócz niego nagrałem dziesiątki nawet lepszych numerów, ale te nie były już tak promowane, a ludzie myślą że były słabe, bo nie gościły w Tv i w radiu tak często. Teraz nie musisz tak naprawdę być dobry, żeby twoje płyty się dobrze sprzedawały, wystarczy że masz pieniądze! Wystarczy, że dobrze zapłacisz telewizji i radiu, a oni zagrają każde gówno i to wystarczy, abyś stał się bożyszczem tłumów. Znam wielu gównianych raperów, którzy są na topie, bo płacą wszystkim na prawo i lewo, podczas gdy dla dobrego hiphopu nie ma miejsca, bo okupują je ci, co zapłacili. A ci którzy są naprawdę dobrzy są bez kasy i nie stać ich na opłacanie się. Spójrzmy na Mastera P, który jest najchujowszy! On nie ma kurwa w ogóle talentu! Wylansował się, bo miał brudny hajs z handlu narkotykami i musiał go gdzieś „uprać"! Nagrał dużo swojego gówna i sprzedał to dzięki dobrej reklamie! Jeśli dzień w dzień, rano, w południe i wieczorem słyszysz tę samą chałę.. non-stop bez przerwy, to najpierw nienawidzisz tego, ale potem z upływem dni, zaczyna cię to wciągać i pewnego dnia przyłapujesz się na nuceniu tego szajsu pod prysznicem! Oni zaprogramują ci to w głowie! Wbrew własnej woli polubisz ten shit!

I na koniec, aby Cię już nie męczyć ostatnie słowa, od Ciebie dla czytelników naszego magazynu i Twoich fanów w Polsce?

Bądźcie sobą. Róbcie swoje i bądźcie dobrzy w tym co robicie! Nie starajcie się być kimś innym, nie kopiujcie, myślcie sami za siebie i nie poddawajcie się presji tłumu. No i do zobaczenia na koncertach.

.:Rozmawiali Pawelec i Tomek Kocoń
Foto Kula (Loop Magazyn):.





hans52dębiec

pięćdwadębiec
pięćdwadębiec
pięćdwadębiec
pięćdwadębiec
pięćdwadębiec
pięćdwadębiec
pięćdwadębiec

Hans w Poznaniu znany jest nie od dziś. Lecz dopiero teraz będzie miała go okazję usłyszeć cała Polska, gdyż jego płyta pt.: "Pięć Dwa Dębiec P-N VI" wydana nakładem UMC, zagościła właśnie na sklepowych półkach, a u niektórych już w głośnikach. Sam Hans gości na łamach naszego magazynu, przekonajcie się zatem co ma do powiedzenia.

Kim jest Hans?
To ja. Mam 22 lata, nieskończone jeszcze zresztą, mieszkam na Dębcu i uczę się. Poza tym nagrywam rapy już kawałek czasu, teraz wydałem płytę na legalu i dla ludzi którzy mnie znają od tej strony to wystarczy.

A dla tych co Cię nie znają?
A Ci którzy mnie znają osobiście, to będą mogli mnie poznać tylko przez moją muzykę, bo moje życie prywatne jest tylko moje i nie jest przeznaczone dla ludzi, natomiast, mój rap jest jak najbardziej dla jak najszerszego grona. A to co chciałbym przekazać o mnie, czy też o moim życiu prywatnym, jest zawarte w tekstach i w nich należy szukać odpowiedzi na nurtujące kogoś pytania, co do mojej osoby.

Nasunęło mi się takie spostrzeżenie Owal wydał swoją płytę mającą podtytuł Emcedwa, u Ciebie jest podobnie 52 Dębiec, mimo że obaj nagraliście płyty solo. Jak to jest, że nie trzymają się ekipy w Poznaniu ?
5-2 to był zespół, który stworzyliśmy z Deepem, kiedyś nagraliśmy demówkę, potem płytę, ale on się od tego odsunął i przestał działać na tyle, aby nasz zespół funkcjonował dobrze. Lecz ja cały czas jeździłem na koncerty, promowałem nazwę „Pięć Dwa", pracowałem na nią tyle lat, i 5-2 działa nadal, lecz już w nieco innym składzie. Teksty poza gościnnymi są moje, nad muzyką z reguły pracuję razem z Panczem, to jest bardziej na zasadzie przyjacielskiej, że on przyjdzie czasem i coś mi pomoże, ale niezaprzeczalnie ma swój wkład w płytę. Z Ronem skupiamy się na sferze koncertowej i ma też swoje dwie zwrotki na płycie. I tak sobie współpracujemy, nikt nie jest wsadzony w miejsce Deepa, ale właśnie w ten sposób tworzymy obecny skład 5-2, a ja mogę się nazwać jego głównym reprezentantem.

Poznań ostatnio coraz mocniej zaznacza się na hip-hopowej mapie Polski, co sądzisz o tym co się dzieje w twoim rodzinnym mieście?
W Poznaniu dopóki nie powstało UMC, a stało się to przy okazji wydania pierwszej płyty Owala, nie było możliwości wydania materiału nigdzie, znaczy można było próbować i wysyłać demówki po różnych wytwórniach, ale było to skazane na niepowodzenie. Tutaj każdy robi coś, każdy coś już nagrywał, trwa to już od 97 roku i równie dobrze dużo materiału mogło się ukazać wcześniej, ale po prostu nie było gdzie. Może gdybym mieszkał w Warszawie nasza pierwsza płyta byłaby wydana legalnie, ale wydaliśmy ją własnym nakładem i za nasze pieniądze, z okładką zrobioną przez naszych kumpli. Oczywiście nie żałuję tego, teraz pojawiły się nowe możliwości z czego się bardzo cieszę, więcej zespołów ma szansę coś wydać. Niezależnie od tego jest podziemna scena, na niej jest Te-Hac Wudu, Wiśnia był zawsze z nimi kojarzony, oni grają rzeczy nieco reggowe, będą grali ze mną na moim promocyjnym koncercie w Tropsie. Jest jeszcze Kornik, RW, Green Team, jest dużo zespołów których ja nie jestem w stanie wymienić, gdyż powoli tracę kontakt z tym. Byłem ostatnio na festiwalu undergroundowym, grałem tam i czułem się jakby nie powinno mnie tam być. To jest miejsce dla zespołów które chcą się pokazać na scenie, jakoś zaistnieć, ja już przez ten etap przeszedłem i chyba nie powinienem do niego wracać. W mieście cały czas coś się dzieje, cały czas coś powstaje, krążą nowe demówki, ale do mnie to już w takiej ilości nie trafia, jak kiedyś.

Twoja płyta wyszła nie tak dawno, ale nie towarzyszy jej jakieś potężne zamieszanie medialne. Co możesz o niej powiedzieć tym co jej/o niej jeszcze nie słyszeli?
Jest dosyć ciężka, przez co nie jest przebojowa, choć w telewizji promuje ją teledysk do kawałka „Konfrontacje", który jest nieco lżejszy od innych na płycie, ma dość melodyjny podkład, choć sam tekst jest ostry, a dotyczy właśnie konfrontacji, z kimś twarzą w twarz i twarzą w twarz z życiem. Myślę, że dużo ludzi się może do niej zrazić, bo nie jest przebojowa, ani imprezowa, nie ma na niej dużo kawałków typowo koncertowych. Myślę że najlepiej sprawdza się w domu na słuchawkach, gdzie każdy spokojnie może się wsłuchać w teksty, przemyśleć je sobie. Poza tym muzyka na niej jest taka jaką lubię, czyli prosta, korzenna. To ja byłem za nią w większości odpowiedzialny, plus parę rzeczy razem z Panczem zrobiliśmy, a z Doniem głównie basy i techniczne sprawy. Nie ma na niej przeładowania i zbyt dużej ilości smyczków, świstów, pisków, czy niewiadomo czego. W tej chwili muzyka rapowa jest albo bardzo elektroniczna, albo strasznie przeładowana jakimiś fajerwerkami muzycznymi, a u mnie tego nie ma, bo nie lubię tego. Dlatego trzymam się prostych patentów, jednej pętli która się powtarza, z mocnym bitem, do tego jakieś dodatki, oraz aranżacja. W prostocie często tkwi geniusz, i staram się trzymać tej zasady.

Na Twojej płycie pojawia się Ski Skład, Asceci i inni, ale brakuje Owala, u którego ty gościłeś. Czemu nie wpadł z rewizytą?
Na mojej płycie jestem akurat bardzo zadowolony z udziałów gości, bo idealnie dobrałem ludzi do kawałków. Miałem projekt, w którym wiedziałem, że zrobię ze Ski Składem, że zrobię z Ascetami, ale zabrakło takiego gdzie mógłby się pojawić Owal i Mez. Chciałbym ich mieć w jednym kawałku, ale zabrakło odpowiedniego projektu i dlatego nie zaryzykowałem. Były utwory gdzie mogłem ich zaprosić, ale nie chciałem robić czegoś na siłę. Z Wiśniowym było co prawda nieco inaczej, ale tak często coś razem w tamtym czasie robiliśmy, że wyszło to nam naturalnie.

A jak Ci się z nimi współpracuje, przecież rapujecie w zupełnie odmiennym stylu?
No właśnie. Jest zupełnie inaczej, z Owalem nagraliśmy kawałek „Przepraszam" i myślę, że idealnie się wpasowaliśmy. Z Mezem nie mieliśmy jeszcze okazji nagrywać razem, nie licząc, kawałka na Slums Attack „I moje miasto złą sławą owiane". Można próbować łączyć takie skrajne style i gusta muzyczne i czasem wychodzi z tego coś fajnego, czasem nie. Na razie nie eksperymentowaliśmy za dużo.

Dysponujesz bardzo charakterystycznym flow, masz melodykę w głosie, płynnie trafiasz w bit, a w szczególności w podśpiewywanych nach, ale gdy już rapujesz to ta melodyka znika, czemu tak jest?
Refren jest refrenem, zwrotka jest zwrotką, w niektórych zwrotkach też staram się jakoś głosem dopasować do melodii, różnie jest. Dla mnie to jest naturalne, nie zastanawiam się nad tym za dużo, ja inaczej nie potrafię, słyszę bit i on już mnie dalej prowadzi jak mam to dalej zrobić, i tak robię. Nie mogę powiedzieć za dużo na ten temat, bo nie próbuję nagrywać kawałków na 4 różne sposoby, bo po prostu nie potrafię, skupiam się na doszlifowywaniu tego jednego.

W kawałku „To my!", który nagrałeś wraz z Ascetoholix, bardzo trafnie określiliście nasz naród, pomimo wad jakie wymieniliście jesteś dumny z bycia Polakiem?
Wiadomo, że jestem. W polskim rapie obserwuje się zachłyśnięcie czarną amerykańską kultura, i nikt nie podkreśla wartości naszej kultury i naszej indywidualności. Uważam, że ważne jest to, że jesteśmy Polakami, mimo że źle się dzieje w naszym kraju, ale każdy z nas w głębi czuje się z nim związany, jest mu tu dobrze i traktuje Polskę jako dom rodzinny, gdzie zawsze miło jest wracać. Ten kawałek jest taki nieco ironiczny, napisany z przekąsem, to jest taka satyra na Polaków, którą trochę należy traktować z przymrużeniem oka.

A co byś zmienił w naszym narodzie jak byś miał taką możliwość?
Ja to traktuję tak, że akceptuję nasz naród takim jaki jest. Oczywiście są negatywne cechy, takie jak np. brak tolerancji, ale sam też mam te cechy, więc nie chcę wyjść na hipokrytę.

Mówiliśmy już o Twoich udziałach gościnnych, gdzie w najbliższym czasie zamierzasz się pojawić?
Pierwsza rzecz gdzie mnie będzie można usłyszeć, to składanka producencka Donia i to jest jedyny pewniak na razie. No i oczywiście powoli zacznę zbierać materiał na moją drugą płytę, a co jeszcze? to się dopiero okaże.

A masz już na nią już jakieś pomysły?
Na pewno będzie dość podobna do tej, bo będę się trzymał standardów, które wypracowałem na tej, oraz tego klimatu. Postaram się aby było na niej mniej mojej muzyki, gdyż nie czuję się producentem i nie przykładam tyle serca do tego co inni. Będę starał się o muzykę od Donia, może od Tabba, lub jakiegoś innego producenta.

Dobra czas kończyć, jakieś ostatnie słowa?
Pozdrawiam Dębiec, pozdrawiam Poznań. Pozdrawiam wszystkich, a w szczególności tych, co słuchają mojej płyty i potrafią wydobyć z niej coś dla siebie.

.:Rozmawiał: Pawelec:.
.:Foto: Martyna Zapolska:.

ichdwoje

Poniżej prezentujemy subiektywny wybór najciekawszych i najsłynniejszych duetów wokalistka - raper. Wiemy, wymieniać można by długo. Choćby Mr.Cheeks z paniami z Floetry - słaba współpraca świetnych wykonawców, czy Rakim z Truth Hurts - legenda z osobą, która musi jeszcze powalczyć o szacunek... Zapytacie gdzie Jay-Z z Beyonce... Przed tym kawałkiem i tak nie da się uciec. A Polska? Zwykle niszowe (choć dobre) projekty w rodzaju Lari Fari i masy nieznanych wokalistek. Nie ma mowy o oczekiwanym „zderzeniu różnych światów". Thinkadelic w starym numerze „Lek" ma podpisany featuring Krystyny Prońko. Jednak to raczej tak jak Liroy i Lionel, klasyczny refren wysamplowany za porozumieniem stron i lek działający przeczyszczająco. Yaro i Reni Jusis zaproponowali „Rowery dwa". Reni popedałowała do przodu, miała nagrywać z Molestą, nagrany u 600V wokal skończył w końcu na 17 i średnio tam pasuje. Yaro miał pecha, spadł mu łańcuch. Podobno wymienił za to swój rower na „Lepszy model". Warto skupić się na utworze „Kamienie" prezentowanych w tym numerze Natalii Kukulskiej i Tedziunia. Natalia wcześniej próbowała z raperami, nagrywając na nowo „Tyle słońca w całym mieście" z repertuaru matki. Funky Filon szalejący na tym tracku również kojarzy się z kamieniami. Przywiązanymi do genitaliów w trakcie lotu do basenu z gorącym kisielem. Fisz i Novika tyleż wdzięcznie, co irytująco uczyli nas literować słowo „Tajemnica" na tle sielskich widoczków. Eldoka i Nuno stworzyli intrygujący duet, wokalistka ma dużo klasy i zaskakuje również lirycznie, co jest rzadkością. Czekając na następne numery i szalone crossy, polecamy zapoznać się z tym oto przypomnieniem.

Mariah Carey i ODB

To był szok. Wymuskana Mariah, z jednymi z piękniejszych nóg świata, znana z repertuaru ulizanego, czasem nawet łzawego („Just call my name, and I'll be theeeeereeee") i o dziwo przyzwoitych umiejętności wokalnych, współpracuje z nieokrzesanym, zaplutym cudzołożnikiem mającym nieustanne problemy alkoholowe. Kiedy słyszy się głos jednej z legend nowojorskiego Wu-tang, głos, który można by usytuować gdzieś między plemiennym śpiewem i piłą tarczową, wiemy, że nie chcielibyśmy zostawić przy nim córki. Kiedy wsłuchamy się w to co mówi w swoich utworach, to więcej tam libacji, seksu oralnego i przekleństw niż w restauracji sejmowej i zostawienie swojej matki w promieniu dwóch kilometrów od ODB byłoby wysoce nierozważne. Kiedy się na niego spojrzy, staje się jasnym, że najlepiej będzie kiedy babcia znajdzie się w zupełnie innym mieście. Tymczasem powstał numer, który pod nosem mogą sobie nucić nawet świadkowie Jehowy, goniąc niewiernych z najnowszym numerem „Przebudźcie się". Bastard jest grzeczny, ale jego wejście przyciąga uwagę od pierwszego „New york in da house". Ostrzegam fanów rapera: po wejściu refrenu Mariah i słowach „Jestem w niebie ze swoim chłopcem" będziecie wbijać gwoździe czołem. „Fantasy" to jednak kooperacja ważna z racji na przełamanie pewnego stereotypu.

Lauryn Hill i Nas

Pomijając nagłe afrocentryczne opętanie i równie nagłą produkcję dzieci z mężczyznami, którzy mają na nazwisko „Marley", przymykając oko na trudno przyswajalne dla słuchacza „Unplugged", trzeba przyznać, pani Hill ma klasę. Pomijając „Oochie wally", występ z Jennifer Lopez i najgorszy na świecie refren w numerze Mobb Deep, przymykając oko na „Nastradamusa" z beatami, które nie sprawdzałaby się nawet jako dzwonki polifoniczne, trzeba przyznać, że pan Jones ma klasę. Superduo? Nie może być inaczej, mamy do czynienia z geniuszami lirycznymi w ramach swoich płci. Nas tradycyjnie miesza szorstkość z poetyckością, Lauryn nadaje głębi niebanalnym, emocjonalnym wokalem. Może Trackmasters powinni dostać po łapach za nieskończenie długie sample z kanonów muzyki rozrywkowej, ale są jak zwykle efektowni (jeżeli ktoś naprawdę nie może wytrzymać - odsyłam do remixu Mf Dooma). Trzy opowiedziane dźwiękami historie, zlewają się w jedną. Hill śpiewa: „Pójdziemy prosto na słońce". Dokładnie. „If I ruled the world" to klasyk.

Christina Aguillera i Redman

Klip do dzisiaj mam w pamięci. Ginekologiczne ujęcia spływającej makijażem Krystyny (z serii „pokaż kotku co masz w środku") i Reggie Noble sprzedający fangę wielkiemu królikowi. Beat huczy od agresji, jest mocnym, syntetycznym kiwaczem głów, rymy Redmana jak zwykle mistrzowskie („The club is packed, the bar is filled / I'm waiting for sister to act, like Lauryn Hill"), niestety Aguillera jest nijaka, wręcz zwalnia szaleńcze tempo numeru. Cóż, nie wolno zapomnieć, że wybiła się piosenką o dżinie w butelce (chodzi o dżina spełniającego życzenie, a nie takiego do mieszania z tonikiem) nagraną dla Disneya. Christinę należałoby odesłać do gry w gumę, gdyby nie to, że w obliczu numeru „Dirrty" dość dwuznacznie to brzmi.

Mary J. Blige i Method Man

Rzecz jest pikantniejsza niż myślicie, bo tak właściwie mamy do czynienia z trójkątem. Za sukcesem „All I Need" i „Love at the first sight" stoi również P. Diddy, niegdyś Puff Daddy - producent. Nietrudno się domyślić, na klipie do tego drugiego, początkowo dyga z zapałką w zębach, na koniec zaś obłapia Mary wykonując dziwne ruchy, nasuwające na myśl Telimenę przyatakowaną na grzybobraniu przez mrówki. Za remix pierwszego artyści dostali nagrodę Grammy. Blige zmienia image jak rękawiczki, słynie z wyniosłości i kontrowersyjnych wypowiedzi, jednak warsztatu odmówić jej nie można. Method to drugi i ostatni po Seanie Connerym człowiek, któremu seplenienie dodaje wdzięku. Właściciel ciepłego i magnetycznego głosu, żyje we własnym, zazwyczaj pełnym niepokoju świecie. Tym bardziej jego otwarcie się w „All I need", podkreślone występem Mary, robiło duże wrażenie. „Love at..." to już raczej styl, niż jakiś sens. Styl wyłożony na pulsującym beacie, z samplem, który nie może wyjść z głowy już od czasów Diamonda D, kiedy to został wykorzystany na jego klasycznym debiucie.

Erykah Badu i Common

O Badu trudno napisać krótko, bo to prawdziwa dama, najwyrazistsza osobowość wśród wokalistek, artystka nie bojąca się eksperymentu. Sam fakt, iż zdobyła się na dziecko z genialnym freakiem, i połową Outkastu - Andre 3000, już powinien wystarczyć, by zmotywować do pisania eseju na jej temat. Nic to, gdzie pojawia się Erykah, tam robi się bardzo intymnie, wrażliwość ma pole do popisu. Refren do „You got me" z Rootsami to jeden z najpiękniejszych momentów hip-hopu. Współpraca z Commonem narzucała się sama, zasłużony bohater miasta wiatrów zawieszony między poezją, a tzw. „świadomym hip-hopem", odważny innowator. „Love of my life" to sentymentalna, zróżnicowana w nastrojach podróż przez hip-hop. Od jamajskich soundsystemów Herca, przez rewolucyjne oblicze rapu a la Public Enemy, po bounce'owych wariatów z Texasu w rodzaju Lil flipa. Mniejsza o to - dobrze zarymowane, jeszcze lepiej zaśpiewane, a w tym wszystkim nie dość, że dusza to i nutka humoru. Lekcja obowiązkowa.

Ashanti i Ja Rule

Szczurzotwarzy Ja Rule, podobnie jak duża część innych wykonawców, nie może zrozumieć dwóch podstawowych rzeczy: 2pac nie żyje, i jest miejsce na tylko jednego DMX'a. Kurrupt, mówi, żeby go pieprzyć, 50 cent go nie lubi, wielu zastanawia się, co jest bardziej kretyńskie: jego teksty, czy ten alfonsi wąsik, jeszcze paru innych zrzuciło by się na to, żeby naoliwić mu to gardło, nieważne. Ja rule i Ashanti wiedzieli jak zrobić sobie dobrze (proszę bez skojarzeń), tworząc wspólnie duet będący kwintesencją obciachu w rapie XXI wieku i maszyną do podboju list. Ja tatszuje do popowych aranżacji, Ashanti ma słodki głos, pozbawiony szczególnej skali i mocy, ludzie kupują, chyba w tym samym celu, w jakim oglądają „Idola". Żeby powiedzieć sobie „No, ja też tak bym mógł".

Janet Jackson i Q-tip

Zderzenie profesjonalizmów u dwójki wyjadaczy zaowocowało dziełem innym niż wszystkie, diabelnie klimatycznym, upajającym swoim leniwym rytmem, idealnym na sjestę w upalny dzień. Nazwisko „Jackson" znane będzie w muzyce do końca świata w pełni zasłużenie - to kawał muzyki, kawał historii, równie silną rodziną jest chyba tylko ta Radia Maryja (podobno Michael również lubi dzieci). Q-tip ze swoim A Tribe Called Quest wrócił rapowi lat dziewięćdziesiątych pogodę ducha. Przyprawił utwór, nie zaś go zdominował. „Got til' it's gone" to wysmakowana rzecz.

Kelly Rowland i Nelly

„Nelly z jakąś Kelly / beat jak z tych seriali na Polsacie" - rymował Eldoka, i właściwie zamknął temat. Cover starego hitu, stylizowany na stary amerykański serial telewizyjny. Panie z Destiny's Child umieją śpiewać, Kelly dostała tymczasem rolę, którą napisano dla kogoś pokroju Ashanti. Nelly nigdy nie był tak nijaki, pozbawiony charyzmy, jęczący jak w „Dilemmie". Wrażenie z utworu przypomina to, którego doznaje się po obejrzeniu dziesiątej z rzędu młodzieżowej komedii romantycznej.

.:Flincio (Czułe szepty):.





„PMD chce podziękować Jezusowi i bogu / za lot, wyjścia do fanów i bezpieczną podróż/ Chcieliśmy wiedzieć gdzie jest w Polsce hip-hop/ Teraz wiemy to wszystko, wiemy to dokładnie/ jak pracować i jak budować go razem/ by z czasem, był coraz większy i większy/w liceach jest kursem, który można wziąć na kredyt/ każdy uczeń może stać się przywódcą rebelii/ jestem liderem pionierów, nie przegranym/ jestem po prostu płomieniem prawdy/ dziękuję Polakom za to jak byłem przyjmowany/ jestem przekonany, wrócę na świetne koncerty/ więcej bboyów, bgirls, hip-hop będzie tu wielki" - to specjalny freestyle PMD dla czytelników Ślizgu. Nie był to pierwszy wywiad, artysta był zmęczony po meczu koszykówki, który cała ekipa rozegrała na boiskach pod Pałacem Kultury, niemniej jednak chętnie i bez żadnej prośby pojechał kilka linijek. Taki jest właśnie Parrish Smith - serdeczny, otwarty i w dodatku pełen mądrości życiowej.

Zastanawia mnie, jak zaczęła się wasza współpraca z DJ Hondą.
Ja pracowałem właśnie nad nowym albumem, a Honda nad składanką „H3", wcześniej słyszałem kilka rzeczy Hondy, ale osobiście nigdy go nie spotkałem. Mój przyjaciel przedstawił mnie i nagraliśmy jedną piosenkę, wyszła niesamowicie, więc nagraliśmy kolejną, i następną, i jeszcze jedną. Wtedy pomyśleliśmy „Hej, powinniśmy nagrać razem cały album, dotąd robiliśmy coś zwyczajnego, zróbmy coś unikalnego!". Więc weszliśmy z Hondą do studia, włączyliśmy muzykę, nagrałem rymy, wytłoczyliśmy album i wszystko wyszło świetnie, teraz przygotowujemy „Underground Connection pt.2" no i album Hit Squadu.
Jaka była pierwsza piosenka, którą nagraliście razem?
Pierwszym numerem był „Hip hop 101".
A co się dzieje z Erickiem Sermonem?
E-Double Zielonooki Bandyta? Erick ma się dobrze. Jako EPMD pracujemy nad nowym albumem „We Mean Business", wiesz o co chodzi, mamy taką małą polityczną rozgrywkę do wygrania, bo kiedy grupa się rozpadła Erick troszkę nakłamał, ja zająłem się swoim życiem. Wydałem solowy album, żeby pokazać, że umiem się z tego wyrwać i znów udowodnić coś światu. Kiedy jest się wielką grupą, jak EPMD, nie chce ci się ćwiczyć, nie chce ci się wydawać albumów, chcesz jeździć po świecie, do Polski, czy Szwajcarii, poznawać... Nie masz ochoty wydawać albumu, ale ludzie mówią „Hej, co się stało? Wydajcie coś". Jako grupa, jesteśmy silni, jako indywidualiści muzyczne też jesteśmy silni i teraz ostatnia rzecz nad którą jako Parrish Smith i Erick Sermon pracujemy, to niezależność.
Porozmawiajmy chwilę o albumie „Awakening" (przebudzenie - przyp.red.)- to dość mocny tytuł. Kto śpi?
Cała hip-hopowa społeczność, cały wszechświat śpi. Jesteśmy w stanie wojny, cały świat się zmienia. Nie chodzi o chodzenie do szkoły przez 12 lat, studiowanie, ślub, bla, bla, bla... Czujemy, że mamy coś znacznie ważniejszego do zrobienia. Nie chcemy przyjąć tradycyjnej drogi, Afrika Bambaata tego nie zrobił, RUN DMC tego nie zrobili, Slick Rick, Big Daddy Kane, Kool Herc, wszyscy ci ludzie. Teraz masz nową generację, która nie wie, są spoza... Myślą, że wiedzą, zarabiają kupę pieniędzy, ale tak naprawdę nie wiedzą. Za 10 lat nie będą mieć tych pieniędzy, ich płyta nie będzie grana, właśnie o to chodzi w „Awakening". W telewizji jest dużo śmieci - wypożyczone samochody, wielkie telewizory w wielkim domu, który został wynajęty do klipu. I o tym mówię na płycie „Hej! Nie oszukujcie samych siebie, jeśli macie talent do robienia tego, otwórzcie własny magazyn, nie musicie pracować na Hustlera, Penthouse, czy coś w tym stylu"
Wspomniałeś kilka legend rapu, jak Slick Ricka, czy Big Daddy Kane'a. Zastanawiam się, czy czasem się spotykacie, i rozmawiacie o hip-hopie, o zmianach trendów, o sytuacji w muzyce.
Niedawno występowałem w San Francisco z Doug E Freshem i Gangstarrem, a dwa tygodnie później byłem w Bostonie z Big Daddy Kane'm, KRS'em, Pharaoahe Monch'em na jednej scenie. KRS mówił „Ej P, człowieku, powinniśmy się razem wybrać w trasę, zabierając jeszcze Kane'a, czy Doug E Fresh'a. Powinniśmy wystąpić razem na scenie, ale w tym samym czasie, a nie osobno".
Pojedynki to esencja hip-hopu, dwa lata temu, gdy Kool Moe Dee pojedynkował się z LL Cool J'em, to było jak sport- bardzo zdrowa sytuacja, ale teraz konflikty stały się popularne, i bardzo osobiste, ludzie obrzucają się błotem, obrzucają błotem swoje matki.
No i w tym tkwi diabeł, to taka sytuacja jak w pojedynkach między Bogiem i diabłem, zawsze jest jakaś negatywna strona. Spójrz na niewolników, żyli w swoim kraju, nagle ktoś się pojawił, zaczął strzelać i wpakował ich na statki. Na tym jest zbudowany świat, na krwi, śmierci i cierpieniu, wojnie i żądzy pieniądza. Teraz mc's myślą sobie „Yooo, wyjdę i będę gladiatorem, postrzelam do kogoś, sprzedam milion płyt". ale to nie musi się stać z tobą, czy ze mną, mimo, że jesteśmy małymi ludźmi, a wszystko jest trochę popieprzone. Tacy ludzie zmierzają w odrobinę złą stronę, ale dla mnie jest najważniejsze, by być pozytywną osobą. Każdy w końcu jest człowiekiem, i kiedyś zapragnie spokojnego życia, a jedyny sposób, by to osiągnąć, to zacząć nad tym pracować. Rozmawialiśmy o tym z 50 Centem - nie możesz wymagać zmian od życia, robiąc w kółko to samo, musisz sam coś zmienić.
Pracowałeś już oczywiście z Sermonem, oczywiście z Hondą, z Alchemistem. Masz jeszcze takiego producenta, z którym chciałbyś współpracować?
Być może któregoś dnia uda mi się dogadać z Dr. Dre. Od 87', od „You gots 2 chill" reprezentuje East Coast, a on to legenda Zachodu. Na prawdę chciałbym współpracować z Dre, i to nie tylko dla gorącego hitu, dla jakiegoś gówna. Wiesz, większość ludzi prezentuje tego typu mentalność przez jakieś ciśnienie, to niestety jest wielka gra. Ja jestem zainteresowany tylko współczesnym hip-hopowym brzmieniem, muzyką...
Jaki jest twój ulubiony numer dj'a Hondy, oczywiście poza waszymi wspólnymi dokonaniami?
Cholera, jest ich kilka. Pasuje mi bardzo ten numer z J „El Presidente", kawałek z Mos Defem ma szalony bit. No i ten do którego był teledysk, gdzie pojawiali się wszyscy, Beatnuts i tak dalej.
Powiedz, co robisz gdy ktoś z Polski podchodzi do Ciebie na koncercie i mówi „Ej, stary, jesteś świetny, chciałbym z tobą nagrać numer"?
Co robię? Proste- nagrywam piosenkę, tak jak z jednym raperem z Korei, jak z kolesiem z Niemiec, w końcu to moje zadanie. To, co chciałbym zrobić, to na chwilę porzucić język angielski, podszkolić się w jakimś innym, jak na przykład w polskim i w nim zarapować. Wiesz, w USA mam przyjaciela, który jest z pochodzenia Polakiem, ma na nazwisko Mikołowski... Wiesz, w tym wszystkim chodzi o coś więcej niż muzykę...
Zrobiłbyś to za darmo?
Tak, absolutnie- tak robiłem to dotychczas, to jest ulica dwukierunkowa. Z jednej strony gram koncerty i zarabiam pieniądze, z drugiej strony się uczę, wypuszczam tych młodych raperów, by mnie supportowali na scenie, jeżdżę z niektórymi i pokazują mi swoje miasta, więc z mojej strony chciałbym zrobić coś, co im może pomóc.
Masz własny label, jakie w związku z tym są twoje plany na przyszłość?
Moim planem jest ciężko pracować, dawać dużo szczęścia mojej rodzinie, to najważniejsze. Jestem także Eagle-Scoutem, to najwyższy stopień, więc uczę i prowadzę. Nie chcę tylko wydawać raperów, chcę pokazać drogę ludziom, którzy są naprawdę otwarci i budować z nimi niezależny label- o to chodzi w Boondox. Nie mówię raperom „Hej jestem PMD, ty jesteś w moim labelu, jesteś jak mój syn, masz więc robić to, to i to" mówię raczej „cokolwiek robisz, jeśli chcesz z nami pracować, staraj się z nami współtworzyć to wydawnictwo", nawet jak komuś nie wychodzi, musi iść do przodu.

.:txt: Wiedźma Cessya, Flintstone (CS):.
.:foto: Kuba (LoopMagazyn):.

Uwaga! Wywiad z DJ Hondą, a także wspólna rozmowa Hondy i PMD ukaże się w grudniowym numerze Ślizgu!

nowe klipy

Witamy was, tym razem klasycznym, owsiakowym siema!

To już trzecie spotkanie z wami, z tego powodu jest nam bardzo miło tzn.
red. „red ant” bardzo się cieszy. Czy tym razem będzie zabawne - nie wiemy,
czy pouczające - nie wiemy, czy coś zmieni - nie wiemy. Jedno wiemy na
pewno, mamy całą stronę, żeby przybliżyć wam polskie teledyski hip-hopo-
we. Z przykrością musimy stwierdzić, że wakacje po studencku - trzy miesią-
ce z górką, mało nowych klipów, a ciekawych bardzo mało!

Coś nas jednak poruszyło, „4B” olsztyńskiej formacji, ale nie jesteśmy
pewni, bo taśma, którą dorwaliśmy, była bardzo niejasno opisana. Pamiętaj-
cie, żeby jasno i rzeczowo opisywać swoje produkty, to świadczy o waszym
profesjonalizmie. Nam ułatwia pracę i ogromnie skraca czas, co przy stercie
kaset nie jest bez znaczenia. Wszystkie ważne informacje można nagrać rów-
nież, na tzw. zegarze przed klipem.

Obrazy w tym teledysku składają się z dwóch warstw, jedną stanowią
puste opakowania po tabletach, my nie wiemy, po jakich, ale to nasz pro-
blem. Drugą warstwę tworzą obrazki umieszczone w miejscach po tych ta-
bletach. Całość rytmicznie płynie ujawniając nowe obrazki. Fajne kolorki,
dobry rytm, ciekawy pomysł, gorzej z treścią. Po ocenzurowaniu, a to mu-
si nastąpić, nie pozostanie nawet jeden obraz przykuwający uwagę, jeżeli
czytaliście nasz poprzedni artykuł, to znacie nasze zdanie na temat gołych
cycków. Podkreślam zwrot „naszym zdaniem”, bo każdy może mieć swo-
je, takie czasy. To co pojawia się w tych okienkach uznaliśmy jednogło-
śnie za niesmaczne, naturalnie poza twarzami, między innymi raperów,
którym po tym klipie wiadomo czego brakuje.

A propos twarzy, Mezo/Lajner „I ,żeby nie było”. W skrócie mówiąc,
raperzy na tym klipie pojawiają się w telewizorach, które poustawiane są
w niecodziennej scenerii. Realizatorzy starannie się przygotowali do pro-
dukcji, wykonali podwójną pracę, bo najpierw nagrali samych rapów po-
tem, po wstępnym montażu wyświetlano je na ekranie telewizora, a co
ciekawsze z rzutnika na elementy scenografii, nadając im ciekawą faktu-
rę, fajny ruch kamerą. Niby spokój, niby monotonia, a wciąga i bardzo
nam się podoba.

Teraz Ski Sklad feat. Fu „Dzień zaglady”. Film akcji, początek kli-
pu: podjeżdżają jeepy, zamaskowane typy, zamknięty (czytaj niedostęp-
ny) teren, dziwny sprzęt, nadajnik… Ale z jakiegoś powodu mam wra-
żenie, że to zwykłe ćwiczenia, w których drużyna „A” i drużyna „B”…
coś tam coś tam - dalej nie oglądam, bo kto robi takie zdjęcia, które
kłamią. Tak jakbyśmy mieli stotografować ostatnią posługę przed eg-
zekucją w restauracji jakiegoś hotelu. Żadnego klimatu, napięcia w ka-
drach, żadnej zagadki po prostu ćwiczenia. Klip pozostawia mieszane
uczucia, z jednej strony fajny pomysł trochę, tylko ograny na zacho-
dzie, nie będziemy złośliwi i nie przytoczymy tytułów, bo taki sposób
przechodzi niebawem do kanonów przekazywania pewnych treści i nie
ma zaskakiwać, a wywotywać określone emocje. Z drugiej zaś dziecin-
na zabawa, co wcale nas nie wciąga. Zdjęcia nie mają być ładne tylko
dobre! Już się nie wyżywam, wiem, że odwaliliście kawał roboty na
zdjęciach, głównie organizacyjnej. Ściągnięcie takich środków również
nie jest łatwe, a wiadomo, że za prawdziwą kasę takich rzeczy w hip-ho-
pie polskim się nie robi.

Mamy pewną propozycję: spróbujmy wspólnie zastanowić się co jest
takiego, poza kolorem skóry, co odróżnia nasze teledyski od zachodnich?
Nie chodzi tu naturalnie o kasę, pytam o to, co możemy osiągnąć mimo jej
braku, a co w amerykańskich klipach jest w każdym ujęciu. Żeby sprowoko-
wać energię bijącą z ekranu nie potrzebny jest tańczan [illegible].

Moim zdaniem problem tkwi w aktorstwie, a raczej w jego braku,
prawdopodobnie również w reżyserii, ale na pewno ten, kto staje przed ka-
merą, chcąc nie chcąc staje się aktorem i od tej pory ekshibicjonistą,
już nic nie należy do niego. Jeżeli coś zostawi dla siebie, jeżeli nie uwie-
rzy w swoją rolę, albo jej nie zrozumie - widz to zauważy i wyśmieje bez
skrupułów taką kreacje, a całość projektu pogrąży. Bo nie ma nic gorszego
niż raper, który gra nieprawdziwie i wygląda jakby nie wierzył w to, co ry-
muje! Pytajcie się reżysera dokładnie o to, czego się od was oczekuje, nie
wstydźcie się. Możecie nie wiedzieć, a reżyser musi wiedzieć. Jeżeli ktoś
wam mówi przejdź tu, tędy… Wy spytajcie jak? Uśmiechnij się - jak?
Usiądź, wypij, klepnij, podnieś - wszystko ma tysiące sposobów wykonania,
a każdy co innego znaczy.

Zbro: Będę się do końca moich dni powoływać na teledyski Bjork,
są one najwyższej klasy sztuką aktorską piosenkarki.

Hynoka: Dla mnie mistrzynią aktorstwa jest dziewczynka grająca z Pink
w klipie „Familly Portrait”

Danny: A ja postawię na trzech braci z klipu Fatboy Slim'a „Push the
Ttempo”, rozbawili mnie do łez.

Do następnego spotkania, ciekawe czy zgadzacie się z naszymi opinia-
mi. Dajcie znak.

.:RED ANT:.

1. NUMER RAZ / OJ ZERO "ZAZDROŚĆ"
PRODUKCJA: DJ ZERO
Z NAOCHODZĄCEGO ALBUMU "MUZYKA, BLOKI, SKRĘTY"
WIELKIE JOL 2003

2. 52 OĘBIEC "KONFRONTACJE"
Z ALBUMU "P-Ń VI"
PRODUKCJA: DJ OECKS
UMC RECORDS 2003

3. ASCETOHOLIK FEAT MEZO I SZAD "SUCZKI"
Z ALBUMU "APOGEUM"
PRODUKCJA: DJ ZEL I DONIU
UMC RECORDS 2003

4. K.A.S.T.A. "123"
Z NADCHOOZĄCEGO ALBUMU
PROOUKCJA: MAGIERA
BLENO RECORDS 2003

5. MEZO "MEZOKRACJA"
PRODUKCJA: TABB
Z ALBUMU "MEZOKRACJA"
UMC RECORDS 2003

B. WYCHOWANI NA BŁĘDACH "STAWIAM NA JUTRO"
Z ALBUMU "DOWÓD ODPOWIEDZIALNOŚCI"
PRODUKCJA: DEJOT I KLIMSON
VOSTOK 2003

7. SOL UPRISING "UNOERSTANDINB"
WRITTEN BY SCI AND STACY EPPS (J.ROBINSON, S.EPPS)
PROOUCED BY ID4 WINDZ
GUITAR BY MUNIER NAZEER
MIXEO AND MASTERED BY MORGAN GARCIA AT ZAC RECORDINGS, ATLANTA, GA TAKEN FROM SOL UPRISING "SOL POWER" ALBUM ON SHAMAN WORK RECORDINGS
WWW.SHAMANWORK.COM WWW.SOLVIZION.COM

B. J. SANDS OF LONE CATALYSTS "LEAVE IT ALONE" (FEAT. OJ OONSVILLE)
PROOUCEO BY USEF DINERO
MUSIC BY J.PRICHARD FOR LIQUIDATER COMPOSITIONS (COPYRIGHT CONTROL)
LYRICS BY J.SANDERS FOR JAMES & PAT MUSIC (ASCAP)
ADDITONAL PRODUCTION BY J.SANDS
RECORDEO & MIXED BY SLIM AT AS 1 STUDIOS, MANCHESTER, PA
WWW.LONECATALYSTS.COM

BONUS TRACK:

B. GRANO AGENT & PETE ROCK "THIS IS WHAT THEY MEANT" (GE-OLOGY'S LOST REMIX)
PRODUCED BY PETE ROCK
REMIXED BY GE-OLOGY
MUSIC BY G.YOUNG / MINERALWERKS MUSIC (ASCAP)
LYRICS BY J.TAYLOR / INTERWORLD AGENCY MEDIA, LLC (ASCAP) ANO P.PHILLIPS / PETE ROCK PUBLISHING (ASCAP) TAKEN FROM GRAND AGENT "FISH OUTTA WATER (BEAT SOCIETY REMIXES)" EP ON SOULSPAZM RECORDS WWW.GRANDAGENT.NET WWW.BEATSOCIETY.COM\

MOR W.A. NA LITWIE THE MOVIE
KAMERY: PŁOCKI, ZBYNIA, ŁYSY, WIGOR
MONTAŻ: GKRZEŚCIAŃSKI
RELIZACJA: KAMIL PŁOCKI
PRODUKCJA: MUSTASZ DLA MAGAZYNU ŚLIZG 2003



Ślizg przedstawia: Mor W.A. na Litwie



I znowu udało się nam dostarczyć Wam fajną płytkę. Tym razem nie tylko z muzyką, ale również - a może przede wszystkim - z jedynym w swoim rodzaju filmem, dokumentującym występ znanego polskiego zespołu Mor W.A. na Litwie. Wydaje nam się, że ta płyta będzie prawdziwym rarytasem w każdej rap-kolekcji.

Z tej strony - jak widać - możecie sobie wyciąć okładkę, włożyć do pudełeczka i już całość lepiej wygląda.

Serdeczne dzięki dla wszystkich, którzy pomogli nam w skompilowaniu i wydaniu tego krążka.

KONKURS

A teraz konkurs dla uważnych oglądaczy. Po filmie Mor W.A. na Litwie, znajdziecie dwa teledyski chłopaków. Uwaga! Tylko na pierwszy rzut oka są takie same. Wśród tych, którzy do końca listopada przyślą na nasz adres pocztowy kartki z opisem, czym różnią się od siebie te dwa klipy, rozlosujemy płytę, bluzę i t-shirt Mor W.A.

Adres znacie. Nie? No to uwaga:
00-624 Warszawa, Marszałkowska 3/5.
Powodzenia!



SPROSTOWANIE

Przy wydaniu naszej poprzedniej płytki przydarzył nam się w błąd w opisie jednego z kawałków. Otóż producentem utworu "Peryferie" Kasty był nie Magiera, tylko jego kumpel z White House'u, L.A.

L.A. - serdeczne sorry za nasz błąd. Pozdro!



PŁYTA MIESIĄCA

SISTARS
SIŁA SIÓSTR

No i doczekaliśmy się polskiego r'n'b aktu z prawdziwego zdarzenia. Zastanawiam się tylko, czy przypadkiem określenie „r'n'b" nie jest etykietką nieco krzywdzącą przez swoje ograniczenie. Dwie siostry wraz ze znakomitą ekipą muzyków tworzą bowiem funky orkiestrę, która niezwykle sprawnie przelatuje po rozmaitych kierunkach uduchowionej groovem muzyki, łącząc ze sobą przeróżne jej elementy. Efekt? Zajebiście spójny.

Śpiewają i rapują z pasją. To ważne. Bo pasja wciąga i pozwala się wczuć w te kawałki. A pisząc prawdę i zupełnie obiektywnie, teksty nie są najmocniejszą stroną Sióstr. Zdarzają się im lepsze momenty w tym literackim poszukiwaniu, ale są też takie chwile, kiedy... zresztą nie piszmy o tym, bo możliwe, że jako urzędowa męska szowinistyczna świnia musiałem się do czegoś przyczepić. Bo szczerze pisząc, do za wielu rzeczy w tej płycie, która z dnia na dzień staje się moją coraz bardziej obowiązkową pozycją, przyczepić się nie mogę.

Siła sióstr to także siła dwóch facetów - Maru$ i BarteQ to kompozytorzy większości muzy na tej płycie. Żeby się nie rozpisywać - groove trzeba czuć, a oni go czują. Na maksa. Lekkość, a zarazem dynamika w tych bardziej imprezowych kawałkach. Fajne momenty wczuwki w poważniejszych utworach, doskonale dobarwiające wokalne ilustracje, którymi zajmują się N'Talia i Lil'Sista. Wszystko to brzmi dobrze. Bardzo dobrze.

Jest na tej płycie najlepszy jak na razie imprezowy kawałek, który powstał w tym roku w naszym smutnym z definicji kraju - „Bierz, bierz...". Siostry wspomaga tu utalentowana Ania Szarmach oraz niemniej utalentowani WSZ i CNE (Tomek pojechał tu z najlepszą zwrotką, jaką usłyszałem w jego wykonaniu). Nie brakuje też utworów bardziej nostalgicznych, nawiązujących do soulowej klasyki. Tu jak dla mnie na pierwsze miejsce wychodzi oszczędny w muzycznym wyrazie, niepokojący „Najgorsze". Niesamowity numer. Podobnie jak trochę bardziej agresywny „Nie Ty, Nie My - SPADAJ", czy bardzo „amerykański", elegancki „Synu".

Nie chcę już więcej pisać o tej muzyce, bo zdecydowanie lepiej, byście czas poświęcony na ewentualne czytanie przeznaczyli na słuchanie. Warto. **kowal**



LUMIDEE
ALMOST FAMOUS

Jakaś dziwna jazda z tą Lumidee - zrobić taki hicior fałszując jak dzieci w przedszkolu? Żeby to jeszcze był bajer na potrzeby jednego singla, ale gdzie tam - generalnie to ocierające się o wkurzający fałsz zawodzenie znaleźć możemy na całym albumie. Oczywiście z szacunkiem należy podejść do remiksu „Uh Oooh", bo jest tam jedna z najlepszych zwrotek Busta Rhymesa, jaką kiedykolwiek nagrał, a wiadomo, że nagrał towaru kilka kilometrów. Co do Lumidee, to kobita raz próbuje śpiewać, raz rymuje, raz robi coś pośredniego, a wszystko to na minimalistycznych beatach w większości wypadków spod ręki DJ'a Tedsmootha. Muzycznie ten album nawet się broni, jeżeli jednak chodzi o wokalne popisy głównej artystki, co w końcu jakby nie patrzeć jest tu cholernie istotne - to trzeba mieć sporo cierpliwości. Chcecie, spróbujcie, ja tam poza „Crashin' A Party" ze względu na udział Noreagi i znanego wszystkim hit singla niczego ciekawego tu nie znalazłem. Ale może to będzie następny trend w światowym szołbiznesie - lansowanie fałszujących?



SCARFACE
MUSIC INSPIRED BY

„Człowiek z blizną" Briana De Palmy z brawurową rolą Ala Pacino to film genialny. Gangsterskie kino pokazujące nie tylko przemoc i brudne interesy, ale przede wszystkim powolne zwichrowanie psychiki człowieka, który dąży do celu niemożliwego do finalnego skonsumowania, pogrążając się w swojej obsesji, dodatkowo wzmacnianej postępującym uzależnieniem. Ten film stał się swoistą czarną biblią setek tysięcy mieszkańców Ameryki nie zawsze pozostających w zgodzie z prawem, dążących do szybkich, łatwych pieniędzy. Nie dziwi więc, że motywy zainspirowane filmem niejeden raz pojawiały się w rapowych utworach. Def Jam zdecydował się zebrać większość z nich i wypuścić na jednej kompilacji, do tego dołożyć kilka kawałków pokrewnych tematycznie, choć przy niektórych można się zastanawiać, czy rzeczywiście to film De Palmy był inspiracją. Powstała jednak świetna rapowa składanka, na której można usłyszeć między innymi Mobb Deep z Nasem, Cam'Rona, Jaya-Z, Scarface, Stylesa P., Notoriousa B.I.G. czy Ice Cube. Kilka tekstów z filmu jako skity i jest wypas. Trochę brakuje mi tutaj kawałka Nasa „The World Is Yours", ale najwidoczniej postanowiono się ograniczyć jedynie do artystów z kręgu Def Jam. Pomimo tego, polecam jak najbardziej.



MONSTER MAGNET
GREATEST HITS

MM to jeden z zespołów, który wciąż zapisuje złotą kartkę w wielkiej książce pod nazwą Rock and Roll. Nie przebierają się za cioty, nie szokują wszystkim poza muzyką, choć do aniołków nie należą. Najważniejsze jest jednak to, że od lat napierdalają po głośnikach dawkami krwistego rocka, który może przyprawić o głuchotę. I poważną utratę zdrowia psychicznego przy wgłębieniu się w ich dość dziwne momentami teksty, traktujące o zjawiskach paranormalnych, drugach i życiu widzianym raczej rzadko przez różowe okulary. Ta dwupłytowa płytka to pigułka, która może zaspokoić najbardziej wyrafinowane gusta spragnione mocnego grania. Prostota riffów, a jednocześnie dość często bardziej skomplikowane pomysły aranżacyjne sprawiają, że przelot po największych hitach Monster Magnet to naprawdę doznanie, które można polecić każdemu, niekoniecznie lubiącym mocniejsze uderzenie. „Crop Circle", „Spacelord", „Dopes To Infinity", „Black Balloon" czy „Tractor" to kawałki świetnie łączące klasyczny rock z nowoczesnymi w nim trendami. I dają energię, sporo energii. Na drugiej płytce kilka mniej znanych kawałków i osiem teledysków.



DJ KRIME
RETURN OF THE STAMINA BEATZ

Krime zna się na swojej robocie. Jest nie tylko bardzo sprawnym technicznie turntablistą, ale potrafi również tak dobrać muzykę, żeby podczas imprezy wszystko grało. Ten mikstejp to jego podróż po dynamicznych klimatach ragga. I podczas tej podróży powstała płytka, którą spokojnie można puszczać podczas imprezek i nie martwić się, że goście wyjdą nie spoceni. Sporo blendów hip-hopowych klasyków z ragga wokalami, niezły dobór kandydatów do miksowania - jak ktoś lubi tę stronę czarnej muzyki, nie będzie zawiedziony. Sporo trików, dynamicznych przejść i trochę obłędnego jeżdżenia igłą po winylu, przez co w kilku momentach może się w głowie zawrócić, ale na tym ten sport polega. Na mikstejpie jest też sporo kawałków zremiksowanych przez Krime'a osobiście i jeszcze jeden rodzimy akcent w postaci przewijki Mercedresu, krakowskiego raggamana. Słuchać, bawić się. Cóż więcej?



PMD
THE AWAKENING

Parrish Smith to legenda. Niestety, niedawna trasa po Polsce była tak lipnie promowana, że niewiele osób zobaczyło na żywo faceta, którego wkład w rozwój hip-hopu jest dość sporego kalibru. Ci, którzy nie byli, niech żałują. Po niespecjalnie udanym reunion EPMD, które miało miejsce kilka lat temu, Parrish i Erick dalej postanowili robić swoje w solowej konwencji. Przyznać trzeba, że jeżeli chodzi o PMD to jest on równie bezkompromisowym sukinkotem jak podczas wczesnych lat działania jego ekipy, Hit Squadu. Na tej płycie nie znajdziecie raczej hiciorów z łajnie prześpiewanymi czy przerymowanymi refrenami, a na teledyskach goły zadek panienki z wielkimi cyckami przy okazji nie będzie gwoździem programu. To hardkor czysty jak łza - mocne, oszczędne w treści, ale wyraźne w formie beaty i konkretnie wbijająca się w głowę przewijka. Rozpierdalacze takie jak tytułowy „The Awakening" czy „Hip Hop 101" wyraźnie prezentują, o co chodzi Parrishowi. Świetnie brzmi kawałek z Das Efx i Don Fu-Quanem „Next Chapter", przyjemną odmianą na tej raczej ciężkiej płycie jest przeleciany w trochę innym stylu „Champions" z Cypress Hill. No i perełka, czyli współpraca z Erickiem Sermonem „Look At U Now". Nie jest to album wielki, nie będzie przełomowym, ale dobrze raz na jakiś czas odmulić się taką cięższą dawką rapu.



DMX
GRAND CHAMP

Napisać coś więcej o czołowym raperze ekipy Ruff Ryders poza tym, że znowu stworzył płytę pełną potencjalnych hiciorów, to ciężka sztuka. DMX gra swój rap, gra sobie w filmach i w tym wszystkim jest tak dobry, że aż... nijaki. Słucham „Where The Hood At" i przyznaję, że jest to energetyczny rozpierdalacz, kawałek, który nieprzypadkowo stał się za Oceanem wielkim hitem. Tylko że nie jestem już w stanie sobie przypomnieć, ile podobnych kawałków DMX'a słyszałem, a poszczególne nutki w głowie zlewają mi się w całość. Chaos lekki. Ta płyta pełna jest energii, pełna gości i pełna w sumie niezłych kawałków. Szczególnie wyróżnia się współpraca z 50 Centem i Stylesem P - piard dość konkretny, mocno przerymowany, na niepokojącym, trochę filmowym beacie. Sporo znajomków DMX'a z rodziny RR - najlepiej chyba prezentuje się kawałek z gościnnym udziałem Swizz Beatza, który przygotował ni to orientalny, ni to cholera wie jaki beat, który zapada jednak mocno w uszy. Nie zawodzą też inne gwiazdy z tej familii, a konkretnie chodzi mi o Eve i Jadakissa w kawałku „We're Back", który brzmi jak na samplu z jakiegoś Rocky'ego czy czegoś w tym stylu, choć informacji o samplowaniu w trackliście brak. O kolejnych gościach nie chce mi się już pisać, bo zmieniłoby się to w sporych rozmiarów artykuł. W każdym razie płyta ta z pewnością będzie gratką dla wszystkich lubiących dużo „lucków" i „motherluckerów", wrzasku, ostrych beatów oraz chwytliwych haselek z refrenach. Ja tej pozycji ostatecznie nie przekreślam, bo jak napisałem, są na niej niezłe kawałki, ale wydaje mi się, że i DMX nagrywał już lepsze płyty, i trochę czasu szkoda, zwłaszcza, że energii mi nie brakuje.



BUBBA SPARXXX
DELIVERANCE

Jest coś takiego w tym grubasie z Południa Stanów, że pomimo tego, iż nie jest on jakimś nie wiadomo jakim przewijaczem (choć swoje potrafi), czasami ciężko oderwać się od jego kawałków. Poprzednia płyta szykowana była na wielki hit, swoistą odpowiedź Południa na Eminema, czymś takim się nie skończyło, ale kilka kawałków w uszach zostało i czasami na odlwarzacz trafia. Nowy Bubba jest jeszcze bardziej amerykańsko prosty, a słychać to najlepiej choćby w otwierającym płytę coś-a-la--bluesowane-country-kopie zatytułowanym „Jimmy Mathis" - prostota tego kawałka zahacza o genialność, podobnie zresztą jak kolejnego na trackliście „Comin' Round", gdzie inspira nie pochodzi tylko z country, ale jeszcze z jakiegoś irlandzkiego szantygówna. Cóż, Timbaland potrafi, o czym wiemy od dawna, ale nie myślałem, że z tego czarnego brała taki hilbilly. Nie zawodzą swoimi pomysłami również ludzie ze współodpowiedzialnego za produkcję tej płyty Organized Noize, autorzy muzyki do kawałka „Back In The Mud", który z dość szybkim rapem Bubby daje efekt a'la Outkast - ciekawa jazda. No i trzeba coś napisać o największym jak na razie hiciorze z tej płyty, „Deliverance", który dość wysoko latał na listach - rapowa jazda na dość klasycznym w patencie beacie jest tu rozbudowana o śpiewany refren, trochę w takim everlastowskim stylu. Generalnie, sporo się na tej płycie dzieje różnych rzeczy, dobór klimatów jest mocno zróżnicowany. Nie przypuszczam, żeby Bubba kiedyś dostał się na miejsce Eminema, ale wydaje mi się, że wpisze się mocno w rapowy krajobraz za Oceanem. Ta płyta na pewno mu w tym pomoże.



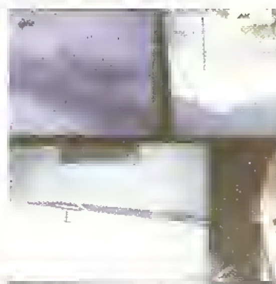
DAVID HOLMES PRESENTS
THE FREE ASSOCIATION

Holmes jest didżejem, producentem, kompozytorem muzyki do filmów. Od lat nagrywa muzykę, która absolutnie nie daje się podporządkować pod żadne szufladki, jest natomiast eklektyczną miksturą wszystkiego, co w ostatnich latach brzmi najlepiej. Facet ma otwartą głowę, sięga więc i po klasyczne brzmienie beat maszyn, ustawiając je na tempo hip-hopowe, eksperymentuje z techno, jazzem, sięga po wokalistki, wokalistów czy choćby jak w utworze „La Dolce Vita" ze swojej ostatniej płyty, po raperów z ciężkim, bardziej opowiadającym, niż płynącym stilo. Ta płyta pokazuje, że choć niby wszystko już ostatnio słyszeliśmy, a zwłaszcza twórcy awangardowi ostro wyeksplorowali gatunkowe półki, wciąż jeszcze są patenty już znane, które po zmieszaniu brzmią świeżo. Dawka popu, jazzu, rapu, soulu i muzyki stworzonej jakby do nieistniejącego filmu, którą serwuje The Free Association tylko w pierwszej chwili wydaje się czymś zupełnie nieopoukładanym i wymagającym od słuchacza potwornego nakładu sił, by przetrwać choćby 15 minut. Jeszcze przed ich upływem okaże się, że obcujemy z płytą pełną do tego stopnia nieoczekiwanych rozwiązań, że niemożliwe jest znudzenie się nimi, a odkrywanie coraz to nowych przynosi nie tylko satysfakcję, ale i pożytek. Pożytek? Proste, głowa otwiera się coraz bardziej. Posłuchajcie choćby „Sugarman" i lecącego zaraz po nim „Everybody Knows" - ciekawa kombinacja, prawda? Więcej nie trzeba nic dodawać.



LUDACRIS
CHICKEN-N-BEER

Ten koleżka z Południa Stanów może działać na nerwy, jak się nie lubi tamtejszego podejścia do rapu. Szybko, sprawnie, z ostrą muzyką - to recepta Ludacrisa na przebojowy. Do tego jeszcze można nażreć się kurczaków i popić browarem, co sugeruje tytuł płyty. Z drugiej strony, chyba aż takie uproszczenie działalności tego typa to lekkie nadużycie. Nie można mu bowiem odmówić lekkości w tworzeniu chwytliwych hiciorów, jak choćby promujący płytę i niezwykle popularny za Oceanem „Stand Up" z gościnnym udziałem Shawnny - taki imprezowy rozpierdalacz, który pewnie każdy didżej chętnie wrzuci na swój patefon, żeby ludzi nieco podkręcić. Fajnie brzmi także „nastrojowy" „Splash Waterfalls" ze słodko brzmiącym głosikiem pewnej pani, która prosi się wiadomo o co, a Luda opowiada, co jej zrobi. Na pierwszą randkę tego kawałka nie proponuję, ale na kolejne... w zależności od wyluzowanie koleżanki ;) Innym nastrojowcem na tej płytce jest kooperacja ze Snoopem o wiele mówiącym tytule „Hoes In My Room", w którym panowie dopytują się, kto wpuścił do ich pokojów takie akurat panie. Generalnie można się pośmiać. Ale zdecydowanie najlepszym kawałkiem na płycie jest „Screwed Up" z Lil'Flipem - przez dłuższą chwilkę zastanawiałem się, jak można w jednym kawałku nagadać tyle głupot, jednocześnie zrobić to z takim „wdziękiem". W ogóle Ludacris ma specyficzne poczucie humoru i delikatnie dziwne podejście do życia, jeżeli oczywiście wierzyć we wszystko, co rymuje. W każdym razie z tą raz dynamiczną, raz „nastrojową" muzyką wszystko to układa się w albumik, przy którym można się i pobawić, i pośmiać, i co tam wam jeszcze do głowy przyjdzie. I potem spokojnie zapomnieć. Chociaż w Stanach to pewnie będzie superhit...



ALIAS
MUTEO

Wytwórnia Anticon raz na jakiś czas daje mi w ręce cudowny balsam na skołatany wyścigiem szczurów łeb. Nie wiem tylko, czy powinienem być wdzięczny, czy też zastanawiać się nad innym uczuciem, bo produkcje najczęściej na dłuższą chwilę pochłaniają mnie bez reszty do tego stopnia, że nie do końca wiem, co się wokół mnie dzieje. Podejrzewam zresztą, że podobnie jest z każdym, kto sięga po ich muzyczne wizje. Alias to nie jest zespół, który kiedykolwiek wymieniłbym wśród swoich ulubionych, boję się nawet, że za kilka miesięcy ich płyta zniknie gdzieś w buszu krążków na którejś z moich półek, a ja o niej najzwyczajniej zapomnę. Nie zmienia to jednak faktu, że przejście (wielokrotne) przez tę miękką ścianę beatów i niepokojących dźwięków układających się w ścieżkę wokół jakiejś bliżej niezidentyfikowanej budowli, do której chcesz się dostać, ale wciąż nie możesz, jest dla mnie doświadczeniem naprawdę wartościowym. Pośród tych połamanych beatów i dźwięków żywej gitary, takiej jak w kawałku „Unseen Sights", z wokalem Marcusa Archera z The Notwist, można dojść do wniosku, że chyba właśnie chodzenie po tej ścieżce jest fajniejsze, niż dojście do celu. Eksperymenty oszczędne w tonie, nastrój budowany najprostszymi środkami i gdzieś tam głęboko tkwiący posmak oldskulowych beatów - prostych, dosadnych, tonowanych jednak aranżacją, by to wszystko utrzymało się w tej tajemniczej konwencji. Mam trochę skojarzeń z niektórymi produkcjami Shadowa i UNKLE, ale to tropy raczej z powodu zawodowego skrzywienia do porównań. Właściwie wymieniłem tylko jeden kawałek, w sumie różniący się nieco od innych produkcji na płycie. A jednak w jakiś sposób będący kwintesencją tego albumu. Dziwne, prawda? Ale ta płyta jest pełna właśnie takich niespodzianej, prowadzących do różnych dziwnych skojarzeń. Spróbujcie sami.



JAMES HARDWAY
BIG CASINO

Hardwaya pamiętam jako typa, z którego płytami rzuciłem się kiedyś w dłuższą podróż po klimatach drum'n'bassowych. Dawno to było, dziś po ten rodzaj breakbeatów sięgam rzadziej, a i Hardway nieco zmienił swoje kompozytorskie zacięcie. Trochę mi się pokojarzył pierwszy na płycie „Feel In Love" z St. Germain (choć wokal Eluv skojarzył mi się z jakąś poremiksowaną Madonną), ale postanowiłem kopnąć w dupę skojarzenia i ruszyć dalej. Warto było o tyle, że na tej płycie kierunków muzycznych jest kilka i jeszcze kilka. „Ocean Wide" czaruje fantastycznymi połamanymi bębnami i aranżem bardzo nawiązującym do dawnych czasów d'n'b. Później było już bardzo jazzowo, jazzowo, ale i z podkręcanym co i raz tempem, o krok od muzyki klubowej, a momentami nawet się z nią stykając. Nie byłoby łatwo bawić się przy tej muzie, ale czego to już człowiek w swoim pokręconym życiu nie robił... Doszedłem w końcu do „See Through Me", bodajże siódmego tracku na płycie, gdzie powrót opętanego d'n'b Hardway zajebiście po prostu zmiksował z wokalami pasującymi do głębokich chilloutów. W ogóle nie brakuje na tej płyci ciekawych wokaliz, trochę jazzowych, trochę właśnie chilloutowych, trochę swingowych. Jak ktoś ma ochotę na chwilę oderwać się od rzeczy mocniejszych, a jednocześnie pozostać w tematyce na swój sposób bardzo dynamicznej, polecam.

DJ RUBBISH
PROPER PROPAGANDA

Nie będę ukrywał, że na produkcję Angola z Peckham, swojej rodzinie znanego jako Shaun Pubis, natomiast szerszej publiczności jako DJ Rubbish, trafiłem przypadkiem. Consigliere w ulubionym sklepie muzycznym miał akurat zajęty odtwarzacz, ale szczerze polecił i nie do końca zwróciłem uwagę na chytry uśmieszek. Chytry uśmieszek przypomniałem sobie, gdy zacząłem to cudo przesłuchiwać w domowych pieleszach na moim ledwo zipiącym sprzęcie. Dobrze, zacznę od tego, że Rubbish generalnie siedzi w beatach hip-hopowych, często skacząc sobie w rejestry downtempowe, bawiąc się też 2-stepem. Muzycznie specjalnego mistrzostwa świata nie uprawia, byłem świadkiem kilku pijackich sesji freestyle'owych na drummaszynie, podczas których powstawały lepsze beaty, ale nie na tym beat polega. Pod te połamane bębenki odbywa się jeden z najgorętszych słownych happeningów (jest w ogóle coś takiego?!) antywojennych, jakie w życiu słyszałem! Rubbish przejechał się po Bushu i Blairze dość dogłębnie, piętnując niemal wszystkie elementy polityki zagranicznej zjednoczonych mocarstw, jakie znamy w ostatnich miesiącach z mediów. Nie ma co ukrywać, że wiele z tych przemyśleń mocno podjeżdża naiwniactwem, ale ten hipnotycznie wbijający się w głowę monotonny głos jakoś nie pozwala się oderwać od tych wszystkich dziwnych przekazów. Rubbish koncentruje się przede wszystkim na wojnie, ale jedzie też po innych kwestiach z życia politycznego i społecznego globalizowanego świata. Uff, jeden z dziwniejszych manifestów, z jakimi się w życiu spotkałem.

NOAH23
QUICKSAND

Nie miałem zbyt wielu kontaktów z kanadyjskim rapem, a Ontario w ogóle nie kojarzy mi się z niczym ciekawym. Ale może to przez to, że generalnie mało rzeczy mnie interesuje. Muszę jednak przyznać, że produkcja Noego zrobiła na mnie spore wrażenie. Tempo, z jakim strzela swoimi frazami jest fenomenalnie wręcz oszałamiające. Długie, wielokrotnie złożone rymy w niektórych kawałkach nabierają takiego podkręcenia, że właściwie można zacząć się zastanawiać, ile razy koleś wypadł już z rytmu i wrócił do niego poza naszą zdolnością wyłapania tych faktów. Noah ma do zaoferowania wiele swoich mniej lub bardziej ciekawych spostrzeżeń - to generalnie koleś, który rymuje „myślówki", kawałki z przekazem niełatwym, momentami trochę na granicy alternatywnego absurdu. Ale pasji można mu pozazdrościć. To wszystko na prostych beatach, urozmaicanych przez równie proste dźwięki, czasami przez jakiś nieskomplikowany jazzowy sampelek albo klasycznie grane proste gitarowe akordy. W jednym wypadku Noah pojechał po bandzie, produkując kawałek na samplu ze... starego kawałka Depeche Mode (za cholerę nie mogę sobie przypomnieć tytułu). W innym kawałku z kolei jedzie pod czysty drum'n'bass, w jeszcze innym przeszkadzajki mieszają się z wysamplowanym prostackim loopem werbel-stopa. Ciekawe, całkiem ciekawe.



ERYKAH BADU
FREAKQUENCY

Erykah Badu, pierwszy głos soul i r'n'b. Chociaż w tym samym rzędzie stoją takie wokalistki jak Kelis, Jill Scott czy Macy Gray, to właśnie Erykah jest kwintesencją gatunku. Krótka charakterystyka pani B.? Głos przejmujący, barwa ciepła, wokal czysty. Lirycznie o miłości, prawach kobiet (jednak bez zbytniej agresji), ostatnio coraz częściej w jej tekstach słychać śpiewaną wersję rapowego true schoolu. W końcu w jakich klimatach się porusza? Dobrze brzmiący, bogato zagrany soul, po prostu prawdziwa czarna muzyka. I do tego zawsze blisko hip-hopu. Wszyscy chyba pamiętają gościnny udział Eryki B. w kawałku The Roots „You've Got Me Baby". Trzecia płyta Eryki Badu potwierdza powyższą charakterystykę i każdy kto szuka dojrzałego i dobrego soulu znajdzie ją na Freaquency, tak samo zresztą jak na wcześniejszej płycie Mama's Gun. I na pierwszej Baduizm zresztą też, tylko w trochę oldskulowej wersji (1995), bo wszystkie te płyty są w sumie w podobnym klimacie i brzmieniu. To jest właśnie ten myk, bo o ile dwie pierwsze wchłonąłem (i dalej wchłaniam) ze szczerym zadowoleniem, to po Freaquency spodziewałem się czegoś bardziej skierowanego w stronę hip-hopu. Tymczasem trzecia płyta jest bardzo dobra, ale większość piosenek brzmi jak echo kawałków z Mama's Gun. Czysty soul i r'n'b. Polecam kawałki „Bump", „Love Of My Life" z Commonem i trochę eksperymentalny „I Want You". wzrr





Malcolm X



Public Enem



Last Poets

S-One



rap a polityka...

„Nie wylądowaliśmy na Plymouth Rock, Plymouth Rock wylądowało na nas", czyli o romansie rapu z polityką.

Słuchając Busta Rhymes śpiewającego „Baby if you give it to me, I'll give it to you..." niektórym mogłoby się wydawać, że było tak zawsze. Ja proponuję Wam dziś podróż do czasów, kiedy rap opowiadał o czymś więcej niż o dolarach, szampanie i kobietach. Do czasów, gdy jego siła była tak wielka, że potrafił wywołać zamieszki na ulicach.

Na początku był Malcolm

„Dwudziestodwumilionowa społeczność Afroamerykanów musi być traktowana jak ludzie, ponieważ Bóg dał nam prawo, by być ludźmi. Możemy wywalczyć prawa, których Ameryka nam dziś odmawia. Ale nigdy nie będziemy z nich korzystać, dopóki nie przywróci się nam prawa do bycia ludźmi. Nie będziemy postrzegani jako obywatele, dopóki najpierw nie zaczną nas postrzegać jako ludzi." Na pytanie od kogo zaczął się rap odpowiedzi jest wiele. Na pytanie kto dał mu siłę, dobra może być tylko jedna - Malcolm X. Historia skazała go na życie w cieniu Martina Luthera Kinga. Był mniej popularny, bo zamiast opowiadać o snach, rozpętał swymi słowami czarną rewolucję. Zamiast o pokorze, mówił o dumie, zamiast o pokoju o walce. „Jeśli nie jesteś gotowy umrzeć za to, wyrzuć słowo wolność ze swojego słownika". X, który wielu kojarzyć się dziś może z tajemnicą, zagadką nie do rozwiązania przyjął zamiast nazwiska, na znak, że to, które miał, dostał w spadku po swoich przodkach niewolnikach, a prawdziwego, z czasów wolności nie znał. Inteligentny i wygadany stał się „ministrem" czarnych w Ameryce. Zginął tak jak żył, zamachowiec zastrzelił go podczas jednego z gorących przemówień w Nowym Jorku w 1965 roku.

W tym okresie masowo przechodzono na islam, o którym mówiło się, że jest „religią więzienną", ponieważ czarni nawracali się najczęściej podczas odsiadki. Tym samym odcinali się od religii białych panów czyli chrześcijaństwa. Dlatego wojna, którą kilka lat później wydał rap systemowi nie była próbą wyrównania praw. Głoszono równocześnie, że kultura czarnych w czasach wolności przewyższała kulturę białych. Opowiadano o tym, jak czarni byli faraonami w Egipcie i o tym, że zanim stali się niewolnikami pochodzili z królewskiego rodu. Nie chodziło już tylko o zniesienie segregacji. To była walka z dominacją białych w każdej dziedzinie życia, aż do propozycji utworzenia własnego państwa.

Ostatni będą pierwszymi

„The Last Poets" powstali w 1968 roku w rocznicę urodzin Malcolma X. Swoją nazwę zaczerpnęli z wiersza południowoafrykańskiego poety, który twierdził, że już wkrótce nadejdą czasy, gdy odejdą ostatni poeci i nadejdzie era walki. Kiedy przyjdzie ten moment, nie będzie czasu na słowa. „Jedyny wiersz jaki usłyszysz, to ostrze włóczni skierowane w sam środek nikczemników...Dlatego jesteśmy ostatnimi poetami" - pisał. „The Last Poets" uzbrojeni tylko w perkusję głosili swoje radykalne hasła, naznaczone życiem w getcie wielkiego miasta i ciągłą dyskryminacją w społeczeństwie. Połączyli rewolucyjną politykę, język ulicy i perkusję w artystyczną formę, którą następni naśladowali przez lata. Inspirację czerpali z więziennych doświadczeń Jalala Nurridina - byłego wojskowego, który odmówił walki w Wietnamie za cenę wolności. W więzieniu przeszedł na islam i nauczył się muzycznej formy opowiadania o rzeczywistości, którą później nazwano rapem. Wiedzę przekazał potem pozostałym członkom grupy. Zespół swoją muzyką odmienił spokojne życie białych Amerykanów. Co ciekawe, początkowo także czarna społeczność reagowała na nich z rezerwą. Teksty, które otwarcie nawoływały do powstania, zarzucały czarnym ich ospałość, a białym rasizm, były postrzegane jako zbyt radykalne. „The Last Poets" jako pierwsi w muzyce chcieli dać dyskryminowanym braciom poczucie pewności siebie i przynależności poprzez przypomnienie im ich afrykańskiego dziedzictwa.

Wrogowie publiczni

I nagle przyszedł czas powstawania coraz to liczniejszych i coraz bardziej radykalnych organizacji. Czarny Islam stał się narodową religią. Dominowało poczucie dumy z bycia czarnym i własnej odrębności. Nawoływano do rasowej czystości, a także życia zgodnego z zasadami moralnymi. To miało dać czarnym przewagę nad zdemoralizowanym białym społeczeństwem. Były to te same hasła, które jeszcze kilka lat temu głosił Malcolm X. Jego muzyczni następcy cytowali w swoich utworach fragmenty jego przemówień.

Na swój własny i wyjątkowy sposób olbrzymi wkład w czarną rewolucję miało w latach 80-tych Public Enemy. W ich tekstach nie chodziło tylko o problemy społeczne takie jak bieda czy gangi. Miały one przede wszystkim wymiar polityczny. Każdy czarny w Ameryce, mógł się czuć jak wróg. Zwracali uwagę na to, przed czym za chwilę musieli twarzą w twarz stanąć ich czarni bracia. Album „It Takes a Nation of Millions to Hold Us Back" obwołano rewolucyjnym, a zrobili to zarówno krytycy rockowi jak i ci, związani z rapem. Stał się on siłą do społecznych zmian. Public Enemy chciało poprzez swoje kontrowersyjne teksty obudzić z letargu swoich współbraci. Rap miał być CNN czarnych - tłumaczył kiedyś Chuck-D. Przekazywali w swoich tekstach to, co czuł wtedy każdy czarny. Opowiadali o tym, co dzieje się w getcie, czyli o tym, czego nie można było normalnie usłyszeć w telewizji czy radiu, ani przeczytać w gazetach. Mówili, że trzeba się buntować przeciw każdej formie rasizmu, przeciw kłamstwom, które codziennie sączyły się z mediów podległych białym. Czarnoskórzy fani zespołu mieli w końcu zrozumieć, że świat należy do nich. Public Enemy toczyło swoją prywatną wojnę z wszelkiego rodzaju niesprawiedliwością, było ciągle na celowniku, z dumą stojąc na pierwszej linii ognia.

Dawali wyraz temu nie tylko słowami, ale całym swoim życiem. Chuck-D przemawiał na uniwersytetach, w szkołach i więzieniach, głosząc wszędzie swój sprzeciw wobec nierówności.

Kaznodzieja

Ucieleśnieniem amerykańskiego „Way Of Life" jest KRS-One. Opuścił dom mając 14 lat, żeby w świętym spokoju móc grać w kosza i odwiedzać publiczne biblioteki z dala od matki i szkoły. Wylądował w domu dla bezdomnych w południowym Bronxie, gdzie razem ze Scottem La Rockiem rozpoczęli swoją muzyczną wędrówkę. Latem 1984 roku, kiedy pojawili się na scenie, na której śpiewano głównie o biżuterii, samochodach i alkoholu, KRS-One i Scott La Rock byli niepowtarzalni wraz ze swoimi tekstami o przeciwdziałaniu wojnie atomowej. W 1985 roku, po wielu przejściach z różnymi producentami stworzyli nowy zespół Boogie Down Productions i postanowili, że od tej chwili sami będą się zajmowali produkcją. Ich teksty dotyczyły głównie problemów czarnej społeczności, zwłaszcza narkotyków, wojen między gangami i broni. KRS-One uważany był za kogoś w rodzaju nauczyciela czy profesora, a jego teksty za wykłady i kazania, które miały dostarczać wiedzy czarnym. To ona była dla niego tym, co najważniejsze. Styl ten znawcy nazwali „edutainment" (education & entertainment), czyli połączenie edukacji i rozrywki. Wszystko o czym mówił okazało się później samospełniającą się przepowiednią. Pod koniec 1987 roku, podczas próby rozwiązania ulicznej kłótni zginął jego przyjaciel i współpracownik Scott La Rock. To wstrząsnęło całą sceną hip-hopową. Po tej śmierci KRS-One jeszcze mocniej podkreślał, że by zapobiec przemocy czarni muszą zacząć się uczyć, otworzyć oczy i zrozumieć, co dzieje się wokół nich. „Rap to muzyka rewolucyjna, nie gangsterska" podkreślał. Z wykładami odwiedził m.in. najbardziej znane amerykańskie uniwersytety Yale i Harvard.

Dlaczego głos nawołujący do rewolucji ucichł w końcu? Bojkotowani przez radio i telewizję raperzy nagle stali się sławni, sami okazali się częścią systemu z którym walczyli. Szok jakim była zmiana tej sytuacji o mało nie spowodował rozpadu Public Enemy. Z drugiej strony rewolucja, która miała się rozszaleć się na ulicach Los Angeles obróciła się przeciw jej zwolennikom. Malcolm X zginął z ręki jednego z członków Narodowego Islamu, w rok po opuszczeniu tej organizacji. KRS-One stracił przyjaciela podczas ulicznych rozgrywek między gangami, to odmieniło jego poglądy. Stał się przeciwnikiem przemocy i skupił się na edukacji czarnej młodzieży. Sam też skończył uniwersytet. Po latach jedno jest pewne. Każdy z nich, w walce o jak najlepszą przyszłość dla rapu, stał się zasłużoną dla czarnej muzyki postacią.

.:Eliza:.



In Goth We Trust

Cmentarz o północy, wampiry i ich pozbawione krwi ofiary, strzygi i gobliny, mroczna strona ludzkiej psychiki. Te tematy są paliwem dla wyobraźni nie tylko autorów horrorów, lecz także i zespołów mrocznej odmiany pank roka zwanej death rockiem, goth bądź po prostu gotykiem.

KOPIEMY CZTERDZIESTY PIĄTY GRÓB

Dawno, dawno temu cztery nieustraszone dusze weszły do garażu domu w zachodnim Los Angeles. „Chcę nagrać piosenkę" - zapłakała złotowłosa dziewica - „Nazywa się „Ribollavin-Flavoured Non-Carbonated Poly-Unsaturated Blood"." „Tak" - rzekł wampir Rob. „Tak" - rzekł Sataniczny Paul. A zły czarownik Don szybko przystąpił do roboty... Tak zaczynała się autobiograficzna notka zespołu 45 Grave, formacji, która stanęła na czele eksplozji kalifornijskiego goth panka wczesnych lat 80. Powstała „dawno, dawno temu" czyli w roku 1980 w Los Angeles, początkowo jako Vox Pop. Pomysłodawcą niecodziennej nazwy 45 Grave był gitarzysta Paul Cutler, który podczas zakupów gwiazdkowych wyszperał w sklepie naszywkę z napisem „We dig 45th grave" (podobno noszoną przez meksykańskich grabarzy dumnych ze swojej wydajności) i uznał to hasło za tak bardzo bezsensowne, że wprost wymarzone jako nazwa dla zespołu. Oprócz niego w składzie znaleźli się m.in. basista Rob Graves i wokalistka Dinah Cancer (czyż nie są urocze te gotyckie ksywki?).

Kariera 45 Grave rozpoczęła się od nagrania, klasycznego już dziś singla „Black Cross" / „Wax", z okładki którego łypał okiem pocieszny koziołek matołek wpisany w pentagram. Nie muszę chyba dodawać, że zamiłowanie do prowokacji i szafowania satanicznymi symbolami przysporzyło grupie zarówno zagorzałych zwolenników jak i wielu adwersarzy. Pierwszy album 45 Grave, „Sleep In Safety" ujrzał światło dzienne (czy może raczej nocne) w roku 1983. Mikstura melodyjnego amerykańskiego panka, surfu, groteskowo demonicznych brzmień rodem z niskobudżetowego horroru oraz zakręconych, pełnych grozy tekstów okazała się mariażem bardziej niż udanym. Na płycie nie zabrakło także i wspomnianego numeru „Riboflavin-Flavoured..." (czyli „krew o smaku ryboflawiny, nie węglanowa, nienasycona").

Krótka, acz burzliwa historia kalifornijskiej ekipy zakończyła się po zaledwie pięciu latach. 45 Grave otwarło drzwi kolejnym death rockowym grupom z Zachodniego Wybrzeża takim jak Christian Death, Super Heroines, Kommunity FK, Anorexic Dread czy Radio Werewolf; choć z gotykiem flirtowały też tak znane stricte pankowe grupy jak np. TSOL. Narodziny nowego ruchu udokumentowała kompilacja „Hell Comes To Your House". Coraz więcej młodych pankowców przybierało image rodem z domu pogrzebowego i uderzało w mroczne klimaty.

DOBRA ŚMIERĆ NIE JEST ZŁA

W tym samym czasie co 45 Grave, w innym garażu Los Angeles hałasowała sobie w najlepsze pankowa formacja The Upsetters prowadzona przez szesnastoletniego fre-aka, Rozza Williamsa. Zafascynowana kalifornijską sceną punk oraz klasyką glam rocka, a także konwencją horroru, grupa niedługo później przyjęła prowokacyjną nazwę Christian Death i pod takim właśnie szyldem przeszła do historii. Debiutancka płyta Chrześcijańskiej Śmierci, „Only Theatre Of Pain" (1982) pełna była nerwowych, niepokojących dźwięków, pankowej surowizny i noise'owej kakofonii. Klaustrofobiczno-schizofrenicznej atmosfery dopełniał jękliwy, psychopatyczny wokal Rozza i jego pełne obłędu teksty, w otwarty sposób atakujące religię (Williams odreagowywał w ten sposób dzieciństwo spędzone w bigoteryjnej rodzinie). Do tego dochodził jeszcze chory, makabryczny image i szokująca sataniczna otoczka. Największym osiągnięciem wczesnego okresu działalności Christian Death była prezentacja pierwszego albumu zespołu w... katolickim programie telewizyjnym. Audycja zakończyła się demonstracyjnym zniszczeniem „bezbożnej" płyty.

Po wydaniu kilku kolejnych produkcji, na których grupa coraz śmielej ubierała pankowo - gotycki rdzeń swojej muzyki w bardzo różne brzmienia, Rozz skupił się na swoim industrialnym projekcie Premature Ejaculation. Reszta kontynuowała grę pod starą nazwą. Z czasem jednak Williams rozmyślił się i... na nowo założył Christian Death. W efekcie przez pewien czas równolegle egzystowały dwie grupy o tej nazwie. Tak Rozz jak i jego dawni koledzy, a później adwersarze nie przestawali prowokować bluźnierczymi atakami na religię. Williams kontynuował swoje prowokacje aż do roku 1998 kiedy to popełnił samobójstwo. Czynu tego dopuścił się 1. kwietnia, przez co wielu uznało to wydarzenie za kolejny, a zarazem ostatni makabryczny dowcip artysty.

KRÓLOWA CIEMNOŚCI

„Bogini amerykańskiego goth" jak często się ją nazywa, czyli Eva Oritz zaistniała na muzycznej scenie Los Angeles jako członkini żeńskiej grupy pankowej Speed Queens. Szerszej publice dała się poznać jako gitarzystka i jedna z dwu wokalistek innej kobiecej formacji - Super Heroines. Super Bohaterki były triem łączącym w swych niepokojących, ponurych kompozycjach elementy panka, glamu i psychodelii. Nad pierwszą ich płytą, „Cry For Help" (1983) unosił się wisielczy klimat smutku i makabry a namiętny głos Evy i jej ostra gra na gitarze stały się znakami rozpoznawczymi zespołu. Dołączywszy do Christian Death, Eva Oritz związała się w życiu prywatnym ze znanym nam już Rozzem Williamsem. Jedynym dzieckiem jakiego się doczekali był skład Shadow Project nawiązujący do stylistyki wczesnych nagrań Chrześcijańskiej Śmierci. W krótkim czasie Eva stała się prawdziwą ikoną i obiektem kultu wśród fanów goth, którzy ochrzcili ją „Królową Ciemności".

Zniknąwszy ze sceny na kilka lat, Eva powróciła do aktywnego grania na początku lat 90. Odmieniona, bowiem w międzyczasie nawróciła się na katolicyzm, wydała - jako Eva O - solową płytę „Past Time" (1993). Od tej pory działa samodzielnie a jej produkcje utrzymane są w lżejszej, bardziej stonowanej konwencji.

POD SKRZYDŁAMI NIETOPERZA

Nasienie zła zostało zasiane po obu stronach Oceanu. Oto w Anglii, jeszcze pod koniec lat 70. wystartowała, kierowana przez Tony'ego McCormacka ekipa Screaming Dead. Po Wrzeszczących Umarlakach, z mrocznych zakamarków wyspy wyłaniać zaczęły się kolejne mroczne dusze. Epicentrum nowej subkultury stał się londyński klub nazwany akuratnie Batcave. Zbierała się tam publika o pankowej proweniencji, choć z czasem irokezy zostały wyparte przez rekwizyty rodem z parady grabarzy. To właśnie w Batcave debiutowały takie załogi jak Sex Gang Children, Sunglasses After Dark, Alien Sex Fiend, The Specimen, Christmas On Earth czy Long Pig. Choć każda z nich prezentowała zupełnie inny rodzaj muzyki, to łączyło je jedno - zamiłowanie do makabry.

Dodać należy, że już wcześniej zaistniały tak ważne dla gotyku formacje jak Bauhaus i Siouxsie And The Banshees, a w pobliskiej Irlandii pojawili się szaleni awangardziści z Virgin Prunes. Kto zatem jako pierwszy zapuścił się do krypty death rocka - Amerykanie czy Anglicy? Wydaje się, że obie sceny zaistniały niemal jednocześnie, choć nie miały ze sobą żadnego kontaktu. Dalej zaraza rozprzestrzeniała się już swoją drogą.

AMERYKAŃSKI KOSZMAR

Na sam koniec pozostał zespół o kolosalnym znaczeniu tak dla death rocka, jak i sceny pank w ogóle. Panie i panowie, wampiry i wilkołaki, oto królowie grozy - Misfits! W 1977 roku w małej mieścinie Lodi w stanie New Jersey zetknęły się drogi kilku nastolatków zafascynowanych starymi horrorami i filmami science fiction. W samym środku pankowej rewolucji chwycili za instrumenty, by wszystkie swe mroczne fascynacje przełożyć na język dźwięków. Melodyjne, szybkie kompozycje Misfits czerpiące zarówno z hard core jak i klasycznego rock'n'rolla, głęboki, post-presleyowski głos charyzmatycznego wokalisty Glena Danziga oraz jego ociekające krwią teksty, zaludnione przez upiory, zombies, najeźdźców z kosmosu i psychopatycznych morderców złożyły się na niepowtarzalny wizerunek zespołu. Z czasem formacja wypracowała sobie charakterystyczny image sceniczny i, choć nie była częścią kultury goth, wywarła niepodważalny wpływ na tą scenę.

Po rozpadzie Misfits, Danzig śpiewał w iście piekielnym projekcie Samhain, by potem rozpocząć karierę solową. Jego ex-kompani reaktywowali macierzystą formację w roku 1995 i grają do tej pory (w lutym br. Misfits wystąpili ze świetnym koncertem w Warszawie). Najświeższa produkcja grupy, „Project 1950" to zbiór coverów rock'n'rollowych szlagierów a zarazem ukłon w stronę „bazowych" fascynacji muzyków.

Na dzisiaj to tyle. Opuszczamy strefę mroku. Tymczasem „chłód biegnie wzdłuż twego kręgosłupa i pełznie w stronę mózgu / Lodowaty dotyk strachu / Powoduje, że szaleję / Pomimo, że starasz się walczyć wywleczony z ciszy, w której się kryjesz / W końcu krzyczysz / Nie mogę się doczekać, by usłyszeć twój krzyk" (Misfits „Scream").

:Sebastian Rerakr:








spikelee
rób co należy



Spike Lee to człowiek - instytucja: reżyser, scenarzysta, producent, aktor i niestrudzony bojownik o prawa czarnej społeczności Stanów Zjednoczonych. Niedawno na naszych ekranach pojawiły się „25. godzina" i „10 minut później: Trąbka" (film nowelowy, w którym Lee miał również swój udział), warto więc krótko przedstawić wcześniejsze dokonania tego uznanego twórcy.

Kilka tygodni temu minęła 40 rocznica słynnego wystąpienia Martina Luthera Kinga „I have a dream...", będącego bodaj najdobitniejszym wezwaniem do równouprawnienia białych i kolorowych obywateli Stanów. Spike Lee nigdy nie ukrywał swojej fascynacji postawą pastora Kinga, cytując go kilkakrotnie w swoich filmach. Zresztą większość swojej twórczości Lee poświęcił szerzeniu idei Kinga.

Reżyser urodził się jako Shelton Jackson Lee w 1957. Jego ojcem jest muzyk jazzowy Bill Lee (nota bene kolega ze szkolnej ławy Martina Luthera Kinga), który później skomponował muzykę do kilku filmów syna. Choć Spike początkowo wychowywał się w Atlancie, a później ukończył tam szkołę filmową, jego ukochanym miastem stał się Nowy Jork i to do tego stopnia, że Lee jest teraz jednym z najsłynniejszych fanów koszykarskiego zespołu New York Knicks. Oczywiście akcja kilku jego filmów rozgrywa się na nowojorskich ulicach. Reżyser jest również twórcą licznych teledysków, m.in. do utworów takich sław jak Miles Davis, Anita Baker, Steve Wonder czy wreszcie Public Enemy („Fight the Power") oraz Gangstarr („Jazz Thing").

Jednak Spike Lee jest przede wszystkim filmowcem i w swoich obrazach od samego początku manifestował poglądy polityczne i społeczne. Już realizując szkolne etiudy zawierał w nich sporo przemyśleń na temat panującego w Ameryce rasizmu i szowinizmu, jednak kwintesencją jego filozofii są dopiero późniejsze filmy. Lee stworzył własną firmę producencką: 40 acres and a mule. Nazwa pochodzi od ustanowionego przez XIX wiecznych abolicjonistów prawa, na mocy którego wyzwoleni czarni niewolnicy mieli otrzymywać 40 akrów ziemi i muła. Prawo to, dodajmy, było nagminnie łamane i w większości przypadków pozostało jedynie pustą obietnicą, a murzyńscy wyzwoleńcy nie mieli nawet takiego kapitału na start w „nowym" życiu. Pierwszych filmów pełnometrażowych wyreżyserowanych przez Spike'a Lee (She's Gotta Have It oraz School Daze) nie można nazwać artystycznym sukcesem, choć nie można też im odmówić ambicji. Ale w 1989 roku Lee przyładował już zdrowo, kręcąc jeden ze swoich najlepszych filmów: „Rób co należy" (Do the Right Thing), opowieść o jednym dniu z życia Brooklynu i narastającym napięciu pomiędzy różnymi grupami etnicznym, zamieszkującymi Nowy Jork.

Drobne utarczki i nieporozumienia doprowadzają tu do prawdziwej eksplozji nienawiści, wybuchu zamieszek i ostatecznie śmierci jednego z bohaterów filmu. Kłótnie i spory toczą się między wszystkimi, biorą w nich udział czarni, biali (przede wszystkim Włosi - od pizzerii Sala rozpoczyna się cała awantura), Latynosi, Koreańczycy, aż wreszcie do akcji wkracza policja - brutalnie, bez pardonu, szukając łatwej ofiary, a nie winnych całego zajścia. Jedyną osobą, która stara się załagodzić konflikt jest stary lump Burmistrz, ale sam nie da radu zapobiec tragedii. Spike Lee w przeciwieństwie do wielu artystów tworzących nurt tzw. „Nowego kina czarnych", kieruje swoje przesłanie nie tylko do publiczności Afroamerykańskiej. Murzynom daje poczucie własnej godności i siły, ale do przemocy nie namawia, mimo wszystko bliższy jest pokojowej postawie Burmistrza. Białym widzom za to w podtekście zadaje niewygodne pytanie: „co teraz czujesz? po czyjej jesteś stronie?". Pojawia się to zresztą w wielu filmach Lee, choć nigdy wprost. Reżyser bowiem stara się dać trochę pola do własnej interpretacji tego, co oglądamy, choć trzeba przyznać, nie zawsze mu to wychodzi.

Problem kontaktów między białą a czarną społecznością Stanów poruszył także w znakomitym filmie „Malaria" (Jungle Fever) z 1991 roku. Tym razem wyszedł z ubogich przedmieść, a zajął się romansem bogatego Murzyna i jego białej przyjaciółki z pracy. Lee starał się bowiem udowodnić, że uprzedzenia rasowe dotyczą również ludzi zamożnych, w sytuacji gdy - przynajmniej pozornie - nie wchodzi w grę przemoc i agresja. Pokazuje ludzi, którzy nawet pewnie nie zdają sobie sprawy z tkwiącego w nich rasizmu, dopóki nie staną z problemem twarzą w twarz.

Ukoronowaniem wczesnego okresu pracy Spike'a Lee jest „Malcolm X", monumentalna opowieść o słynnym przywódcy czarnych muzułmanów, zamordowanym w Nowym Jorku w 1965 roku. Lee przedstawia jego drogę od gangsterki aż po nawrócenie na islam. Fascynująca, choć kontrowersyjna postać polityka zasługuje na o wiele szersze omówienie niż możemy poświęcić tutaj, dlatego zachęcam was do obejrzenia tego filmu. To nie tylko biografia Malcolma X w pigułce, to również esencja jego filozofii, ale również poglądów samego Spike'a Lee.

Po artystycznym sukcesie, jakim okazał się „Malcolm X", Lee nieco zmienił ton swoich filmów, choć nie unikał w nich wyrażania swoich poglądów. Nakręcił między innymi interesujący kryminał „Clockers" (1995), którym powrócił do tematu przemocy w zamieszkałych przez etniczne mniejszości dzielnicach Nowego Jorku. Problemy czarnej społeczności Ameryki poruszył w filmie „Autobus" (Get on the Bus, 1997), opowiadającym o podróży grupy Murzynów na Marsz Miliona do Waszyngtonu. Była to okazja do przedstawienia i starcia ze sobą rozmaitych światopoglądów - od postaw ugodowych, po pełną nienawiści chęć walki o swoje prawa przemocą.

Ostatnio Spike Lee przerzucił się też na realizację filmów o białych. „Mordercze lato" (Summer of Sam, 1999) to ironiczny portret grupy mieszkańców Nowego Jorku, którzy żyją ogarnięci obsesją znalezienia zbrodniarza - w lecie 1977 działał osławiony zabójca David Berkovitz, sam siebie nazywający „Synem Sama". Wreszcie ostatni jak na razie film fabularny Spike'a Lee - „25. godzina", świetny (można go jeszcze obejrzeć w niektórych kinach) film, przedstawiający ostatnie godziny, jakie na wolności spędza młody chłopak skazany na więzienie za narkotyki. A w tle - nie mogło być inaczej - Nowy Jork, tym razem wracający do życia po tragedii World Trade Center.

Oczywiście Lee nie odwrócił się od filmów o Murzynach, choć te ostatnio nie wychodzą mu najlepiej, przykładem może być „Dziewczyna nr 6" o panienkach pracujących w seks-telefonie czy „Bamboozled", mało zabawna komedia o przemyśle rozrywkowym. Wiele ciekawsze wydają się jego filmy dokumentalne, np. „4 Little Girls" o atakach na czarną mniejszość w Birmingham w latach 60. czy „Jim Brown All American", prezentujący sylwetkę znanego sportowca i aktora (grał m.in. tytułową postać w filmie „Slaughter", o którym pisaliśmy w serii tekstów o blaxploitation).

Zdarzało się, że Spike Lee oskarżany był o rasizm, co jest zarzutem absurdalnym. On po prostu mówi w swoich filmach to, co myśli, to, co powiedziane i pokazane być powinno. I dlatego, mimo nielicznych wpadek, Lee pozostaje cały czas najważniejszym współczesnym twórcą murzyńskiego kina, artystą oryginalnym, o wykrystalizowanym światopoglądzie i - co najważniejsze - mającym wiele ważnych rzeczy do przekazania.

.:Kuba Demiańczuk:.



Simon Bisley

Opisywaliśmy w Ślizgu już kilku twórców z brytyjsko - irlandzkiej „inwazji" na amerykański komiks (Ennis, Gaiman, Moore). Wśród nich nie może oczywiście zabraknąć jednego z najpopularniejszych - także w Polsce - rysowników: Simona Bisleya.

W biografii Bisleya na stronie internetowej www.simonbisleyonline.com możemy przeczytać, że „zaczął rysować tak wcześnie jak tylko mógł utrzymać kredkę w dłoni i nie potrzebował papieru, dopóki miał dookoła czyste ściany". No cóż, pewnie wielu z nas, niekoniecznie artystów, tak zaczynało, jednak Simon swojego talentu nie zmarnował. Tym fanom komiksu w Polsce, którzy swoją przygodę zaczęli kilka lat temu od wydawanych przez TM Semic albumów i zeszytów, może się wydawać, że Bisley tworzy od zawsze. Swoją pracę z komiksem zaczął on jednak dopiero pod koniec lat 80. w angielskim wydawnictwie Fleetway, rysując serię „The ABC Warriors" - wówczas jeszcze jako Steve Bisley. Jego ekspresyjny styl rysunku szybko zdobył uznanie i już w 1991 roku - również dla Fleetwaya - Bisley stworzył zachwycający wizualnie trzytomowy komiks „Slaine. Rogaty bóg". Twórcą serii (i scenarzystą wspomnianego albumu) jest Pat Mills. Osadzona w celtyckich realiach opowieść, czerpiąca mocno z mitologii wysp brytyjskich stała się hitem i jest z pewnością jedną z najlepszych historii o Slainie. Tutaj Bisley dał upust swoim nieprzeciętnym możliwościom: fantastyczne, malarskie plansze, z których część mogłaby stanowić oddzielne obrazy, przykuwają uwagę czytelnika od samego początku. Bisley udowodnił, że przekształcając na swój sposób wizualne archetypy fantasy (np. umięśnieni do przesady herosi i kobiety o wielkich biustach), można stworzyć własny, niepowtarzalny i rozpoznawalny na pierwszy rzut oka styl.

Rok 1991 był zresztą dla rysownika bardzo udany. Oprócz Slaine'a narysował wówczas pierwsze historie o kosmicznym rzeźniku Lobo (Ostatni Czarnian i Paramilitarne Święta - oba wydane w Polsce) oraz niesamowity crossover „Batman / Judge Dredd: Sąd nad Gotham" (też się u nas ukazał). Te prace powstały już na zamówienie amerykańskiego wydawnictwa DC. Lobo znają chyba wszyscy - to jeden z najbardziej cynicznych, brutalnych i przy okazji zabawnych komiksów. Zwłaszcza w wykonaniu Bisleya, gdzie z każdej planszy, każdego niemal kadru ściekają hektolitry krwi, prują się flaki, a trup pada gęściej niż w filmach z nowym gubernatorem Kalifornii Schwarzeneggerem. To oczywiście cecha charakterystyczna całej serii, ale jednocześnie stała się wyróżnikiem twórczości Bisleya, którego często oskarżano o niepotrzebne epatowanie przemocą (podobnie zresztą jak wielu innych twórców komiksów). Natomiast „Sąd nad Gotham" to klasa sama dla siebie. Komiks nie tylko świetnie napisany (autorami scenariusza byli Alan Grant i John Wagner), ale i znakomicie przez Bisleya narysowany. To prawdziwy graficzny, a właściwie malarski wypas, utrzymany w mrocznych kolorach, fascynujący jak mało które komiksowe dokonania. Nawet odpychające wydawałoby się sceny (jak na przykład przemiana Judge Deatha w kostnicy) robią wrażenie małych dzieł sztuki. Jeśli tylko macie możliwość kupienia tego albumu (można go znaleźć w sklepach komiksowych), to gorąco polecam.

Za swoje prace Bisley zgarnął trochę komiksowych nagród i oczywiście dalej jego kariera toczyła się w szybkim tempie. Tworzył kolejne przygody Sędziego Dredda i Lobo (mini seria „Lobo powraca", w której bohater trafia po śmierci do nieba, gdzie tak naprawdę wcale go nie chcą). Nawiązał współpracę z wydawnictwem Verotik (jego współwłaścicielem jest sam Glenn Danzig), gdzie rysował między innymi „Jaguar God" i „Satanikę". Od 1992 roku współpracuje stale z magazynem Heavy Metal, dla którego stworzył dwie nowe serie: „Simon Coldwater" i „Fistful of Blood" oraz całe mnóstwo okładek. Był też autorem ilustracji do wydania specjalnego „Heavy Metal FAKK 2 Movie Special", które powstawało jednocześnie z pracami nad filmem animowanym „Heavy Metal 2000". Równocześnie, stąd pewne różnice między komiksem a filmem. No i co tu dużo gadać: komiks jest o wiele lepszy.

A to oczywiście nie koniec dokonań Bisleya. Współpracuje również z innymi wydawnictwami. Dla Marvela stworzył jeden epizod przygód Punishera (uważni czytelnicy wydawanych kiedyś u nas komiksów z tej serii na pewno go wypatrzyli) oraz okładki do miniserii „Hulk / Wolverine: Six Hours". Dla Image narysował specjalne wydanie komiksu o Wojowniczych Żółwiach Ninja: „Body Count". Tych, którzy teraz się uśmiali (bądź zaniepokoili) informuję, że komiks o Żółwiach różni się znacznie od oglądanych u nas jakiś czas temu filmów fabularnych, nie mówiąc już o fatalnej serii animowanej. Do godnych uwagi prac Bisleya można jeszcze dorzucić album „Bad Boy" (do scenariusza Franka Millera) oraz zabawną nowelkę o Batmanie, zawartą w pierwszej antologii „Black & White" (tu skrypt napisał Neil Gaiman).

Bisley inspirował się wielokrotnie w swojej twórczości pracami Richarda Corbena i Franka Frazetty, ale sam również, co dość oczywiste, doczekał się całych rzeszy naśladowców i imitatorów, którzy jednak przeważnie z marnym skutkiem próbują naśladować jego dokonania. Choć oczywiście nie brakuje zdolnych artystów, którzy twórczo podążają śladem Simona. Żeby nie szukać daleko wystarczy wymienić Filipa Myszkowskiego, którego komiksy często goszczą na łamach „Produktu".

Prywatnie Bisley mieszka cały czas w Anglii, z żoną i dwójką dzieci. Kiedyś grywał (ale czy jeszcze gra?) w kapeli metalowej. Zresztą wygląda jak rasowy metalowiec (z odrobiną Lobo): długie, rozwichrzone włosy i mnóstwo tatuaży robią swoje. I podobnie jak wielu utalentowanych artystów, stał się już żywym klasykiem. Obecnie skupił się przede wszystkim na współpracy z Heavy Metalem, dla innych wydawnictw projektując głównie okładki. Nie da się ukryć, że już bisleyowska okładka podnosi znacznie prestiż wydanego albumu, ale on sam starannie dobiera komiksy, do których szykuje ilustracje. Może sobie na to pozwolić. W końcu jest gwiazdą wielkiego formatu.

.:Kuba Demiańczuk:.

BATMAN. BLACK AND WHITE II
różni autorzy
wyd. Egmont

Kilka lat temu wydawnictwo TM Semic wypuściło w dwóch częściach antologię opowieści o Mrocznym Rycerzu. Zawarte w niej historie łączyło jedno: stworzone w czerni i bieli starały się przedstawić różne strony osobowości Batmana. Wśród autorów znaleźli się wówczas m.in. Neil Gaiman, Simon Bisley, Bill Sienkiewicz - słowem skrzyło się od komiksowych gwiazd. Teraz macie możliwość przeczytać drugą część „Black and White" (również podzieloną na dwa zeszyty). Zestaw nazwisk nie jest już tak imponujący, mimo iż w pierwszym tomie znalazły się prace m.in. Tima Sale'a, Johna Byrne'a i Jima Lee, a okładkę projektował Mike Mignola. Jednak - jak to z sequelami bywa - B&W II nie jest ju komiksem tak udanym jak jego poprzednik. Owszem, kilka historii jest tu wyśmienitych, pozostałe również nie schodzą poniżej przyzwoitego poziomu, ale całość jest chyba zbyt niedopasowana. Historie poważne i mroczne przeplatają się z pastiszowymi, tworząc wrażenie niezbyt logicznej układanki. Ktoś może powiedzieć, że w pierwszej części B&W też były zabawne komiksy (choćby genialna współpraca Gaimana i Bisleya). Zgadzam się, ale nawet one były elementem zgrabnie dobranym do całości. Tutaj zaś mamy historie niewątpliwie dobre, ale też nie wnoszące nic do portretu Batmana. Oczywiście są wyjątki: znakomita „Kwestia zaufania" (przedstawiająca zmagania Bruce'a Wayne'a z niesfornymi dzieciakami) czy „Zostać nietoperzem" (ze scenariuszem twórcy „Transmetropolitan" Warrena Ellisa). Nie określiłbym też pozostałych komiksów mianem konfekcji, ale jednak pierwsza część B&W postawiła poprzeczkę zbyt wysoko. Dlaczego więc komiks miesiąca? Po pierwsze: bo to i tak w miarę dobry zbiór (a mam nadzieję, że drugi zeszyt będzie lepszy). Po drugie: bo pierwsza część B&W to antologia niemal wybitna - więc wkrada się tu nieco sentymentu. Po trzecie: bo to w końcu, do cholery, Batman! Legenda... (jd)



GUNSMITH CATS tom 1. BONNIE I CLYDE
Sonoda
wyd. Egmont

Polscy czytelnicy komiksw mogli poznać Sonodę jako autora serii „Exaxxion - bóg wojny", teraz przyszła pora na jego bardziej znany cykl „Gunsmith Cats". Bohaterkami tej mangi są dwie młode dziewczyny, które - poza tym, że prowadzą dobrze zaopatrzony sklep z bronią - stanowią również zgrany duet detektywistyczny. Czasem współpracują z policją, częściej jednak wynajmowane są przez prywatnych zleceniodawców. W związku z tym ich życie obfituje w ciągłe pościgi i strzelaniny, ucieczki i porwania, generalnie w sytuacje, które podnoszą mocno poziom adrenaliny. Cóż, arcydzieło to nie jest, po prostu sympatyczna, sprawnie narysowana manga, z dynamiczną akcją i nieco papierowymi postaciami. Sonoda pokazał się też jako znawca broni (gdy w kadrze pojawia się jakiś nowy pistolet czy karabin, to pod obrazkiem można przeczytać jaki to model). Do tego kilka lepszych lub gorszych żartów, parę gołych cycuszków i kilka widowiskowych sekwencji. Klasyczna „japońszczyzna", dobre rzemiosło, ale niewiele więcej. (jd)



BRZOSKWINIA
Ueda Miwa
wyd. Egmont

Nie jestem chyba najodpowiedniejszą osobą do recenzowania tego akurat komiksu, ale co tam, spróbuję. Osią wydarzeń są szkolne perypetie tytułowej bohaterki, licealistki, zakompleksionej na punkcie swojej wyjątkowo ciemnej cery (przez którą jest też często narażana na zaczepki facetów szukających łatwej dziewczyny). Momo jest zakochana (nawet z wzajemnością, ale jeszcze o tym nie wie) w szkolnym przystojniaku, jednak wszystkie próby spotkania kończą się wpadką, a to za sprawą klasowej, zazdrosnej intrygantki. Ech, tak naprawdę to taki mangowy Harlequin, dość nieudana (zarówno pod względem scenariusza jak i rysunku) próba stworzenia komiksu dla dziewczyn. Ale zdaje się w Japonii to dość popularna seria, ale czy u nas się przyjmie? Cały czas brakuje w Polsce klasycznych komiksów dla małolat, to może właśnie ten, drogie czytelniczki, przypadnie wam do gustu... (jd)



DOŻYWOTNIAK. PARSZYWE TOWARZYSTWO
Arkas
wyd. WIP

Arkas to jeden z najpopularniejszych w Grecji rysowników komiksowych, a jego specjalnością są gazetowe stripy. No i właśnie - dość niespodziewanie - mamy możliwość poznania jednej z jego serii. „Dożywotniak" opowiada o więziennych przeżyciach człowieka skazanego na 622 lata odsiadki. Długo. Jedynym jego przyjacielem jest bezczelny, cyniczny i złośliwy szczur Montechristo. Ale gdy siedzi się w maleńkiej celi to nawet takie - tytułowe - parszywe towarzystwo wydaje się cudowne. To nic, że zwierzak doprowadza Dożywotniaka często na skraj załamania nerwowego... Ale przynajmniej dzięki temu jest wesoło. Arkas często ociera się o bardzo czarny humor i na pewno nie można mu odmówić inteligencji. Część żartów jest naprawdę celnych, reszta wywołuje co najmniej uśmiech na twarzy. Jeszcze gdyby Grek był na tyle dobrym rysownikiem, co opowiadaczem dowcipów, byłoby wyjątkowo dobrze. A tak otrzymaliśmy książeczkę, która, obawiam się, zniknie pośród innych komiksowych tytułów. (jd)



DARKNESS #1
Ennis - Silvestri
wyd. Mandragora

Darkness pojawiał się u nas jakoś przy okazji łączonych przygód z Witchblade (która należy zresztą do tego samego, wykreowanego przez wydawnictwo Top Cow, świata). Teraz mamy możliwość poznać ponure początki tego niezwykle mrocznego bohatera. Zanim Jackie Estacado stał się Darkness był mafijnym cynglem. W dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin został jednak obdarzony - zresztą nie z własnej woli - potężną mocą. Od tej pory stał się częścią rozgrywki pomiędzy siłami ciemności. Rozgrywki, w której nie będzie wcale pionkiem... Seria zwraca uwagę, bo scenarzystą odcinków, które będą u nas publikowane jest sam Garth Ennis, twórca Pielgrzyma i Kaznodziei. Jednak przyzwyczajonych do chorych jazd Irlandczyka może czekać spore rozczarowanie. Darkness to solidna robota, ale od Ennisa akurat można wymagać o wiele więcej. (jd)



WOLVERINE / HULK #1
Sam Kieth
wyd. Mandragora

Ugh, jak powiedziałby indiański wódz, co za jazda! Fabuła wygląda mniej więcej tak: Wolverine awaryjnie ląduje samolotem gdzieś na środku lodowca. I spotyka tam małą dziewczynkę, która prosi go o pomoc dla tatusia. Problem w tym, że tata pewnie od jakiegoś czasu nie żyje. I dziewczynka chyba też... A na dodatek mała prowadzi Logana do jaskini, gdzie czeka już wujek Bruce. Czyli na maksa wkurwiony Hulk... Zaczyna się jatka. Każda opowieść z Wolverinem w roli głównej to gwarancja przynajmniej porządnej rozrywki. Ta jest zajebista. Wszystko w tym komiksie jest niezwykłe. Surrealistyczna fabuła współgra idealnie z wyręconymi, szalonymi rysunkami Kietha. I choć na razie niewiele się wyjaśnia, to mam nadzieję, że autor jest równie dobrym scenarzystą co rysownikiem. Na razie wszystko wskazuje, że tak. Polecam. (jd)

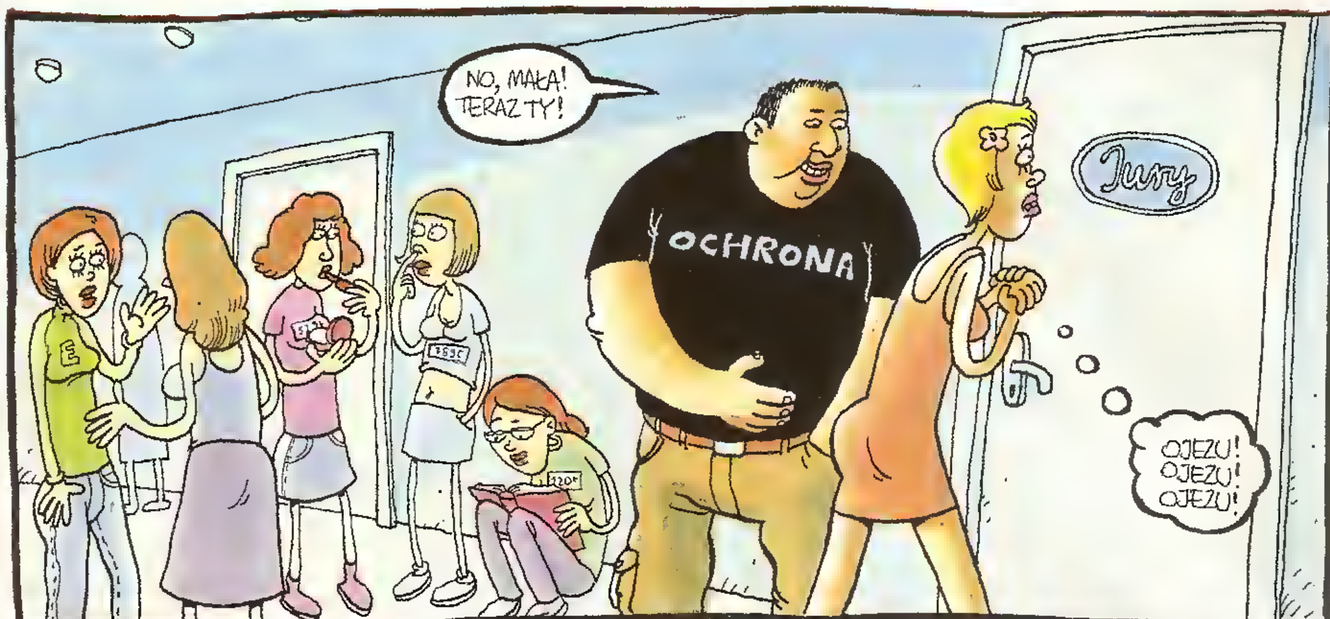


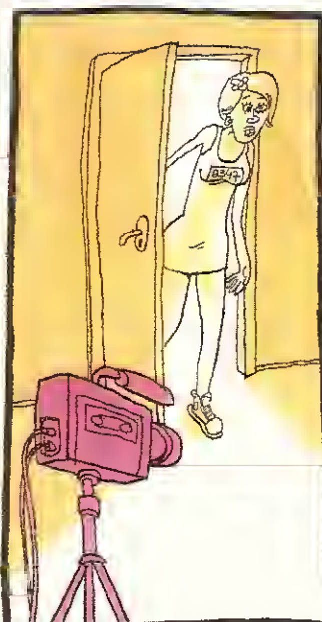
RORK. KOZIOROŻEC
Andreas
wyd. Motopol

Rork to zdecydowanie najbardziej znana seria Andreasa, niemieckiego rysownika i scenarzysty. Kiedyś wydawana przez „Komiks Fantastyka", teraz doczekała się ładnego wznowienia i wszystko wskazuje na to, że wreszcie poznamy wszystkie jej tomy. „Koziorożec" to już piąta część cyklu, dlatego przed jej przeczytaniem radzę Wam zapoznać się z poprzednimi, nie ma też wobec tego sensu jej streszczanie. Pozwolę sobie tylko napisać, że to komiks niemal wybitny, opowieśc filozoficzna, nie pozbawiona jednak akcji, choć jej przebieg może czasami zdezorientować czytelników nie przyzwyczajonych do surrealistycznych klimatów. Andreas fantastycznie i precyzyjnie łączy różne style graficzne, jest też przy tym dobrym opowiadaczem historii, tak że po kolejne tomy sięga się z zainteresowaniem i przyjemnością. Jako ciekawostkę dodam, że tytułowy bohater tego albumu doczekał się później własnej serii, którą - mam nadzieję - również kiedyś będziemy mogli przeczytać. (jd)

JEŻ JERZY

txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak

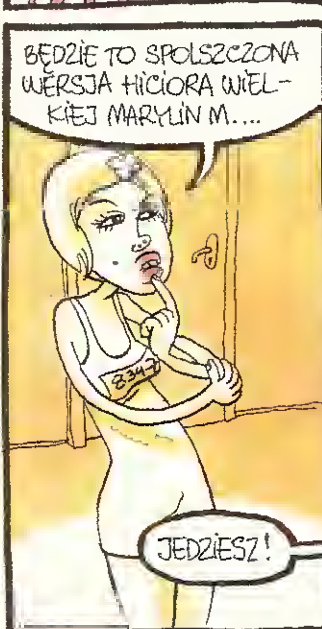




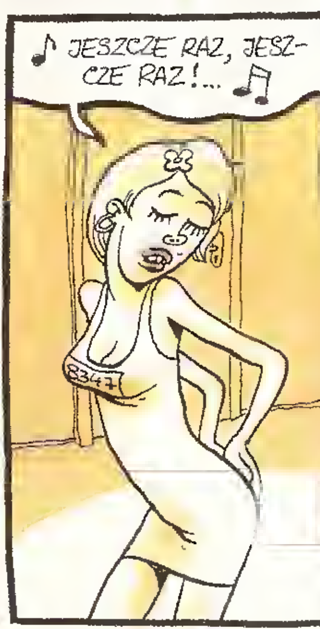


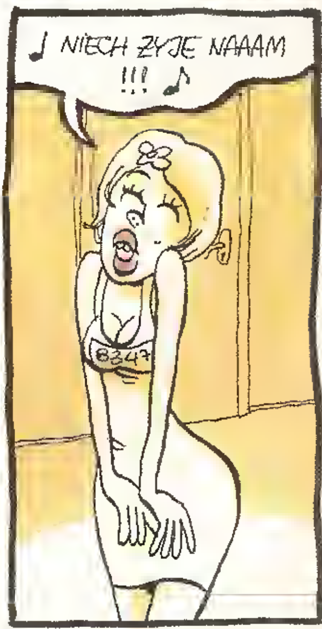


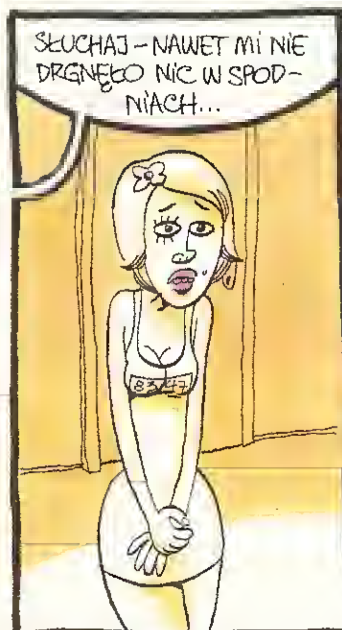




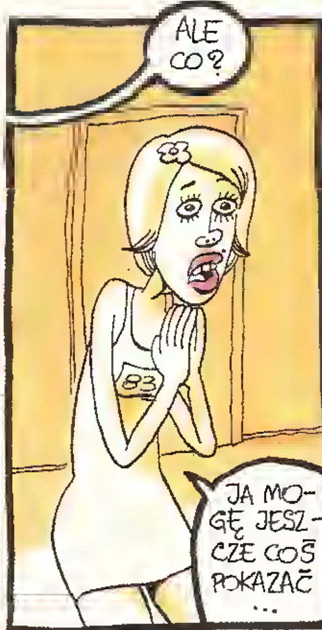








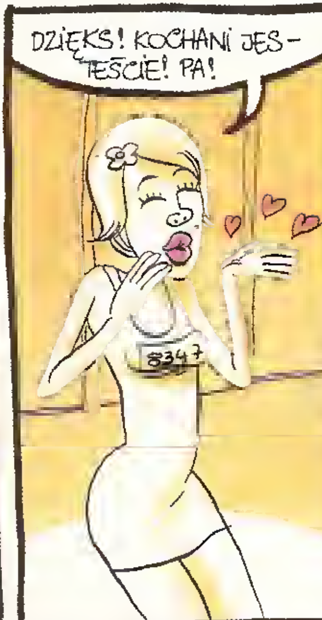


















POSZUKIWANIA ŻEŃSKIEJ GWIAZDY KOMIKSU TRWAŁY DO PÓŹNYCH GODZIN NOCNYCH. CZY ZNALEŹLIŚMY TĘ JEDYNĄ? CZY ZNALEŹLIŚMY GWIAZDĘ? NIE WIADOMO. WIADOMO, ŻE BĘDZIEMY JEJ SZUKAĆ DALEJ. I TY MOŻESZ NIĄ ZOSTAĆ! WYPATRUJ CASTINGU W TWOJEJ MIEJSCOWOŚCI, LUB PRZYŚLIJ (ODPOWIEDNIE) ZDJĘCIE NA ADRES REDAKCJI...
P.S. JURORZY ZASTRZEGAJĄ SOBIE MOŻLIWOŚĆ NIE ROZSTRZYGNIĘCIA KONKURSU.

Szczegółowe informacje pod telefonem
tel. 0-prefix-22 825 49 07,
e-mail: magazyn-slizg@o2.pl

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
15001777-121770066518
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
17 PLN	35 PLN	66 PLN	



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 15001777-121770066518

W P | waluta **PLN** | kwota

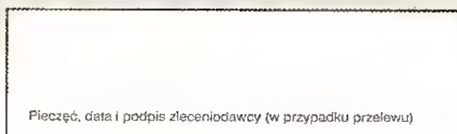
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

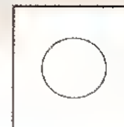
kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne +koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata



ODCINEK DLA ODBIORCY

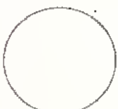
nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
15001777-121770066518
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
17 PLN	35 PLN	66 PLN	



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 15001777-121770066518

W P | waluta **PLN** | kwota

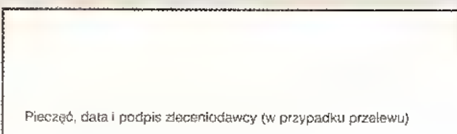
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

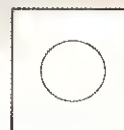
kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne +koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata



ODCINEK DLA BANKU WPŁACAJĄCEGO



Rafał Skarżycki



Ralala czytelnicy Ślizgu znają dobrze: to przecież on stoi (do spółki z Tomkiem Leśniakiem) za wszystkimi przygodami Jeża. Ale Skarżycki nie jest autorem JJ (choć podejrzewam, że to jego największy komiksowy sukces). W jego bogatym dorobku znajduje się jeszcze wiele serii i pojedynczych albumów, co zaowocowało pozycją jednego z najlepszych polskich scenarzystów komiksowych. A oprócz tego jest jeszcze filozofem, poetą, publicystą i (przykro mi, drogie czytelniczki) szczęśliwym mężem swojej żony.

Czas chłamu

Z rozwojem każdej dziedziny kultury wiąże się pewien niemiły fakt - w miarę jej starzenia się zastraszająco wzrasta odsetek chłamu w niej zawartego. Prawidłowość ta nie omija nauki, literatury, sztuki, muzyki, jednym słowem niczego. O przykłady nie trudno. Hańbiące nagrody Ignoble'a przyznawane za najgłupsze i najbardziej bezsensowne badania naukowe (których bynajmniej nie finansują bogaci ekscentrycy) pokazują, że nawet cieszące się autorytetem dziedziny wiedzy nie są wolne od lipy, która udaje, że jest czymś wielkim (laureaci Ignoble'ów niejednokrotnie są dumni z badań, które prowadzą!). Procent nowych wartościowych powieści w stosunku do makulatury zalewającej rynek jest coraz mniejszy - w dodatku produkcja literacka idzie w takim tempie, że już dawno wymknęła się spod jakiejkolwiek kontroli. O ile jeszcze jakiś czas temu (w sumie dawno) krytycy literaccy mieli możliwość zapoznania się mniej więcej z całością publikowanych książek (przynajmniej tych z „górnej półki", wszak nie od dziś masowo powstaje literatura bulwarowa, której zadaniem jest jedynie zabijanie czasu w trakcie podróży pociągiem, a nie zawracanie głowy krytykom), o tyle teraz pokłosie jednego tylko roku przekracza możliwości poznawcze każdego człowieka! Z tego powodu krytyka literacka praktycznie traci na znaczeniu - bo niby w jaki sposób może być opiniotwórczy werdykt kogoś, kto wypowiada się na podstawie znajomości tylko wycinka rynku wydawniczego. W jaki sposób uczciwie promować to, co wartościowe, skoro nie sposób wszystkiego ocenić, porównać? W takiej sytuacji o sukcesie książki, autora, decyduje przypadek. Dlaczego świat zwariował na punkcie „Harrego Pottera"? Bo na jakimś punkcie musiał - traf (nie jakość! Jakby nie patrzeć arcydziełem literackim to to nie jest, chociaż zupełną kichą, jakby chcieli przeciwnicy masońskiego Harrego, też nie) chciał, że padło na panią Rowling. Rzecz jasna losowi pomagają jak mogą spece od PR'u i marketingu, którzy bez żenady każdą pozycję opatrują mianem „kultowy", „nieprzyzwoicie inteligentny" itd. A ponieważ tak się złożyło, że najlepszy marketing i PR (oraz rynek) jest w krajach anglosaskich, to i nie dziwota, że kariery międzynarodowe robią autorzy piszący po angielsku i wydający w międzynarodowych oficynach. Autorzy z mniejszych rynków praktycznie się nie liczą (jedyną szansą dla nich jest to, że być może zauważy ich grupa zawodowych czytelników z uniwersytetów i zgłosi do literackiej Nagrody Nobla). Słyszałem ostatnio peany pod adresem polskiego wydawcy Paulo Coehlo; ktoś zachwycał się, że tak małe wydawnictwo nakłoniło tak świetnie sprzedającego się na świecie autora do współpracy (co ponoć jest osiągnięciem nie lada). No i pięknie. Tylko, że na mnie większe wrażenie zrobiłaby sytuacja odwrotna - takie wypromowanie przez polskie wydawnictwo polskiego autora (niech i będzie Masłowska), żeby zaczął sprzedawać na świecie tyle książek ile Coelho. To dopiero byłaby sztuka! Ale naszym wydawcom nawet nie w głowie takie gruszki na wierzbie...

Stosunkowo najprościej zauważyć degradację, jaka dotknęła jedne z najstarszych - sztuki piękne. Większość tego, co przedstawia się nam w galeriach (nie chodzi o te handlowe...) jako arcydzieła i ultranowoczesne spojrzenie na sztukę (np. rzeźba wielowymiarowa...), produkujemy sami, tyle że w miejscach ustronnych i raczej nie chwalimy się tym przed bliźnimi... Tu też ważniejsze od jakości staje się opakowanie, reklama, PR.

Zjawisko zalewu chłamu, który mieni się być czymś wybitnym nie ominęło też (bo niby czemu?) komiksu. W krajach o dużej tradycji handlu komiksami nastąpiło to niezwykle szybko i nikogo właściwie sytuacja taka nie dziwi - wszyscy mieli czas, żeby się z tym oswoić. W Polsce, gdzie dopiero od niedawna komiks wraca na salony (księgarze, którzy jeszcze parę lat temu panicznie bali się wszystkiego, co kojarzyło się chociażby z komiksem, teraz wydzielają specjalne regały z „literaturą obrazkową") mamy okazję obserwować ten fenomen na własne oczy. Od sytuacji, w której rynek praktycznie nie istniał, błyskawicznie przeskoczyliśmy do prawdziwego eldorado. Raptem okazało się, że i u nas można zarobić na komiksie. Jak grzyby po deszczu wyrastały kolejne wydawnictwa komiksowe (lub też szanowane oficyny rozszerzały swoją ofertę o komiks). Co ciekawe na początek nie były one kompletnie zainteresowane publikowaniem autorów polskich i dlatego na pierwszy ogień poszło to, co sprawdzone - produkcja zagraniczna. Narzekać nie ma co, bo była to produkcja wysokiej próby. Zagościły u nas serie wyczekiwane i cenione. I bardzo dobrze. Szybko jednak okazało się, że popyt jest na tyle duży, że można wydawać więcej. No, ale ilość serii, które trzymają poziom nie jest nieskończona, wobec czego wydawcy zafundowali nam twórczość drugiego (i dalszego) sortu - oczywiście starając się przekonać nas, że nadal mamy do czynienia z arcydziełem. Podobny los spotkał działkę polską. Gdy wyszło na jaw, że czytelnicy lubią komiksy polskie, wydawcy z rozgorączkowaniem zaczęli wypatrywać autorów i tytułów, dzięki którym mogliby zarobić krocie (oczywiście przesadzam, bo nakłady komiksów przy nakładach nawet średnio poczytnych książek, to wciąż żenada). Niestety, stworzenie czegoś atrakcyjnego wymaga zwykle czasu. No, ale od czego ostry marketing? Wydajmy co się da, wmawiając przy okazji odbiorcom, że to rewelacja i wszystko będzie oka. Wykorzystujmy najniższe instynkty czytelników kusząc ich „erotyką" (celowo piszę w cudzysłowie, bo np. to, co zaproponował nam duet skądinąd zdolnych polskich autorów nie mogłyby rozbudzić wyobraźni faceta po dwudziestoletniej odsiadce; na warstwę fabularną spuśćmy zasłonę milczenia, bo autor świetnego „Małego masturbatora" powinien się za to ze wstydu pod ziemię zapaść - co jednak nie nastąpiło, bo zapowiadana jest szumnie kontynuacja tego mega hitu). Żeby nie było, że czepiam się tylko konkurencji - największe polskie wydawnictwo komiksowe ogłosiło publikację pewnego albumu największym wydarzeniem komiksowym roku 2003 nie czekając na reakcję czytelników. Skądinąd taktyka okazała się skuteczna, bo album ten dzięki promocji (nie ma się, co czarować, że sukces komercyjny tej antologii wynika z jakości prac; kluczowa była promocja) osiągnął 14. pozycję w rankingu najlepiej sprzedających się książek (tak moi Państwo! Wygrał z „normalną" literaturą!) w sieci Empik.

Serwisy internetowe poświęcone komiksowi każdego miesiąca publikują spis wszystkich wydanych w danym okresie albumów oraz podają ile kasy trzeba by przeznaczyć na zakup całego pakietu. Jest tego dużo (np. we wrześniu trzeba by było wydać prawie 500 zeta). W takiej sytuacji nawet najbardziej zagorzali fani muszą dokonywać selekcji. Na jakiej jednak podstawie? Skąd mają wiedzieć, na co warto wydać pieniądze, a co przejrzeć w Empiku? Ratunkiem byłaby porządna krytyka komiksowa, której u nas jak na lekarstwo. W przeciwieństwie bowiem do literatury ilość publikacji komiksowych wciąż jest do ogarnięcia. Cóż, gdy brakuje ludzi piszących o komiksie kompetentnie, bez uprzedzeń i do tego w miarę obiektywnie. Normą jest, że jako recenzje i zapowiedzi hulają teksty wysmażane przez samych autorów lub przez wydawnictwo (rzecz jasna zachwalające - nikt o zdrowych zmysłach nie napisze przecież, że zamierza wydać chałę!). Teksty stricte reklamowe są zamieszczane jako obiektywne informacje! Jeśli już ktoś bierze się do oceniania, nie patrzy przy tym na warsztat, pewne intersubiektywne własności recenzowanego dzieła, tylko przyjmuje, że jak mu się coś nie spodobało, to znaczy, że jest totalnie do dupy (działa to też w drugą stronę, często przybierając postać osławionego już w środowisku „lansu"). Co gorsza, od piszących o komiksie nikt nie wymaga wiedzy o nich. Wciąż cieszymy się jak dzieci (autorzy, wydawcy), że ktoś w ogóle poruszy temat komiksu - co z tego, że przy okazji naplecie bzdur!? Efekt tego taki, że poruszanie się po rynku komiksowym coraz bardziej przypomina chodzenie po trawniku chętnie odwiedzanym przez okoliczne psy - trawy coraz mniej, za to gówna coraz więcej. Można mieć tylko nadzieję, że się za często nie wdepnie.

.:Rafał Skarżycki 13 X 2003:.

.:rysunek: Jakub Rebelka:.

UWAGA!
RUBRYKA AUTORSKA NIECENZUROWANA


TYMBARK


TYMBARK




TYMBARK

